



476
NAKŁAD I WŁASNOŚĆ TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ OŚWIATY.

OBRAZY

Z ŻYCIA I NATURY

SERYA I

z jednym drzeworytem.

Publikacyi Towarzystwa

TOM I.

KRAKÓW.

W DRUKARNI UNIwersytetu Jagiellońskiego,

pod zarządkiem Konst. Mańkowskiego.

1869.

CBGIOŚ, ul. Twarda 51/55



Wa 5123925

B₁

NAKŁAD I WŁASNOŚĆ TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ OŚWIATY.

PÓŁNOCNY WSCHÓD EUROPY.

PRZEZ

WINCENTEGO POLA.



Publikacyi Towarzystwa.

TOM I.

WYDAWCA I WYKŁADZIELCA TOWARZYSTWA KRYTYCZNYCH DEWIAŃ

POŁNOCNY WSCHÓD EUROPY.

1887

WYDZIAŁ POLSKI

Publikacja Towarzystwa

TOM I

OBRAZY

Z ŻYCIA I NATURY

SERYA I.

z jednym drzeworytem.

KRAKÓW.

W DRUKARNI UNIwersYTETU Jagiellońskiego,

pod zarządkiem Konst. Mańkowskiego.

1869.

OBRAZY

Z ŻYCIA I NATURY

B. 1686/II



WYCOFANO Z KSIĘGOZBIORU
BIBLIOTEKI
MUZEUM NARODOWEGO
W KRAKOWIE



32475/1

KRAKÓW

W PRACZYNIE HISTORYCZNYCH ZAPISÓW

FOR THE HISTORY OF THE POLISH

NH - 9727

<http://rcin.org.pl>

ZARZĄD
TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ OŚWIATY

DO

CZŁONKÓW TEGOŻ TOWARZYSTWA.

Wydawnictwo dzieł tanich i pożytecznych przeszło w Towarzystwo Przyjaciół Oświaty, zawiązane w Krakowie, a to uważa wszystkich dawniejszych Prenumeratorów wydawnictwa za rzeczywistych Członków swoich, wedle statutu. Do dawniejszych tedy Prenumeratorów wydawnictwa a dzisiejszych członków rzeczywistych Towarzystwa Przyjaciół Oświaty, zwraca Zarząd Towarzystwa tę odezwę, wzywając ich do udziału w sprawie literatury polskiej i oświaty powszechnej. Tą książką, Towarzystwo Przyjaciół Oświaty rozpoczyna publikacyę swoje, i ona to już wchodzi w rachunek tych stu pięćdziesięciu arkuszy druku, które Zarząd Tow. Przyj. Ośw. wedle statutu obowiązany jest oddać swoim Członkom w ciągu bieżącego roku. Zarząd, oddając niniejsze dzieło na własność Publiczności polskiej, pióra znanego i wziętego pisarza, a co do treści zajmującego — bo odnoszącego się do opisów ziemi ojczystej, którą każdy

Polak znać powinien: ma to przekonanie, iż się wywiązuje z obowiązku zaciągniętego w obec Publiczności czytającej i Członków Towarzystwa Przyjaciół Oświaty i liczy na gorliwe poparcie usiłowań swoich.

Od Zarządu Towarzystwa Przyjaciół Oświaty w Krakowie, d. 15go Czerwca, 1869.

Zastępca prezydującego:

Fr. Trzeciecki.

TRZEŚĆ PRZEDMIOTÓW.

	<i>Strona.</i>
WSTĘP	1
I. NA LODACH	7
II. NA WODACH	39
III. Z PUSZCZY	69
IV. NA WYSPIE	113
V. NA BESKIDZIE	171
VI. Z NIZKIEGO I SZEROKIEGO BESKIDU	197
VII. Z KRAIN STEPOWYCH	229
VIII. ZE STEPU	257
IX. Z BURZY	275
X. Z BURZY GÓRSKIEJ	297

WÓJCIEMSKI DEKRET

WYKONAWCZY

Strona	Wzrost	Wzrost
1	170	I NA WODACH
2	175	II NA WODACH
3	180	III NA WODACH
4	185	IV NA WODACH
5	190	V NA WODACH
6	195	VI NA WODACH I SZKOLENIA WODNIC
7	200	VII NA WODACH
8	205	VIII NA WODACH
9	210	IX NA WODACH
10	215	X NA WODACH

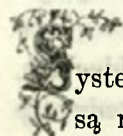


Karta Rugii, należąca do dzieła Wincentego Pola: „OBRAZY Z ŻYCIA I NATURY,”

wydanego przez Towarzystwo Przyjaciół Oświaty w Krakowie.

<http://rcin.org.pl>

WSTĘP.



Systematyczne opisy kraju pod względem natury, są niejako anatomicznymi preparatami samejże natury. Ścisłość nauki wymaga wyłączności, to jest tego, aby zapomnieć o wszelkich innych względach, kiedy się kraj pod pewnym danym opisuje względem. Ztąd też są geologiczne i geognostyczne opisy ziemi i całych części świata; orograficzne, dające ich kształt i powierzchnię; hydrograficzne, dające wodną sieć kraju; klimatyczne, wyświecające napowietrzne stosunki jego, ze względem na położenie na globie i do krain sąsiednich. Dalej idą opisy roślinności kraju i jego dzielnic, dalej jeszcze opisy zwierzęcego świata i zoologicznych granic, a w końcu, w najwyższej grupie organizmów swobodnych, idą opisy etnograficzne krain, które po ziemi i klimacie są pierwszym pokładem do dziejów.

Każdy tedy kraj można opisać pod wszystkimi temi względami, i owszem dokładny opis natury pewnego kraju musi niejako z obowiązku wyświecać wszystkie te względy i stosunki. Ztąd powstają niejako anatomiczne preparaty, odpowiadające ścisłości

nauki i potrzebie wyłącznego zapatrywania się z pewnego stanowiska na przedmiot, który tylko w ten sposób może być zbadany do gruntu.

Wszystkie wszakże te specjalne opisy nie dają żywego oddechu natury, bo nie ma kraju ani części świata, któraby była wyłącznie geologiczną, orograficzną, hydrograficzną i t. d. W naturze nie są te światy oderwane od siebie, ale stykają się z sobą, uzupełniają się nawzajem, przenikają się jak najściślej w czynnych i biernych potęgach i tworzą zjawiska powszechnego życia.

Tu wszystko ożywione jest ruchem, oddechem, barwami i głosami natury. Ztąd poszło tedy, że i w powszechnej, fizycznej i porównawczej geografii, a mianowicie w dzisiejszym postępie tej umiejętności, muszą pewne opisy odpowiadać temu zbiorowemu życiu zjawisk natury.

Są to „*Widoki natury*,” od Humboldta i po nim tak nazwane, które po systematycznem rozpatrzeniu krain pod względem pojedynczych nauk przyrodniczych, dają niejako syntetyczne poglądy natury.

Najwyższą bowiem syntezą życia jest rzeczywisty oddech natury, tej syntezie musi tedy w umiejętności odpowiadać osobny rodzaj opisów, które charakteryzują odrębną fizyognomię kraju, i po analizie naukowej, jest ta synteza duchową niejako potrzebą, bo w niej zbiera się to w życiu cało, co umiejętność dla naukowego rozpoznania szczegółowo oddzielić musiała od siebie.

Widok natury, z całym jej żywym oddechem— to prawdziwa synteza żywota: wszystko tu uderza współcześnie, a jeżeli graficzna metoda okazała się

najwłaściwszą dla nauk przyrodniczych, ilustracje artystyczne najwłaściwszym byłyby organem dla poglądów i widoków natury.

Zachodzi tu niemała trudność zgody pomiędzy samym widokiem a opisem. Opis rozwija się stopniowo w czasie — obraz uderza współcześnie i od razu w przestrzeni. Ztąd dopełnia się widok opisem, a opis widokiem, jeżeli opisujący nie więcej szczegółów obejmuje, jak naraz widzieć zdoła w naturze, artysta zaś to tylko kreśli, co objąć może dokładnie na jeden rzut oka, ze względem na przedmioty pierwszego, drugiego, trzeciego planu i perspektywy powietrznej.

Temi kilkoma uwagami uznałem za potrzebne poprzedzić te *Obrazy z życia i natury*, w których daję opisy odrębnej fizyognomii różnych okolic mniej lub więcej znanych, ale w literaturze niedostatecznie jeszcze wyświeconych aż po te czasy.

Każdy z następnych obrazów, jest obrazem miejscowym, zdjętym z natury; a że nie zawsze robimy podróże w celach wyłącznie naukowych, ztąd trzeba się czasem zapytywać myśliwych, pasterzy, flisów i rolników o tajemnice miejscowej natury, zwłaszcza kiedy chodzi o żywy jej oddech, o schwywanie jej głosów i widoków w przelotnej tłumnych zjawisk powodzi.

Północny wschód Europy, do którego się te obrazy odnoszą, ma tę właściwość, że typowe okolic natury znajdują się tu na wielkiej przestrzeni rozrzucone; na wyświecenie tej odrębności trzeba było tedy w opisie przeskoczyć lub pominąć nieraz prze-

chodnie ogniwa, aby zająć stanowisko, odrębnym typem natury objęte.

Jak są doroczne święta w kolei i powrocie każdego roku, w których się streszcza życie narodu, tak i ziemia ma swoje święta, okolice odrębnych typów natury, w których wszystko jest już całością inną a nie powszednią; — są takimi świętami ziemi, bo w świątecznym stroju staje tu natura przed nami.

Obrazami temi objąłem tedy tylko główne, ude-
rzające i odrębne typy natury. Oznaczając tem stanowisko tej książki, pragnąłbym głównie zwrócić uwagę czytelnika na ścisły związek człowieka z naturą, który w coraz innej okolicy typowej, coraz się inaczej wyraża.

Nie była to dowolność, żem się w opisie północnego wschodu Europy przenosił z jednej okolicy w drugą, nie zdawając z tego na pozór ani sobie sprawy ani czytelnikowi.

Nie stało się to z przypadku. Odrębność typów natury występuje najdobitniej w porównawczych obrazach obok siebie stawionych; trzymałem się tedy metody w opisowej porównawczej geografii przyjętej, a z drugiej strony musiałem się stosować do usposobienia czytelników moich, bo umiejętność nowa nie znalazła jeszcze w literaturze naszej przygotowanego pola i dostatecznego usposobienia w umysłach, dostatecznej wprawy w zapatrywaniu się na naturę, która musi być badaną cierpliwie na to, aby mogła być dokładnie pojętą.

Obrazy te mogą tedy tylko w części zastąpić wrażenia podróży i mogą dać tyle przysposobienia,

ile potrzeba, aby następnie odbyć można tę podróż z pewnym pożytkiem dla siebie lub drugich.


Nie chcę t \acute{e} m powiedziec, aby ta ksi \acute{a} żka mogła byc przewodnikiem w podr $\acute{o$ ży, ja chciałem tylko wskazać, jak się zapatrywać należy na odrębne okolice typowej natury, po cz \acute{e} m je poznać, jak streścić i zobrazować dla siebie lub drugih.

W t \acute{e} m tedy oznaczeniu rzeczy jest ta ksi \acute{a} żka przewodnikiem, bo ma zamiar zwrócić wzrok duszy na widoki natury.

I.

NA LODACH.

Powietrza pragnie człek gdy zagorzeje
Czarami dziejów i boleścią własną,
I bardzo grzeje, kiedy serce grzeje,
A niebo świeci w duszy gwiazdą jasną —
To widok tylko natury nas koi,
I czy się groźno, czy się wdzięcznie stroi,
Ona nie umie tylko serca zdradzić
I przy niej można powoli odczadzić.....

Wonure są widoki wybrzeży Bałtyckiego morza, a przynajmniej takie wrażenie robiły na mnie, zanim się oswoiłem z niemi, zanim odrębność ich pojąłem i dopatrzeć zdołałem tych wdzięków, z których natura nigdzie nie jest obraną.

Wrażenia natury, czy one są miłe, czy niemiłe, czy obojętne,— w końcu trzeba przyjmować cierpliwie.

Zrazu nie rozumiemy głosów natury w okolicy obcej; — jedno staje się dla nas niezrozumiałe, coś drugiego wydaje nam się przypadkowe, na coś innego jeszcze, co jest głównem, nie zważamy wcale. Jest to jakoby ruch twarzy człowieka nieznanego narodu, nie rozumiemy jego mowy, nie znamy jego myśli, więc nie pojmujemy ruchów jego twarzy.

Szczególniej okolice, które nas powabem uderzających wdzięków nie zajmą odrazu, mają to do siebie, że się w nie wpatrzeć potrzeba i ożyć, ażeby je poznać, pojąć i ocenić. Jest to zupełnie coś podobnego do niewiasty harmonijnych uczuć, która nas nie wdziękami ciała, ale duszy pociąga ku sobie. Ztąd pochodzi tak wielkie przywiązanie synów północy do ziemi rodzinnej, bo się rozpatrzyli w cichym uroku miejscowej natury, bo tak zrosli z jej oddechem, że już bez niego dla nich życia niema.

Ponure, jak mówię, wydały mi się widoki wybrzeży morza Bałtyckiego, chociaż i pora roku wpływała może na to usposobienie, bo spędziłem całą jesień i zimę całą, patrząc codziennie na to bursztynne morze, którego widoki nie elektryzowały mnie zupełnie, choć od bursztynu bałtyckiego wzięła elektryczność swą nazwę jeszcze w starożytnym świecie.

Płytkie i piaszczyste są wybrzeża morza Bałtyckiego. Mierzeja, która Fryzką i Kurońską zatokę odziera od morza, jest pasmem nagich, piaszczystych pagórków i nieustalonych zasp, które płytkami ławami i odmiałami spadają do morza. Wyjątkowo tylko przybiera to pasmo więcej malownicze linie, wyjątkowo tylko porasta sosnowemi lasami lub dębina, jak naprzykład w okolicy kąpieli morskich Warnicken. Te zasy ruchomego piasku są często przetkane wielkimi bryłami skandynawskiego granitu; są to luźne, błędne odłamy, które tu i owdzie z wód sterczą, jak małe wyspy i na których się fale morskie łamią i pienią, kiedy wiatr wieje z północy. Pomiedzy temi zaspami ruchomemi piasku, będącemi odpłuczyskiem morskiem wielkich historycznych burz, leżą małe je-

ziorka lub podłużne bagna, które w drobne strugi przechodzą, tworząc na swém ujściu znowu płytkie przymorskie jeziora.

Brak roślinności uderza tu widocznie: bagna porastają tylko kępami chudego skrzypiu, jeziora tylko po brzegach lepiechem (tatarakiem) morskim.

Wody są czyste i przejrzyste, ale rybki tylko niewielkie migną czasami gromadnie, kiedy powierzchnię jeziora morska muśnie rybitwa. Skrzeku żab nie słyhać, i na całym piaszczystym pasmie wyżyn niema już żab; tak też daleko osiadają wyżynę rybacy morscy oddzielnego rodu i pochodzenia, skandynawskiego obyczaju, jak daleko żaby nie słyhać. Chaty ich, budowane z kamienia i potrzaskanych statków morskich wrastają w zasy piaszczyste, a kilka łodzi rybackich przypiętych u brzegu, kilka sieci rozpiętych przed chatą, kilka tyk wielkich i wiosł w piasek wbitych, oto cały statek nadmorskiego rybaka i jego rodziny.

Nieraz całemi godzinami przejeżdżaliśmy się konno po tém odchodzisku morskiem; nieraz po pół mili wjeżdżaliśmy w morze, lub przerzynaliśmy pomniejsze zatoki, a woda nie sięgała koniom wyżej pęcin, zwłaszcza kiedy morze było spokojne.

Gdy wiatr wiał od lądu, miało morze niemily, żółtawy pozór; gdy wiatr wiał z północy, rosły fale z każdą chwilą wyżej i były szare, a pod wieczór straszno czarne, łamiąc się z gwałtownym hukiem na bryłach granitu. Wrzask mowy przerywał tylko czasem ten jednostajny łoskot, który z nocą wzrastać się zdawał, w miarę jak się wrzawa uciszała dokoła na lądzie, przy chatach rybackich i nadbrzeżnym zamku.

Morzu Bałtyckiemu brak oświetlenia, i koloryt jego jest odbiciem ołowianego północnego nieba, które już od początku października opuszcza się na nie mgłą skandynawską i uderza burzami północnego biegunu.

W morzu Bałtyckiem, dlatego że ku północy na nie patrzymy, nie odbija się ani słońce, ani księżyc i dopiero z łodzi je widzieć trzeba, albo z rybackiego przylądka, który daleko w morze wybiega, aby się ożywiła jego powierzchnia i zagrała w świetle; chociaż już tu powiedzieć muszę, iż oświetlenie nocne harmonizuje więcej z chłodnymi widokami mglistej północy, niż oświetlenie słoneczne, przy którym nagość jałowych wybrzeży zawsze uderza niemiło.

Zamek M....., który zamieszkiwaliśmy, był w stylu Ludwika XIV postawiony, i od owych czasów nie przybył tu ani jeden sprzęt i nie ruszył się żaden z miejsca. Portrety, obrazy, rzeźbione i złoczone boazerye, obicia, marmurowe stoliki i symetrycznie ustawione meble, wszystko nosiło charakterystyczną cechę swojego czasu. Porcelanowe figurki salonowych pasterzy i rybaków stały po marmurowych kominkach rozstawione, a szyldkretowe zegary przypominały odgłosem swych dzwonek czas, które dawno przeszły. Wielki taras ciosowy, w wazony kamienne i w posągi ubrany, wznosił się imponująco od strony ogrodu. Z niego spuszczały się schody ku północy, na wschód i na zachód do ogrodu, który w kilku tarasach opadał ku północy i kończył się widokiem wielkiej sadzawki, a właściwie naturalnego jeziora. Rabaty i arabeski poniżej tarasu były obsadzone szpalerkami z karłowatego i z wielkiego bukspanu, a po obu stronach ogrodu ciągnęły się strzy-

żone szpalery cisowe, bardzo starannie utrzymane, prowadzące do małych labiryntów i cienistych zacisznych altanek, do grot sztucznych i łóz otwierających widok rozległy na okolicę, lub na wiecznie szumiące morze.

Z pierwszego piętra pawilonu odsłaniało się zwierciadło morza już w całej okazałości, a w oddaleniu znacznem, bo brzegi morza były płytkie, przesuwały się niekiedy żagle rybackich łodzi i małych statków kupieckich, prowadzących pobrzeżną żeglugę od jednego małego portu do drugiego.

Całe urządzenie zamku i ogrodu było tak typowe, iż wywoływało w nas mnóstwo wspomnień młodości; bo któż się nie spotkał z takim zamkiem i ogrodem u nas?

Tylko to sąsiedztwo morza tak blizkie było dla nas nową rzeczą. To też najmniej dwa razy dziennie wyjeżdżaliśmy konno, nie zważając nawet na to, jaka była pogoda, bo w każdej porze roku i dnia jest morze coraz inne i zawsze można w niem coś nowego upatrzeć. Każdemu jednak radzę, aby nie patrzył długo na morze, bo z uczuciem i z myślą nie można znieść tego widoku nadługo; umysł tępieje, jednostajnym biegiem i hukiem lub szumem fali ogłuszony i otumaniony, i niemiło to wyznać, ale człowiek głupieje nareszcie, patrząc długo w morze bez myśli. Jakoż maluje się ta bezmyślność w fizyognomiach rybaków i mieszkańców nadmorskich, którzy mają zazwyczaj tępe i ponure rysy, przynajmniej tu na północy.

W zamku tym mieszkając, trzeba się było wszędzie spotkać z widokiem morza. Za piasczystymi pa-

górkami wełniły się srebrne lub czarne fale. Na ścianach przedstawiały obrazy holenderskie widoki morskie. Po serwantkach piętrzyły się piramidy konch morskich indyjskich. W wielkiej portretowej sali wisiał u sufitu mały okręt trzymasztowy, misternie i ozdobnie wyrobiony aż do najdrobniejszych szczegółów, wyobrażający model prawdziwego okrętu. Kiedyśmy, wróciwszy z przejażdżki, zasiedli wieczorem przy kominku u ogniska, to obyczajem marynarzy piliśmy czerwone korzenne grzane wino i paliliśmy knaster z lulek holenderskich, a jednostajny łoskot fal morza, zwłaszcza gdy było wzburzone, dolatywał nas z góry kominem, jak gdyby o same ściany zamku objęły się fale, jak gdybyśmy płynęli okrętem....

Z listopadem ustaje żegluga na Bałtyku dla większych statków, ale rybacy nadbrzeżni biją się z temi falami i burzami, póki się brzegi morskie nie okryją lodem, bo właśnie w tym czasie jest połów ryb najlepszy i ryba trzyma się długo żywa i świeża.

Po wielkiej trzydniowej burzy, która już pod koniec listopada przypadła, przesunawszy się od Alp skandynawskich ku Pomorzu żmujdzkiemu, zatęskniliśmy za przejażdżką. Burza była tak wielka, że okna zamkowe całą noc dzwoniły i żeśmy większą część każdej nocy przechodzili lub przesiedzieli przy kominku, czytając Laarę Bajrona, który także błędził po pustym zamku i po ciemnych drogach życia.

Osobliwym był widok morza, gdyśmy je po tej burzy ujrzeli: w powietrzu zupełna cisza, a krótkie i wysokie fale szalały, jak gdyby je orkan poruszał do gruntu. Zdało się, że do głębi wzruszony żywioł ukołysać się nie może, i cała powierzchnia morza

przedstawiała jedną wielką kipieli, w której się fale ścierały z sobą, pozornie nie ruszając z miejsca.

Przepyszny był to widok, a szczególnie uderzał ów kontrast ciszy powietrznej do gwałtownie wzburzonego żywiołu, który samodzielnie szalał, jak gdyby dno morskie wrzało.

Gdy się morze po tej burzy ukołysało, poczęły fale nieść strysz (drobną krę) z sobą, i już znaczne sztuki lodu pędził wiatr ku brzegom. Mróz podniósł się jednej nocy do piętnastu stopni i wzrósł w przeciągu trzech dni do dwudziestu kilku, a całe brzegi morskie, jak daleko oko tylko sięgło, okryły się jednostajną szybą lodu, a tém samem zmienił się cały widok okolicy, dla której szumu fal zabrakło.

Rankiem wszedł do nas dzierzawca tego majątku i powiada wesoło:

— Ja radzę, jedźcie panowie do Królewca. Morze okryło się lodem, lód stanął równo, to nasz najpiękniejszy czas. W Królewcu rozpoczną się szlichtady, będzie co widzieć i warto, żebyście to panowie zobaczyli. Siostrzenica moja przyjechała z Królewca i mówi, że się wielka gotuje szlichtada, którą uniwersytecka młodzież wyprawi dla miasta. Tacy goście jak panowie będą tam pożądani i zabawią się dobrze.

Spojrzeliliśmy w okna. Jak zmrożona oaza leżał ogród szpalerowy przed nami; strzyżone cisy były białym szronem owiane, jezioro błyszczało szybą gładkiego lodu; dalej świeciły białością, niezwykłą brzegi morskie lodem pokryte; cały widok dziwnie mroźny i zlodowaciały przedstawiał świat.

Spojrzeliliśmy po pokoju. W kominku spopielzło ognisko i zimny wiatr dał z komina, a Laara Bajrona leżał jeszcze z nocy przed kominkiem rozłożony na stole.

W istocie, zateśkniliśmy za ludźmi, i po trzech godzinach, siadłszy na koń, byliśmy w Królewcu.

W Gdańskiej piwnicy zastaliśmy przy marynar-skim śniadaniu cały komitet zarządzający szlichtadę i odrazu, jako goście zaproszeni, byliśmy świadkami jego narady.

Gdyśmy po śniadaniu obejrżeli się w porcie, znaleźliśmy fizognomią jego zupełnie odmienioną. Przy samym brzegu spały już okręty snem zimowym zamrożone, bez flag i żagli, a smutno spoglądali majtkowie z pokładów, skazani przebyć zimę na okręcie bez ruchu.

Po zwierciadle portu nie szybowały łodzie włóczków ni rybaków, przybywających na targ rybny z świeżym połowem codziennie, ale natomiast przesuwano się tysiące na łyżwach dzieci i dorosłych, kawalerów, a nawet i dam, krótko, po kolana prawie, ze szwedzka ubranych, z ozdobnie osznurowanymi łyżwami.

Dziwna rzecz: w czasie cieplej pory nie widziałem tu na ulicach kolorów żywych; teraz na lodzie uderzyła nas pstra mieszanina nietylko żywych, ale nawet jaskrawych kolorów. Bogdaj szalik, bogdaj przepaska, czapeczka lub stroik musiał uderzać żywością kolorytu, i przyznać trzeba, że przy ruchu na łyżwach i na lodzie dziwnie nam się to pięknie wydało.

Cała przestrzeń środkowa portu była zasnutą lecącymi na łyżwach postaciami. Tu tańczono kadryla, tam zatoczyli mężczyźni śmiały karuzel, małe chłopięta posuwały się brzegiem, a pięknie ze szwedzka ustrojonym damom, które zazwyczaj po dwie, trzymając końce szalu, robiły kurs wzdłuż bulwaru, ustępowało wszystko z uszanowaniem z drogi. Przesuwały się także, pędzone z tyłu przez wprawnych łyżwiarzy i małe saneczki, na których siedziały damy w kosztowne futra strojne, z zarękawkiem albo szpicrutą w ręku. Kto nie na łyżwach, temu nie wolno stanąć na lodzie, bo wśród tych junaków, śmiałych harców i posuwistych płasów na lodzie, nie miałyby co robić ten, co nie na łyżwach. Za to też były wszystkie pokłady okrętów i brzegi portu widzami okryte, a kiedy się ze szwedzka strojne przesuwały damy, witały je huczne oklaski i okrzyki w przelocie.

Tak się umieją bawić na północy. Lecz muszę tu zrobić uwagę, że się zima tam zwykle mrozem a nie śniegiem poczyna, że zaraz pierwsze mrozy bywają bardzo mocne; ztąd staje lód równo, a że się nieraz śniegiem pokrywa, można użyć pohulanki na łyżwach i sanny po lodzie.

Tylko ten co przepatrywał stare sztychy kolorowane z czasów Ludwika XIV i najbliższych po nim, może mieć wyobrażenie o takiej szlichtadzie, do której zwykle tylko należy dobór towarzystwa wyższych stanów i najmożniejszych obywateli. Zdaje się że nadbałtyckie portowe miasta chcą tu z całym wystąpić przepychem, z całym zapasem gustu i za-
możności.

Najprzepyszniejsze angielskie, holsztyńskie i meklemburskie konie, strojne w pióra, w drogie chomąty, tygrysie i lamparcie skóry, obwieszane dzwonkami i kutasami, idą w jednokonnych sankach, w których mityczny przepych i gust przypomina jakieś bardzo odległe i świetne czasy.

Każdy kawaler sam powozi damę, która tuż za nim siedzi. Sanki te mają najróżniejsze kształty: udają potwory morskie, łabędzie i orły, ptaki siedzące na łupie i w locie z rozpostartymi skrzydłami, olbrzymie lby jelenie i łosie z rogami, gdzie rogi miasto kopanic służą, a w głowie są siedzenia wpuszczone, wybite aksamitem i kosztownymi futrami.

Cóż mówić o stroju mężczyzn, o tych ozdobnych futerkach i delijkach zarzuconych na jedno ramię. cóż mówić o wytworności toalet damskich, które w futrach są niby otulone, a rzeczywiście jak na bal ubrane!?

Widzieć to wszystko potrzeba albo w starych szychach, albo w żywych postaciach na miejscu.

Wystrzał z działa, który się rozległ na miasto z baterii portowej, dał hasło do rozpoczęcia szlichtady.

Pary były już ułożone i każde saneczki czekały już przed bramą bogini serca, kiedy się rozległ pierwszy sygnał z portu. Trzeba przyznać, że panie nie dały czekać na siebie: każda stała równo z wystrzałem działowym w bramie, z zapalonem cygarem w rękę, udając że je pali, skoczyła w sanie, a odstępując cygaro swemu towarzyszowi, jak zwyczaj każe, rozglądała się po oknach i balkonach, do których się mnóstwo ciekawych cisnęło twarzy, zazdroszczących szczęśliwej takiego rycerza, a rycerzowi takiej królowej i takiej chwili.

Drugi wystrzał z działa rozległ się, gdyśmy już byli na lodzie, a za trzecim sygnałem posunęły pierwsze sanie od prawego skrzydła, w których najstarszy akademik powoził panią kanclerzową.

W pewnych odstępach, na znak dany przez dzonkajów konnych, ruszały sanie, a zanim ostatnie ruszyły, mijało już czoło szlichtady portową baterią, z której salwa honorowa z dział powitała świetny poczt w przelocie.

Cała droga na lodach wytyczona była jodełkami, osadzonemi między kilkoma bryłami lodu co kilkadziesiąt kroków i nie prowadzona w prostej linii, ale dosyć nawet kręto, tak że się w ciągu podróży przyjrzeć można było ludziom i koniom, strojom i saniom, gdy się ten ozdobny boa w kłębach zwijał po lodzie.

Mrok począł padać i zciemniło się nagle, gdyśmy w głębszej zatoce ujrzeli gmach piętrowy, którego wszystkie okna były rześisto oświetlone. Na wielkim równym brzegu gorzał tu stos drzewa z kilku sążni. Dokoła niego była wielka czworogranna baryera, do której przypierały sanie rzędem z kolei. Każde sanki zachodziły najprzód pod dach stępo — tu wysadzał każdy swoją damę, a potem konie i sanie odbierała służba.

Drzwi wchodowe były z wagą, i już sień wielka była ogrzana, a że sanie zachodziły zwolna jedne po drugich, wchodził każdy z swoją damą z osobna.

Wspaniałe wschody prowadziły na piętro; do drzwi na lewo wchodziła dama, do drzwi na prawo mężczyzna. Kilkanaście minut zostawiono przybyłym do poprawienia stroju; następnie ozwa-

ła się muzyka grzącym marszem i wszyscy razem weszli z przeciwnych podwoi do balowej sali. Tu odszukał każdy swoją damę i oddając bukiet, podawał jej rękę. Wielkimi szeregami obchodziło całe grono balową salę dokoła — sto pięćdziesiąt było sań, a więc trzysta osób, prócz gospodarzy, których zastaliśmy oczekujących nas na miejscu. Gdy się damy rozsiały po ławeczkach i łóżach, poczęto roznosić grzane wino czerwone, więcej słodzone i wonne dla dam, więcej korzenne i mocniejsze dla mężczyzn — a potem wirowały pary w szalonym walcu bez końca, dopóki wieczerza nie powołała całego balowego koła do jadalnej sali.

Po wieczerzy grała muzyka tylko symfonie i nie tańczono więcej, aby się dostatecznie ochłodzić przed powrotną jazdą. Sala była już dobrze ochłodzona, gdyśmy po wieczerzy na nią powrócili i tu każdy wniósł futro i berlaczyki dla swej damy z garderoby, szale, kapoty i zarękawki; wszystkie damy przechadzały się już ubrane po sali, a tym samym porządkiem jak odeszły, zajeżdżały sanie, wolno i stępo posuwając się po oświetlonej drodze, dopóki wszystkie nie ruszyły z miejsca.

Prześliczny był to widok tej szlichtady wśród nocy. Jak we dnie jedliną, tak teraz smolnemi kagańcami była wytyczona droga, a jak szyba zwierciadlana połyskiwały gładkie lody do światła.

Z balowej sali do portu było małe dwie mile, ale wyciągniętym kłusem jadąc, nie jechaliśmy nad godzinę. Północ biła, gdyśmy stanęli na powrót w Królewcu i gdy się z portu po ulicach miasta rozpierchły saneczki...

Taka była pierwsza wyprawa *na lodach*. Druga miała zupełnie inny charakter, bo miasto pięknych oczu i gorejących kagańców przyświecały nam ślipia wilków.

W kronikach nadbałtyckich krain zanotowane są wszystkie zimy, w których się Bałtyk cały okrywa lodem; w każdym wszakże roku obmarzają brzegi jego na znacznej przestrzeni, a Botnicka i Fińska zatoka pokrywa się corocznie jednostajnie lodem, tak iż na saniach można z Klajpedy jechać do Szwecyi, do Finlandyi i Rygi.

W tym to czasie przybywają do portów na południowych brzegach położonych Finy i Czudy, w saniach przez reny ciągnionych, i wożą dzieci dla zabawy po lodzie w miastach portowych; w tym to czasie wyprawiają się zawołani myśliwi na wilki, które od połowy grudnia gromadami ciągną z Szwecyi i z Finlandyi ku żmujdzkim i kurlandzkim brzegom, gdzie więcej żeru i lasu. Głód i czas cieczy pędzi tych szkodników w mniej stróżliwe kraje Kurlandyi; to też, według zdania myśliwych, przebywają wilki te zatoki w ciągu jednej doby, a wpadłszy na żmujdzkie lub kurlandzkie brzegi, są tak głodne, że się wdzierają do chat i do obór po dniu białym, wyrządzając zaraz szkody, gdy się tylko z lodów na ląd dostaną.

Na pozór zdaje się to miła i łatwa wycieczka myśliwska; wszakże morze pozostanie wiecznie morzem, a zamarzła lodowata pustynia jest straszniejszą jeszcze od ziejącej głębi morza bijącego falami.

Północne brzegi obmarzają znacznie wcześniej od południowych grubemi lodami, ostatnie tedy bu-

rze odkrytego morza łamią te lody w krach olbrzymich i powstają z nich góry lodowe, które nieraz jednej nocy zrastają się w lodowate skały, zalegając przestrzeń mil kilku wszerek, a kilkudziesięciu wzdłuż.

Tu można się spotkać ze wszystkimi plastycznymi kształtami krain górskich. Pomiędzy skałami ciągną się wąwozy i wyłomy i rozlały się niby jeziora, na których lód gładko i równo jak zwierciadło błyszczy. Są tu przepaściste urwiska, grotty i tunele, pionowe skały dziko wydziergane u góry i całe przestrzenie zawałone rumowiskiem luźnych brył lodowych, a wszystko razem przypomina rysunkiem i ostremi liniami na małe wymiary widoki krain alpejskich i ostre łąmy alpejskich wapieni.

Lody te są przezroczyste prawie i kryształowe, zielonkowate i seledynowe i świecą w słonecznym oświetleniu wszystkimi kolorami tęczy, a wśród ciemnej nocy światłem własnym, które się z nich wypromienia.

.....Nazajutrz po owej szlichtadzie spotkałem się w Gdańskiej piwnicy na śniadaniu z hrabią Dona, z którym od dwóch miesięcy w bardzo dobrém żyłem zachowaniu.

Był to człowiek bardzo ukształcony, z którym się we wszystkich towarzystwach spotykałem i który tak w salonach, jakoteż w kołach oddanych umysłowemu życiu, był zupełnie oryginalnym zjawiskiem, bo nie miał ani narowów wielkiego pana, ani pedanteryi i zarozumiałości uczonych. Czytał wiele i polował wiele. Był zagorzałym wielbicielem poezyi i namiętym miłośnikiem łowów. Zajęty w samotno-

ści poezją i naturą, czuł się wśród towarzystwa samotnym. Usposobienie to zbliżyło nas do siebie, i uważano to nawet, iż Dona szukał towarzystw, w których się ze mną spotkać spodziewał. Jakoż poczęliśmy z sobą po całych godzinach rozmawiać, czytywać i żyć razem w kole niewielkiem, ale bardzo dobranem. Formy towarzyskie Dony były bardzo łatwe i gładkie, ale głębia jego ducha i uczucia była wielką; ztąd często ponury, wydawał się nieprzystępnym dla wielu, co go nie umieli ocenić. Powierzchność jego była pomimo to okazała i ujmująca i damy szczególnie zajmowały się nim bardzo, a może głównie dlatego, że się szczególnie w towarzystwie dam miał na baczności i trzymał się zdaleka.

Po odbyciu obowiązkowych lat służby wojskowej, otrzymał stopień kapitana w korpusie saperów, ale wojska nie lubił i czuł się bardzo szczęśliwym, że się uwolnił od służby.

— Jakże? zapytał mnie z uśmiechem — jak się podobała wczorajsza szlichtada? Piękną miałeś wpan parę...

— Zanim na to zapytanie odpowiem, rzekłem mu, powiedz mi kapitan, dlaczego nie należałeś do szlichtady i co znaczyło owo ironiczne spojrzenie, któreś na mnie rzucił, gdy cię mijiał w porcie, wioząc tę dame?

Dona poczał się śmiać.

— Dobry masz pan wzrok, kiedyś w przelocie sanek z oczu moich wyczytał ironią. Nie lubię tych teatralnych przedstawień i dla tego nie należałem i nie należę nigdy do żadnej szlichtady. Nie lubię

fikcyi w życiu ani mistyfikacyi, a to jest i fikcyja i mistyfikacya. Ma to być coś dzielnego i rycerskiego na pozór, a jest rzeczywiście tylko próżną, zbytkową i miękką zabawą. Te pary nie są parami, ci dzielni kawalerowie nie są rycerzami; odejmij pan dzwonki, pochodnie i bukiety, futra i stroje, a nikt na to wszystko ani rzuci okiem. Pojmuję ja to, że się świat bawić musi, ale w takim razie wolę się przypatrywać fikcyi, niż być fikcyą, wolę być widzem niż aktorem w komedyi takiej.

Ja upatrywałem poetyczną stronę w tem wszystkim i opisywałem mu wrażenia jakie z tej wycieczki na lodach wyniosłem.

— Pojmuję to, rzekł, bo od lat kilku żyję co zimę głównie na lodach i jeżeli wpan chcesz poznać poetyczną stronę północnej zimy, to zapraszam do siebie na wieś, a zrobim parę wycieczek na lody morskie i zapolujem na skandynawskie wilki. Lubię morze i odwiedzam na łodzi skandynawskie brzegi, bo nigdzie nie można tak wyszumieć z ucisku duszy jak na morzu; ale nie wiem czy nie poetyczniejsze jest życie na lodach — więc proszę z sobą na taką szlichtadę.

Było to raczej wyzwanie, niż wezwanie, i najajutrz ruszyliśmy w drogę.

Majątek Dony leżał około Klejpedy. Okolica była lesista i ponura. Jednostajne sosnowe bory przerywały tylko czarne doliny, po których się stare rozsiadły dęby...

W takiej to okolicy nad jeziorem położony był myśliwski zameczek Dony. Stare dęby tworzyły tu park naturalny, przypierający do podłużnego jezio-

ra, a mostem, który przez oszyjek jeziora prowadził, wjeżdżało się w ostepy starego parku.

Pomiędzy dębami mignął na uboczu z wieżą jakiś stary murowaniec z czerwonej cegły, a kilka gotyckich linii mówiło o jego pochodzeniu z czasów krzyżackich.

Była to niegdyś siedziba komtura i ta mała gotycka twierdza, w której wielkie były piwnice i schowki, a małe komnaty, należała do najszacowniejszych zabytków tej okolicy.

Na lewo pomijaliśmy murowaniec, minawszy most, a na prawo leżał obszerny dziedziniec, z myśliwskim zameczkiem w nowoczesnym stylu.

Dona dobył dwa jabłka z torby podróżnej z wielkim pośpiechem, domyślałem się przeto że wkrótce tu powitamy dzieci; ale w tejże chwili wyleciał od stajen młody łoś chowany, z dzwonkiem na szyi, i lecąc w największym pędzie, osadził się dopiero równo z naszymi saniami przed gankiem. Siedząc jeszcze na saniach, dał mu Dona najprzód jedno, potem drugie jabłko, pogłaskał, oklepał i widłak ruszył pędem napowrót ku stajni.

Już tedy przywitanie na wstępie do domu było niezwykle.

W wielkich sieniach stały ogromne klatki z orłami i skandynawskim ptactwem, które wrzask podniosło za wstąpieniem naszym do sieni.

Nie wiem już tego, czy przyjazd nasz był zapowiedziany, czy dom wiecznie w takim porządku i ładzie trzymany, ale cała służba dworska wyszła na nasze spotkanie i kiedyśmy do pokoi weszli, były ogrzane i wielki stos płonął w ogromnym kominie

krzyżackim, który z murowańca przeniesiony został do myśliwskiej sali. Na ciosowej kapie tego komina nie było żadnych ani napisów, ani herbów, tylko krzyż wielki komtura.

Sala była ubrana w rogi, łby dzików, jeleni, dzikich kóz skandynawskich i rob, a na kroksztynach łosich i jelenich rogów siedziało ptactwo ugrupowane ozdobnie, zrywając się niby do lotu, tak iż wstąpiwszy do sali, zdało się że to wszystko żyje i z miejsca się zrywa.

Cały dom był bardzo starannie urządzony, ale pewna ponurość i odrębna oryginalność pana domu malowała się we wszystkim.

Gdyśmy się już przed owym komtura kominem rozsiedli, otworzyły się nagle drzwi, widocznie silnym uderzeniem rozwarte, i w wielkich susach wpadła do sali wilczyca. Rzuciwszy się na piersi Dony, poczęła skomlić i lizać mu ręce i warować znowu pokornie u nóg, a gdy ją pogłaskał i pokaresował, obleciała całą salę po dwa razy dokoła, szalejąc z radości i powróciła znowu pokornie do stóp jego. Była to pieszczona wilczyca, od szczenięcia wychowana przy łóżku Dony, gdzie na niedźwiedziu sypiała. Szczenięciem przywiózł ją ze Skandynawii i wychował z ręki; sześć lat była w tym domu; szerść na niej połyskiwała się lśniącym, delikatnym włosem i nie tylko że wilczyca nie miała twardego wyrazu i dzikości w oczach, ale owszem bardzo miły i łagodny wyraz, a była tak oblesną, jak tylko pies legawy bywa.

— Moja, moja Rema, moja biedna Rema! Stęskniła się za mną! mówił Dona do niej i włożył rę-

kę w jej straszliwą paszczę, i bawił się jej zębami jak kość słoniowa białemi, a nakazawszy jej aby się u nóg ułożyła, rzekł do mnie:

— Teraz domyślasz się wpan zapewne, dlaczego ja tańczących szlichtad nie lubię; ale jak pan panią Maryą powiozłeś, tak ja pojedę z moją Remą na lody! na lody!

Ostatnie słowa wyrzekł z przyciskiem i w sposobie komendy, a Rema porwała się nagle i ślipia jej zaświeciły po wilczemu.

Dwa dni trwały przygotowania do podróży. Do orszaku myśliwych Dony należało dwóch Żmujdzinów, z których jeden mówił nawet dosyć dobrze po polsku. Język żmujdzki jest tam językiem miejscowego ludu, i Dona mówił płynnie po żmujdzku z domownikami swemi. Ci dwaj Żmujdzini, byli to zawołani myśliwi na lodach, kuci, choć w chodakach, a zagorzali, jak to zwykł być Żmujdzin, kiedy jest myśliwym. Oni też byli duszą tej wyprawy.

W siedm jednokonnych sani i w jedenastu ludzi stanęliśmy w Kłajpedzie i niemałe wrażenie zrobił w mieście ten myśliwski orszak, gdyżmy się narazie spuścili w porcie na lody.

Konie były dzielne, mierzynki rasy żmujdzkiej, które się w stadzie chowały i znały z wilkiem i wilkom bronić się umiały na lesistych paszach. Takie tylko konie są do podobnej wyprawy sposobne.

Na pierwszych saniach jechałem ja z Doną, a Rema grzała nam nogi. Każde sanie miały też po jednym psie wilczarzu, o ostrej, kolczatej obroży.

Z każdych sań sterczało strzelb kilka; sanie były mocno pakowne, opięte wilczemi i niedźwiedziami skórami i na ostrych łyżwach osadzone.

Powoli jechaliśmy tedy do Klajpedy, i dopiero na lodach poczęły pryskać konie, gdy im się ulżyło.

Pod baterya, która port zamyka, wypalił Dona z pistoletu. Na wałach pokazał się oficer artyleryi, powitał Donę jak wojskowego kolegę i pytał gdzie jedzie.

— Po lodach na wilki! była odpowiedź. A każ mi wypalić z działa w kierunku Finlandyi; puść kulę w małych kozłach, bo chcę widzieć jak lód gada, ale nie dawaj ognia, póki nie stanę na lodach.

— A jak cię wilki zjedzą? zapytał oficer z bateryi, to co będzie?

— Mniej o jednego odstawnego oficera. Każ dać ognia, nabój zapłacę.

Jeden z myśliwych ruszył w saniach ku bramie okopu, a my ruszyliśmy na lody; wystrzałami bowiem działowemi próbuje się nietylko siły lodu, ale po tem „jak lód gada“ oceniają znawcy, czy cała już zatoka zamarzła, czy nie.

Cały nasz tabor czekał na myśliwego, który pojechał opłacić nabój 24 funtowej szmigownicy, a my w pierwszych saniach ruszyliśmy naprzód.

Wyjehawszy daleko od brzegu na lody, dał Dona znak wystrzałem i położył się potem na lodzie. Jakoż po chwili zagwizdała kula działowa po lodzie ostro; zaledwo że pierwsze kozły nie można było policzyć, które przeszły następnie w pogwizd jednostajny, gubiący się gdzieś w nieskończoności.

— Dobrze lód gada! rzekł Dona, możemy choć do Finlandyi jechać po lodzie.

— Ale gdzież istotnie pojedziem?

— Możemy dojechać do północnego przylądka Kurlandyi. W zamku Domesnes mam krewnych i radziły nam tam bardzo byli; a jeżeli to się zdaleko może zdaje, możemy dojechać do windawskiego portu. Na wysokość portu libawskiego przypada ciąg wilków, jeżeli już nie przeszły, i w tej okolicy głównie będziemy krążyli na milę i dwie od brzegu, bo wilki ciągną gromadnie przez morze, ale zbliżając się do żmujdzkich i kurlandzkich brzegów, dzielą się na partye, zdaje się dlatego, aby się coprędeży i łatwiej pożywić. Bezbezpieczniej tedy jest spotykać się z niemi pojedynczo i na wabia.

Tu pogłaskał Dona Remę, która na saniach leżała. Tymczasem nadciągnął cały nasz tabór. Dona kazał najprzód opatrzyć i wystrugać śnieg i lód z rogu i pęciny koni i świeże zaśrubować ocele, których cała torba była w zapasie. Tylko stalowy śrubowany ocel, który nadto często się jeszcze ścina, wytrzymał taką sanę po lodzie.

Następnie nabito bronie świeżo, a na każdych saniach było cztery dubeltówki i cztery sztuców; przy niektórych znajdowały się mocne, długie bagnety, a były także dwa szturmaki czyli gardłacze, siekańcami nabite. Każde sanie miały tedy dwanaście strzałów, i strzelby nie stały w saniach, ale był pewien rodzaj tulijek, tak iż rzędem obok sań stały i mogły być każdej chwili z łatwością użyte.

— Daj na lodach poczesne! rzekł Dona do starego myśliwego, który z portu wziął z sobą flaszę grzanego wina.

Dotychczas jechaliśmy w pierwszych saniach, teraz dobył Dona busolę, którą nosił na piersiach upiętą na łańcuszku, i położył ją na lodzie. Jeden ze Żmujdzinów spojrział po busoli, potem po lodzie, upatrzył jakiś ciemny punkt w dojrzanem zaledwo oddaleniu i siadłszy w sanie, ruszył rażno przodem.

Po dziewiątej z rana wyjechaliśmy z portu, i jadąc w ten sposób ciągle w jednym oznaczonym kierunku, zostawialiśmy na białym gładkim lodzie siwy szlak za sobą, wypruty ostremi łyżwami sań i ostrzejszemi jeszcze ocelami.

Na otwartem morzu wisiała w pewnej wysokości mgła gęsta i mróz się sadził z każdą chwilą. W powietrzu było zupełnie cicho, a ta uroczysta cisza miała coś bardzo poważnego w sobie.

Mrok już padać poczynał, gdy Dona po raz ostatni położył busolę na lodzie; obaj Żmujdzini spojrzeli po igle i nie zdało im się aby jechać dalej.

Para szła z koni, okrytych ciepłemi, grubemi kocami. W czasie gdyśmy konie wstrzymali, pobiegł jeden ze Żmujdzinów w innym zupełnie kierunku ku zachodowi i powróciwszy, powiada:

— Tam czerni się coś na lodach z daleka, to albo *Żaba*, albo *Pierścienie*.

Tak się zwały dwie wielkie granitowe bryły, znane myśliwym i rybakom w tej okolicy, z których jedna podobna była kształtem do żaby, a druga nosiła dwa pierścienie spiżowe do utwierdzania łodzi.

Na ten tedy punkt co się czernił ruszyliśmy na nocleg. Punkt czarny powiększał się z każdą chwilą; była to istotnie bryła z pierścieniami, która na

parę sążni sterczała ponad lody, a u pierścieni była wielka rybacka łódź upięta.

Miło na takiej lodowatej pustyni spotkać się ze śladem człowieka. Łódź była nawpół zamrożona w lodzie; znać że tu mróz zaskoczył rybaków i że po pierwszym lodzie pieszo wrócili do domu.

Po jednej stronie burtnicy stanęły sanie, po drugiej konie, a my założyliśmy biwuak w samej łodzi, koło steru. Kilka luźnych desek które w łodzi leżały, były nam bardzo na rękę, bo położono je pod przednie i zadnie nogi koni. Uderzyło mnie to, że koni nie wiązano, i owszem zdjęto im nawet część okrycia ze łbów, zdjęto chomąty i kantary, a pomimo to nie rozbiegały się, ale stały w miejscu jak je obok siebie na deskach postawiono; dano im tylko świeże koce, na piersiach spięte i szerokimi popręgami przypasane. Pytałem czemu z głów końskich pozdejmowano deki.

— Bo na lodzie potrzeba czujności, rzekł mi Dona. Jakby nas wilki napadły, to konie same się bronić muszą i będą. Takie konie nie boją się wilka na lodzie, bo kute, a wilk nie kuty, więc nie ma siły na lodzie, chybaby zniecka uwiesił się u gardła koniowi. Na lodzie nacięra koń na wilka, nie wilk na konia, a te konie, że razem chowane i stadne, trzymają się hurtu.

Dobyto kocioł znacznej wielkości z pokrywą i ustawiono go w środku łodzi. Było to ognisko, czyli raczej olbrzymia fajerka olejem napełniona, o kilkunastu płomieniach. Zażegnęto ten kocioł ogniem, i wielki, jasny płomień oświecił cały tabór.

Jeden z myśliwych kucharzył. Na żelaznym trójnożku nastawiono drugi kocioł duży nad ogniskiem; w tym kotle tajały kawały lodu, aby mieć wodę do pojenia koni i do herbaty. Jakoż cała noc zeszła na tém prawie, że się topił lód w kotle nad ogniskiem i ledwo koło północy były wszystkie konie z kolei napojone.

Czeladź piła grok i jadła przygrzany bigos, koniom dano obrok w torbach, a nam obudwu z Doną dał kucharz jajecznicę z szynką i herbatę z czerwonym winem.

Mgła była opadła i prześlicznie wyiskrzyły się gwiazdy. Rema leżała u stóp naszych, a ognisko gorzało; po drugiej stronie jego leżeli myśliwi; psy tylko czuwały przy koniach. Z północy poczęliśmy drzemać...

Grzmot niesłychany ozwał się nagle na lodach, i wszystko zerwało się na nogi. Ja nie pojmowałem zrazu coby ten grzmot znaczył, bo jużciż nie grzmi na lodach.

Było to pęknięcie lodów, które się na większym mrozie ścinają, niepodobne ani do grzmotu burz letnich, ani do huku dział, jakieś podziemne, ale straszliwsze od jednych i drugich, bo słyhać było jak na milowych przestrzeniach lód w różnych kierunkach pękał i jak się z tych szczelin jakieś podlodne dobywały gromy...

Przez godzinę może strzelał w ten sposób lód, tak iż w końcu ucho nasze przywykło do tego huku.

Gdy się znowu uciszyło, porwała się nagle Rema i ruszyła jak szalona ku północy... Noc była jasna.

— Będziemy mieli gości! krzyknął Dona. Zgasić ogień, upiąć psy i za broń!

Tak czekaliśmy więcej niż pół godziny może, stojąc każdy za sańmi przy broni, zwróceniu ku stromie w którą Rema odleciała.

W końcu pokazały się na lodzie trzy ciemne, ruchome punkta, które przybliżały się ku nam z każdą chwilą. Rema igrała z dwoma wilkami; przypadając do lodu i uchodząc znowu przed nimi, wabiła je na tabór zwolna i zdradnie.

Z całego dnia była to najbardziej zajmująca chwila. Dona, który stał pierwszy na prawem skrzydle, skradał się bardzo wolno, posuwając się tylko wówczas naprzód, kiedy Rema szalała z wilkami. Oczy jednego z wilków świeciły się nam jak latarnie; aż nagle Dona dał ognia... Na ten strzał poczęła Rema uciekać co siły, a wilk, który ją gonił nawet nie spoztegł, że drugi poległ na miejscu. Konie chrapnęły, i ogier który w naszych saniach chodził, zarżał po kilka razy krótko na trwozę i zadarł łeb zuchwale; klacze skupiły się w koło niego, a Rema, obleciawszy daleko dokoła, skradała się niby do koni. Za nią o kilka kroków postępował wilk. Obaj Żmujdzini przepelzli około łodzi po lodzie i dali razem jakby na komendę ognia; wilk się powalił, a Rema powróciła w tej samej chwili do nas w wielkich susach i przypadła karnie do stóp Dony.

Po chwili zagorzało znowu ognisko. Oba wilki zwleczono do łodzi i nie śpiąc czekaliśmy dnia.

Kiedy odniało, obejrzelśmy się po lodach w około. Na wschodzie w wielkiem oddaleniu przeciągało się pasmo sinego lądu, które miejscami ciemniało,

borami przerosłe; w jednym punkcie tego pasma podnosił się ostro kopczasty pagórek, widocznie także lasem porosły i poniżej niego na krańcu lodów bieleły mury jakiegoś miasteczka. Dona dobył lunetę i poznał w niem port Połagi, a w tym pagórku mogiłę księżny Biruty, wznoszącą się koło Połagi, tuż nad brzegiem morskim. Żeglarze i rybacy nazywają tę mogiłę *Cukrową głową*, ale nasi Żmujdzini mówili: „To mogiła Biruty“.

Słońce zeszło krwawo jak ognista kula, bez promieni... Mróz zdawał się powiększać z każdą chwilą; zaprzężono więc konie do sanek, i dziś już, bo mgły nie było, kierowaliśmy naszą drogę nie za busolą, lecz za sinym rąbkiem łądu, nie tracąc go z oka.

Mgła która nocą opadła, oprószyła lekkim szronem lody, i gdyśmy na tropy zabitych wilków trafili, ruszyli obaj Żmujdzini pod trop ku zachodowi i znikli nam po chwili z oczu.

Około południa ujrzeliśmy ich dopiero przejeżdżających nam w poprzek drogę. Dona spytał co by było.

— Strzelanie lodów rozprószyło wilki, rzekli i jakośmy po tropach widzieli, dwa tylko przeszły w tę stronę, a gromada cała wróciła do lodowych skał, pod którymi nam dziś nocować wypadnie. Trzeba się spieszyć, bo tym samym tropem puszczą się w nocy od skał do łądu, a na ćwierćmilowej może przestrzeni idzie kra.

— No kiedyście u skał byli, to w ten ślad ruszajcie naprzód.

Od rana dął wiatr straszliwy od skandynawskich Alp. Jest to wiatr panujący w tym czasie i z nim przychodzą wilki do Kurlandyi. Z powstania skał lodowych na wysokości morza tworzą się ruchome odłamy, które luźno leżą na lodzie.

Jest to oryginalny i przepyszny widok. Czém większe bryły, tém silniej są pędzone wiatrem, gładka powierzchnia lodów nie daje żadnego oporu, większe bryły dopędzają mniejsze i w bryzgi idzie lód i pryska fontannami odbitych kawałków w powietrze.

Gdyśmy do tej kry dojechali, wydało nam się jak gdyby lody szły pod górę, jak gdyby po pochylej płaszczyźnie pędziła ta kra... Wypadało się tedy saniom rozpiezchać, wyprzedzać i omijać każdy odłam lodowy, wstrzymać się na chwilę lub co wyskok przyspieszać biegu, ażeby z powodzi tej kry wyjechać bez szwanku. Gdyby się koń i człowiek nie znał tu z groźnem niebezpieczeństwem, trudnoby było wyjść cało z tej przeprawy.

— Mrok padać poczynął, gdy nam się rozjaśniło od północy, jak gdyby od światła zorzy północnej: było to „*świecenie lodów*,” które skalistą ścianą nagle niby stanęły przed nami.

Para dymiała z koni. Przez dzień cały żyliśmy tylko jałowcówką i zimnem mięsem, bo chleb był zmarzły, że go nie można było ukąsić.

Konie były bardzo spędzone i głodne, bo piętnaście do dwudziestu mil robi się taką jazdą po lodzie na dobę. Dona wybrał pomiędzy skałami zamkniętą dolinkę, która nas zupełnie chroniła od wiatru. Kiedyśmy się w niej rozłożyli przy ognisku taborem,

zrobiło nam się tak ciepło, jak gdybyśmy byli pod dachem.

Wszystko, tak potrawy jak napoje, musieliśmy rozgrzewać przy ogniu; szczęściem że cały przyrząd był tego rodzaju, że się wszystko przy ogniu w zamkniętych rądlach i puszkach odgrzać i przyrządzić dało. Najgorsza sprawa była wszakże i tej nocy z topieniem lodu i pojeniem koni. Dwóch ludzi było prawie całą noc tęp zajętych, bo konie żarły łakomo, jak zwykle na mrozie, i połyły się bardzo chciwie.

Tu pośród tych lodów zrobiliśmy z Doną jeszcze z wieczora wycieczkę na lodowate skały. Jeden z myśliwych świecił przed nami pochodnią. Przepyszny był widok tych kryształowych skał, zbrylantowanych od szronu i tych dziwacznych cieni, które raz na równe padały lody, to znowu łamały się fantastycznie po wiszarach, urwistych przepaściach i pionowych ścianach.

Dona był w swoim żywiole, unosił się nad dziką pięknnością widoku i odkrywał coraz nowe strony jego.

— Co za szkoda, zawołał w uniesieniu, że Bajron nie znał tych dzikich piękności natury! Byłby on niezawodnie ujął ten obraz w całej potędze i grozie, całą potęgą geniuszu swego, i byłby w tę pustynię rzucił takich dwóch błędnych rycerzy...

Po wieczerzy kazał Dona wypocząć ludziom, a sam trzymał ze mną straż taboru.

Około północy ozwał się ze szczytu skał lodowatych głos sowy.

— Ha, ha, witam panią! zawołał do niej i zapytał mnie: czy wiesz wpan co to znaczy? Biegun

północny przesunął się ku nam: jest to polarna sowa, która tylko w najcięższe zimy w południowej Szwecji i Finlandji bywa. Odór palącego się oleju zwabił ją tutaj, i trudnoby oznaczyć z jak daleka tu dziś przybywa i po co.

— Jakto? zapytałem.

— A jużciż jak nas wilki zjedzą, to się coś z tej uczyty i sowie okroi.

Co do nas, myśmy nie widzieli wilków tej nocy, ale obaj Żmujdzini wykradli się cichaczem z obozu i gdy straż na nich dobrze z północy przypadła, odnieśli sanie w rękach, odprowadzili cichaczem dwa konie, wzięli dwa psy i ledwo że tej wyprawy nie przypłacili życiem, pojechali bowiem za tropami owej gromady wilków, która strzelaniem lodów przeszłej nocy rozprószona, z gładkiego lodu nawróciła ku skałom.

Naraz huk gęstych wystrzałów ocucił nas z drzemki: wszyscy porwali się do broni i stanęli na linii skał, w kierunku tym od którego pogwizd sań nas dolatywał. Słysząc było iż konie całą siłą sadzą. Dona nie kazał więc gasić ognia, żeby strzelcy uchodzący ku nam widzieli gdzie tabór, a psy z Remą puściły się bez rozkazu przeciw lecącym na nas saniom. Dwa wystrzały ozwały się już zbliżka, lecz gdy myśliwi nas minęli, bo koni nie można było tak wstrzymać odrazu, leciały już tylko same psy z Remą, ale wilków nie było.

— Gdzież was to licho nosi? gdzież psy? gdzie strzelby? gdzie wilki?

— Zabite leżą na lodzie, rzekł Żmujdzin strapiiony niby trochę zrazu, — strzelby się jutro od-

szukają, a reszta wilków znać poszła na Żmujdz albo do Łotyszów.

— A psy gdzie? zapytał Dona.

— Jakto? zapytał Żmujdzin, albo ich nie ma? Kiedy nie ma, to ich wilki zjadły.

Rankiem obejrzelśmy się ze szczytu skał, z których kilka do czterdziestu stóp wysokości miało, po całej okolicy dokładnie.

Jak daleko oko sięgło, jeżyła się ku północy cała powierzchnia styrmami kry zastygłej. Ku wschodowi przeciągał się siny rąbek łądu i dopatrzyliśmy przez lunetę, żeśmy się znajdowali na wysokości libawskiego portu. Biała szeroka wstęga przegradzała w znaczném oddaleniu długą smugą zielonkawate lody; był to pierwszy całun śniegu, jaki w podróży naszej ujrzyć nam przyszło. Wjechawszy na śniegi, a jadąc zawsze w kierunku ku Libawie, trafialiśmy co chwila na wilcze tropy. Widać że po tej smudze śniegu, która się może aż ku brzegom Finlandyi przeciągnęła, przyszły świeżo gromady wilków. Żmujdzini tedy nasi twierdzili, że polowanie na lodach na ten rok skończone.

Dodać tu tylko jeszcze muszę, w jakim stanie zastaliśmy rankiem pobojuwisko wczorajszej nocnej wyprawy. O kilkaset sążni od taboru leżał pierwszy wilk ubity, a na szlaku leżały cztery inne i dwa tylko łby psie z obrożami; na szlaku leżały także porzucane strzelby, bo który z myśliwych wypalił, nie miał już czasu brać strzelby do sań, ale rzucał ją na wilki, a brał inną. Konie trzymały się w saniach tak przy sobie, jak gdyby były przy jednym dyszlu upięte, by nie puścić wilka między sanie.

Nikt nie powoził, same sadyliły, równo i co wyskok, lecąc wprost na tabór. Cichaczem przyznali się potem Żmujdzini, że psy wyrzucili z sani, aby wilków trochę zabawić i że ich to ocaliło. Jednego z wilków, co się na sanie bardzo sadylił, ubito od pchnięcia bagnetem.

Gdyśmy na śnieg wyjechali, szły znowu ciężko sanie i zwolna tylko zbliżaliśmy się do libawskiego portu.

Na wypadek przewidziany miał Dona pruską flagę z sobą. Jakoż po chwili przyjechał oficer od portu i zaprosił nas w gościnę.

Kilkuset chłopów stało z pałkami nad brzegiem portu, bo zarządzono obławę, z powodu najazdu wilków, które wielkie poczyniły szkody nocy poprzedniej w całej okolicy i nawet gromadą do samego miasta wpadły.

Tryumfalnie wjechaliśmy do portu, bo za każdymi sańmi był jeden wilk utroczony. Rema wzbudziła najprzód trwogę, potem podziwienie wszystkich, a obiad smakował dobrze, bo był ciepły i w pokoju dany.

Z powrotem trzymaliśmy się blisko brzegów drogi, po której często różne pomykały sanie i saneczki, a gdyśmy do Klajpedy wrócili, było to piątego dnia wieczorem i wszystkie psy całego miasta poczęły ujadać, czując wilków wtroczonych u sani.

Można było wprawdzie zabrać same skóry tylko, ale pod murańcem komtura stała szubienica na wilki, a Dona przywiązywał niemało myśliwskiej sławy do tego, aby ją na zimę obwiesić nanowo.

...nie powoził samie sadziły równo i co wy-
skok, lecie wprost na tabór. Cichaem przysiadł
się potem zamyślił, że by wyrzucił z sam, aby
wilków trochę zapawił i że ich to osłabiło. Jednego
z wilków, co się na samie bardzo sadził, ubito od
pobojem paratem.

...dłżymy na smię wychylił, czy znawo niżko
samie i zwolna tylko xpliskaliemy się do niżawego
potu.

...Na wypadek przewidywany miał Dora przysię
łaga z koba, jakos po chwili przyszedł oświec
portu i zaprosił nas w goscine.

...kilkunet ebiłow stało z palkami nad przysię
portu, do satysfakcjo objawy z powoła naważni wi-
kow, które wielkie porozumie, szkody nocy porozu-
nie w całej okolicy i nawet zronada do zapano-
musia wpały.

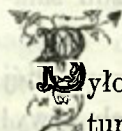
...Tymczasem wjeżdżali do portu, do za lu-
klemi samimi był jeden wilk nitroony. Lema wron-
dala najwidz twore, portu podobnie wazystoch,
a oświec szałkowal dobrze, do był ciepły i w poko-
ju dazy.

...N powrotom tymczasem się blisko przysię
dram, po której często było porozumie samie i sa-
nacki, a kłżymy do kłżady wronki, było to pa-
tore dala wprostem i wazystkie przy caryko niżata
poczekly niżad, exnuc wilków wtracoznych u sam.
Można było wprawdzie kłżad samie skłóy 7-1
ko, ale pod niżawożem komputa stala xpanim
na wilk, a Dora przysięwał niżamio niżawski
sławy do tego aby je na zime objawie napow.

II.

NA WODACH.

Odwiecznych Tatrów strażnice śniegowe!
Zdawnaście znane, a wiecznieście nowe;
Choć myśl i oko przy was się upaja,
Myśl i źrenica wiecznie tutaj gością.
Z wami przenigdy myśl się nie oswaja,
Jak nie oswoi się nigdy z wiecznością;
Bo nie wziąć myślą co oko zakreśli,
Ani wziąć okiem co ogarną myśli,
Ani was ująć, ni duchem wyświecić,
Ni w was się wcielić, ni nad was wylecić;
Tu hardość ducha mierzy się z naturą,
I rozegrana — bo nikomu górą...



Dyło to w Tatrach, i słońce chyliło się już nad
turnie. Dzień był gorący i niemiła parota za-
wisła burzą nad Tatrami.

Od kilku dni napływały chmury od Węgier, po-
łudniowym wiatrem niesione, i przedarłszy się przez
szczyty turni, zawisły na reglach, nie mogąc się ani
ochłodzić, ani wylać deszczem. Nawet noce nie orze-
źwiały powietrza i jakaś ociężałość pętała członki
i myśli...

Przed wieczorem doszliśmy do Jaszczurówki,
położonej na samem podnóżu reglów, w ciemnym
ostępie starego świerkowego lasu, pomiędzy skałami.

Dziwnie to ponure miejsce, a przy dniu w burze ciężarnym i parnie zachmurzonym, wydało się ono jeszcze więcej ponurém.

Jaszczurówka, jest to przestrzeń kilkudziesięciu sążni kwadratowych, gdzie z płytkiego niby jeziorka, zawalonego wielkimi bryłami skał, dobywa się źródło ciepłe. Jaskier i rzeżucha wodna porasta tu bujnemi kępami, a odłamy skał okryły się skorupami mchu i liszajców różnego koloru. Roślinność ta bowiem nie zaumiera tu i w zimie, ale ciepłem źródła podsycana, trzyma się świeżo. Nawet wówczas gdy zwaliste śniegi okrywają całe podnóże Tatrów, nawet wówczas zielenią się te jaskry i rzeżuchy pomiędzy skałami, jak oaza na białych piaskach pustyni, a parne mgły wznoszą się z tego jeziorka, które się nigdy nie pokrywa lodem.

Znaną jest mityczna powieść o salamandrze, że w ogniu nie ginie. Otóż nad tą powieścią zadumany, przypatrywałem się długo całemu gniazdu salamandr, które się w Jaszczurówce gnieźdzą.

Nieraz przypatrywałem się naszej pospolitej jaszczurce całemi godzinami. Cóż to za ruch żywy! cóż to za zwinność i obrotność! cóż to za prześliczne te oczka malenkie, czarne, tylko do ócz gazelli i arabskiego konia podobne! cóż to za swoboda obrotów tego krokodyla w miniaturze! Ale nic brzydszego nie znam jak salamandra. Jest to tłusta, ciężka, niezgrabna jaszczurka, czarną ślizką skórą powleczone, nakrapiana pomarańczowemi plątkami; łeb okrągławy i tłusty, nóżki krótkie jak u kreta, bokiem wykręczone; oczy mają wyraz głupiego pła-

zu, tępe i zamglone; ruchy powolne, leniwe, niezgrabne, obrzydliwe nawet.

Na głazach Jaszczurówki wychylają się one z wody i leżą po całych godzinach bez ruchu, a kiedy je nocny szron tam zaskoczy, tężeją od zimna i zamierają niby.

Cóż dziwnie mistycznego, ale i niemiłego zarazem ma widok tej Jaszczurówki i gniazdo odwieczne tych salamandr, które tam w każdym czasie i w każdej porze roku znaleźć można w wielkiej liczbie.

Dnia tego o którym mowa, spostrzegłem że salamandry pełzły od Jaszczurówki we wszystkich promieniach ku powyższym skałom, opuszczając gniazdo swoje. Od strony skał nie można było obejść Jaszczurówki, w obawie aby co krok nie stąpić na salamandrę. Zastanowiło mnie to bardzo i pytałem górala coby to znaczyło.

— Będzie psota, panie, i to długa. Od Węgier nagnało ciepłych chmur, że od paroty oddychać trudno, a kiedy te jaszczury pełzną ku skałom, to znać się boją powodzi, boją się żeby ich woda nie zabrała z sobą, bo będzie psota i psota wielka, ale nie zaraz jeszcze. Jaszczury czują najwcześniej słotę, bo to temu nie sporo, to kilka dni lezie, zanim się do bezpiecznej skały dostanie, gdzie się już wody bieżącej nie boi.

Niekoniecznie chciałem wierzyć temu, i jeszcze dnia tego pojechałem do Kościelisk na nocleg do leśniczówki, w myśli wycieczki nazajutrz na Pyszną. Towarzysz podróży czekał już na mnie w Kościeli-

skiej dolinie i już poczynił w leśniczówce przygotowania do kilkodniowej podróży w turnie.

Mieliśmy tą razą zwiedzić Starą-Robotę, Ornok, Pyszna, Smereczyny i przez Przełęcz Tomaniarską przeprowić się do Węgier.

Jakoż nazajutrz wybraliśmy się już niebardzo rano, bo mgły wielkie leżały w Kościeliskiej dolinie. Gdy się mgły nieco podniosły, ruszyliśmy niepewni, czy nie powrócimy na obiad napowrót do leśniczówki. Nasi przewodnicy nie wróżyli bowiem pogody i ociągali się bardzo i z wybraniem się w drogę i w drodze.

Uderzało mnie to, czegom dawniej nigdy nie spostrzegł, że co chwila podrywały się pstrągi w potokach i mignawszy srebrną błyskawicą, przerzucały się przez kamienie wielkimi rzutami w górę pod wodę. Gdy się to raz i drugi i dziesiąty powtórzyło, stanęli nasi przewodnicy i powiadają nam:

— Myśleliśmy że obegnamy przed słotą na Pyszna, ale nic z tego nie będzie, bo nie dojdziemy nawet do Starej-Roboty. Będzie psota, kiedy pstrąg tak idzie w górę i tak się bardzo niepokoi; będą wody naremne i wracać potrzeba. Ale żeby z próżnemi nie wracać rękoma, to sobie tu na szalasię pożyczym konewki, a nabierzem pstrągów po drodze, bo aż się same proszą.

Wracając z szalasu, jeden z przewodników podbiegł na wysoką skałę i szukał widocznie czegoś między roślinami, a wróciwszy powiada nam:

— Tuligłówka trwoży się na słotę, trzeba uciekać do domu.

I pokazał nam zwój wielkiej rośliny, która się wije i pnie po skałach, a przed słońcem okręca się mocniej i przymruża kwiaty: ztąd też jest u górali *tuliągówką* nazwana (*Atragea alpina*).

— My nałapiem coś pstrągów, a panowie idźcie przodem. Niema rzeczy. W turniach już deszcz leje i mokre chmury wałą się doliną.

Górale rozróżniają mokre i suche chmury, a dostawszy się między mokre chmury, można tak zmożnąć między niemi, choć deszczu niema, jak gdyby deszcz padał.

Tym razem wszakże wylały się wszystkie chmury deszczem, potoki poczęły przybierać, i gdyśmy na leśniczówkę wrócili, szumiał już gwałtownie Dunajec spieniony...

Dobra to zabawa przy pstrągach i kominku, kiedy taka słońca w turniach, bo nic wyborniejszego jak ogień w Tatrach, do którego rad człowiek ucieka gdy słońca, i nic wyborniejszego nad świeżego pstrąga, posolonego tylko i pieczonego na żarze.

Zabawiliśmy się z góralami i z rodziną leśniczego jak można było najlepiej; ale deszcz nie ustawał, a od wieczora nadciągnęła letnia burza z piorunami i błyskawicami, które były tak gwałtowne, że nikomu nawet na myśl nie przyszło ułożyć się do snu.

Gdy po krótkiej nocy odniało (bo było to w początkach lipca), nie ustawała burza, lecz posunęła się tylko nieco ku wschodowi, a deszcz ulewny zdawał się wolnieć na chwilę.

Wyglądaliśmy przez okna jak czyścowe dusze, wyczekując polepszenia losu, ale daremnie.

— On nie ustaje, on tylko wypoczywa sobie, mówili przewodnicy, będzie naremnica. Jeżeli panowie nie macie myśli zabawić tu dni kilka, to tylko siadać a jechać co siły, bo woda na potokach wzbiera i do wieczora przybędzie wody na Dunajcu, że go już nie zbrodzić.

Prawdę mówili górale, dobrze wróżyły salamandry, nie darmo trwożyły się pstrągi, nie darmo zamknęły się kwiaty tuligłównki przed burzą, bo na ostatnich brodach i potokach ledwo żeśmy już przebrnęli, siadając na konia, a nakładając kamieni do wózków, aby ich nie przewróciła i nie porwała woda.

Gdyśmy do Czarnego-Dunajca przybyli, zastaliśmy całą ludność na wysokim brzegu. Cała wieś wyległa w trwodze o bydło i trzody będące na paszach za wodą, a woda rosła z każdą chwilą i strach było żeby się nie potopił statek. Rażne parobczaki przeprowały się na szczudłach przez rzekę i straszno było patrzeć, jak kroczyli wśród łomów kamieni i spienionych prądów, bo każdy krok pochybny groził tu śmiercią.

Parobcy ci przeprowaiali się przez rzekę, by poratować pasterzy, którzy po drugim brzegu z bydłem i trzodami stali, a każdy z nich miał zapasne szczudło, bo już i pasterze mogli się także tylko na szczudłach przeprować napowrót do domu przez rzekę.

Bydło przepędzano tylko małemi częściami, owce takimi stadkami jak się razem pasły, a za każdym statkiem kroczyło dwóch lub trzech parobków na szczudłach, kierując go żerdziami.

Brzeg na którym ludzie stali był wysoki; owce wyrywały się rażno z wody, ale bydło spadało z brzegu, który się obsuwał, i woda unosiła je coraz niżej.

Tu przyszło mi tedy podziwiać zręczność, przytomność i odwagę górali.

Silne tyki, zakończone ostremi widełkami, wkręcali w grzywę koni i w ogony bydła, a na rogi zarzucali po takich tyczkach siłki z lin i sznurów tak zręcznie, iż koń lub bydło, niby w kleszcze chwyczone, podnosiło się z wody i zaratowane siłą ludzką, wydobywało się na brzeg.

Nie mieliśmy zamiaru zostawać w Czarnym-Dunajcu, a słysząc że się na długą słoć zanosi, chcieliśmy pospieszyć do Szczawnicy, gdzie wielkie towarzystwo kąpielowe zebrane dawało nam nadzieję, że i w czasie słoć można będzie użyć towarzyskich przyjemności.

Wypadało tedy spieszyć. Przesiadłszy się na świeże wózki, pędziliśmy co wyskok po równym, bitym gościńcu, prowadzącym na Nowy-Targ do Czorsztyna.

Szum Dunajca dolatywał nas w ciągu całej tej podróży, bez względu prawie czyśmy się od niego oddalali, czyśmy się zbliżali do niego.

Noc zapadła ciemna i deszcz sznurkowy puścił się ciurkiem. Tak nawalne deszcze nie są znane w kraju równym, ale tylko przy alpejskich i przy zwrotnikowych krainach.

Nad ranem prawie stanęliśmy w Ostrowsku, przemokli do nitki, i dalej jechać nie było już sposobu.

W Ostrowsku, w dużej gospodzie na głównym trakcie Nowotargskiej doliny, było już dużo ludzi zebranych przed świtem. Gospodarze naradzali się ze sobą, co robić na to i na owo, gdzie paść bydło w czasie powodzi, jakby jeszcze sprowadzić statek, który za wodą pozostał, gdzie upiąć zapaśne splawy drzewa leżące na brzegach, aby ich powódź nie zabrała, słowem, około wielkiej karczmy była cała wieś w ruchu, a wójt wraz ze starszymi z gromady wydawał rozkazy.

Wielkie ognisko gorzało na izbie przed piekarskim piecem, w którym pod chleb palono.

Przebrawszy się, grzaliśmy się przy tym ognisku, a dzień poczynało na świetle.

Deszcz nie ustawał, lecz owszem zdawał się powiększać co chwila. Zlewa szumiała po dachu wielkiej karczmy i coraz nowe tworzyły się potoki po polach, po łąkach i drodze.

Dalej jechać nie było sposobu i górale nie radzili się ruszać z karczmy, mówiąc że na potokach nie przejdziemy nawet do Krościenka, a cóż dopiero przez Dunajec do Szczawnicy.

Dwie doby tedy siedzieliśmy w karczmie w Ostrowsku, a deszcz nie ustawał ani na chwilę.

Był to dzień trzeci ulewnego deszczu i przed wieczorem przybyły *naremne wody*.

Dla przypatrzenia się całej okolicy w czasie powodzi, zajęliśmy na strychu dwa dymniki, z których się rozległy odkrywał widok na Tatry i znaczną część Nowotargskiej doliny.

Pod wieczór gromadziło się coraz więcej ludzi do karczmy, bo tylko murowany gościniec, który

się w sposobie grobli wynosił ponad pola i łąki, służył jeszcze do komunikacyi.

Szmaragdowa zieloność doliny, osnutej tysiącem mniejszych i większych potoków, które się z sobą łączyły tworząc małe jeziora i których wody w różne strony przewał brały, była w wieczornej zorzy podobna do zielonej gazy, naszytej srebrną tkaniną. Wszystko zdawało się drżeć i pływać w tej srebrnej zieloności, a Dunajec szumiał tak straszliwie, że od tego szumu i drżenia ziemi trwożyli się ludzie i ryczało bydło....

Niezwykła jasność zaświeciła już samym wieczorem wązkim pasem nad Tatrami.

— Żle! rzekli górale, to Węgierka tak świeci na słońce.

Kilka razy zdało mi się w ciągu dnia, że poznaję mewy po locie, które się z wrzaskiem tłukły w powietrzu. Nie ufałem wszakże sobie; lecz kiedyś górali zapytał co to za ptaki, rzekli mi:

— To morskie ptactwo.

Na dziesięć dni, a nawet na dwa tygodnie przed naremną wodą, wzdłuż Wisły i Dunajca leci gromada mew, aż od wybrzeży morza Bałtyckiego i przybycie tych ptaków do Nowotargkiej doliny jest dla górali zapowiedzią *naremniczy*.

Pod wieczór uważałem, że szum Dunajca zdawał się ustawać.

— To też to źle, panie, rzekli górale, bo woda ląduje i występuje z brzegów.

Zato powiększał się szum małych potoków, i te co jeszcze rano płynęły za spadkiem doliny, cofały się teraz wstecz i poczęły się rozlewać szeroko.

Nikt we wsi nie spał przez noc całą, ale większa część ludności oblegała podsienia, sienie i izby.

Po północy ozwał się jakiś krzyk przeraźliwy przed karczmą... Wypadliśmy na podsienia. W znacznem oddaleniu niosła woda cały dom drewniany: w dwóch oknach domu świeciło się jeszcze. Znać gdzieś z brzegu niespodzianie zabrała woda ten dom i niosła na zaturę...

Coś strasznego miał ten widok w sobie. Światło w oknach przyświecało czasami mocniej; strwożeni ludzie przyklękli na podsieniu i mówili paciérz.

Gdy się dzień zrobił, cała okolica była pod wodą. Dunajec, wsparty na wylomie w Pieninach, nie mogąc ulać obfitości wód swoich, tworzył jeziora na większych zatokach doliny, a drzewa unoszone przez wodę krążyły dokoła tych jezior, tworząc olbrzymie wiry, których prąd główny nie leżał pośrodku wód odlanych, ale przy brzegu.

Na jazach powyższych były widne przepyszne wodospady, od których silny szum dolatywał. Wody wydawały się na oko spokojniejsze, lecz drzenie ziemi nie ustawało...

Czasem też powstawał oryginalny szum starcia okrągłaków granitowych w prądach Dunajca. Powódź zrywała dawne ławy granitowego odtoku, a odsypywała nowe.

Brzeg wysoki, wodami podbity, urywał się tu i owdzie co chwila; ziemia się trzęsła, gdy powódź obmywała brzegi i niosła ławy kamieńca...

— Wielkie szczęście, rzekł mój towarzysz podróży, żeśmy nie żyli na świecie, kiedy wody tworzyły doliny. Mówimy sobie tak od niechcienia o naj-

nowszych formacyach napływowych, jak o czémś bardzo niewinnem, a mam to przekonanie, że człowiek nie zniósłby widoku pierwotnych wód świata, że nie przeżyłby widoku formacyi jednego pagórka.

Towarzysz mój leżał na posłaniu kiedy to mówił, a ja, stojąc u okna, zapytałem go:

— A czyby zniósł widok płynącej wyspy?

— Co to jest płynąca wyspa? zapytał mnie, zagłębiany w okropnościach, które się dziać musiały, gdy się kształtowała powierzchnia ziemi.

— Jest to taka wyspa, jaka teraz właśnie po Dunajcu płynie.

Zerwał się z posłania i poskoczył ku oknu.

W istocie był to prześliczny i osobliwy widok. Zielona jak ruta wyspa posuwała się powoli po wodach. Kilkadziesiąt gonnych świerków rosło na tej wyspie, a nadto były one jeszcze młodą świerczyną podszyte. Cały pokład ziemi, korzeniami związany, trzymał się silnie, jak gdyby wyspa na galaryze płynęła; wolno posuwała się przodem, wierzchołki drzew drżały, ale żadne drzewo nie wychodziło z pionu.

Wtém stanęła nagle wyspa na jazie; kilka drzew poszło kłębem w przepaść, wyspa rozerwała się w kawałki i w jednej chwili poszły wszystkie drzewa w bryzgi i drzazgi, łamiąc się jedno o drugie. Niektóre z nich wbiły się szczytami w ruchomą ławę kamieńca, stercząc korzeniami w górę, inne na powal upadłe, sterczały w olbrzymich drzazgach i łomach na jazie zastrzęgłe, a jeszcze inne popłynęły Dunajcem....

Co chwila niosła coś woda: potopione bydłeta, trumny i kolébki, drzewa zielone i kości mamutów, sprzęty domowe i odtok granitów, słowem, niosła żywe, umarłe i przedpotopowe.

I cóż to za potęga tych wód naremných, kiedy z trzech różnych światów wybierają dla siebie zdobycze!

Górskie wody, jak nagle przybierać zwykły, tak też opadają nagle; ale widok Nowotargskiej doliny był niemiły na wybrzeżach Dunajca po opadnięciu wód.

Jakiś chaotyczny nieład spławionego świata, zasp namulistych, drzew i kamieni w styrm zwalonych, białym odtokiem granitu zawalone pola i łąki, uderzały niemiło, a ponad doliną hałasowały tylko mewy, objadając ości pstrągów i łososi, wyniesionych z potoków i rzek na mieliznę.

Czarne chmury owisły ciężko nad Tatrami i zakryły piękny ich widok, a z głębokich kotlin regli kurzyły się słupem białe dymy, odbijające przykro na tle czarnych lasów...

Dwa trzonowe zęby mamuta przyniosły nam dzieci, bo leżały na wierzchu niedalekiej zasy, a dwie rozbite trumny, w których reszta kości leżała, pochowali ludzie na cmentarzu przy kościele.

Kiedyśmy po tym świeżo spławionym świecie spuścili się jak po potopie do Szczawnicy, zastaliśmy całe towarzystwo [przerażone i zmęczone po przebytej słońce.

Dzień jeden był jeszcze mglisty i posepny, ale już dnia trzeciego zeszło lipcowe słońce i ozłociło szczyty Pionin tak uroczo, że wszyscy zapomnieli

o niemiłym wrażeniu dni przebytych i czuli się ożywieni oddechem odświeżonego górskiego powietrza. **III** Powódź dokuczyla, a w towarzystwie które się bawić pragnęło, chciano sobie powetować dnie stracone i zarządono wycieczkę po Dunajcu na łódkach w Pioniny.

Nowotargskiej dolinie nie zbywa na pięknych widokach, owszem co chwila pokazują się Tatry z coraz nowego punktu, jakby się nową krainę widziało.

Znane i najwyższe nawet szczyty turni zmieniają kształt i wysokość swoją, w miarę oddalenia i punktu widzenia. Nigdy, przenigdy nie może się oko oswoić z temi pięknościami natury. Wszystko wiecznie jest tutaj nowe i świeże jak oddech tych gór, nowe i świeże jak ich roślinność, nowe i świeże jak mgły i chmury, silne światła i cienie, nowe i świeże jak myśli i uczucia, któremi te widoki w grze nieustannej nawiedzają ducha i nawodzą serce....

Ztąd to pochodzi ta owa tęsknota do gór, ztąd to pochodzi owo nigdy wprzód nieznanie uczucie silnych wrażeń natury, gdy się wśród nich i pod nimi znajdziemy; ztąd to ów żal w końcu, z którym góry opuszczają przychodzi.

Kto się nie czuł natchnionym wśród nich, kto się nie czuł lekkim i bezpiecznym w sobie, gdy tem powietrzem oddychał, kto się z tęsknotą nie rozstał

z Tatrami, żywiąc nadzieję że je jeszcze kiedyś zobaczy, ten nie żył ani wiarą, ani miłością, ani nadzieją, i drzwi do nieba zostaną mu na wieki zamknięte, bo w przedśionku wielkich natchnień nie miał nic do złożenia!

Tatry i Pioniny — Pioniny i Tatry! Pamiętam jeszcze te lata, w których się wszystko co swoje obcym dla nas stało i kiedy zaledwo do nowych odkryć nie należało to, że Bóg Tatry stworzył.

Tatry i Karpaty były o wiele wprzód w całym naukowym świecie znane niż u nas. Zwiedzili je znakomici uczeni i badali pod względem nauk przyrodniczych. Dzieła ich, rozprawy i zbiory wyświeciły miejscowe stosunki i odniosły ten naukowy materiał do skarbnicy wiedzy europejskiej. Dla większej publiczności wystarcza to już; tych zaś coby specjalniej chcieli się oświecić o naukowych poszukiwaniach i naturze tego przedmiotu, odsyłam do studyów moich, umieszczonych w „Bibliotece imienia Ossolińskich“ p. t. „*Muzeum natury we Lwowie.*“

Zaszczytnie przychodzi wspomnieć na tém polu dzieła, badania i prace zasłużonych mężów. Na polu geografii, geologii i geognozyi: Hacquet, Fichtel, Staszic, Schindler, Beudant, Genersich, Wahlenberg, Sydow, Pusch, Lill de Lilienthal, Du Bois, Andrzejowski, Zeiszner, Aloizy Alth, Stan. Borkowski, Tytus Dzieduszycki; na polu botaniki: Wilibald Besser, Szywerek, Polaczek, Szultes, Friedlaender, E. Christiani, bracia Kosińscy, ksiądz Mauksz, Herbach, Aleks. Zawadzki, Wittmann, Ducilowicz, Wilhelm Alth, J. Kanty Łobarzewski, Berdau; na polu zoologi: Konstanty Pietruski, Estreicher, Karol i Leopold Sacher,

Gloisner, Nechaj, Krater, Włodzimierz Dzeduszycki, Kaźmirz Wodzicki; w meteorologii i klimatologii: Van Roy, Weiss, Steczkowski, Kunzek.

W świecie tedy naukowym były Tatry znane i interes jaki z wolna obudzała umiejętność, powiększał się w miarę tego, jak artykuły turystów, obrazki poetyczne i zbiory pieśni gminnych zapoznawały publiczność naszą z widokami i pięknosciami tych górskich okolic.

Od tego czasu poczynają się wycieczki w Tatry, i był taki dziesiątek lat, gdzie całe pokolenie odwiedzało Tatry. Było to przed otworzeniem u nas kolei żelaznych; od tego wszakże czasu zapytuje każdy: czy kolej prowadzi do Tatrów? a że nie prowadzi, wolą dzisiejsi turyści jechać na wystawę kolejną żelazną i wygodnie przespać drogę w wagonie.

Zanim się Anglicy zaetablisują w Tatrach i z całym komfortem urządzają hotele, nie ma nadziei ażeby się to pokolenie zobaczyło z Tatrami, albo właściwiej mówiąc, aby Tatry miały zaszczyt przedstawienia się temu pokoleniu.

Ci co nie należą do postępowych zgniłków i mazgai, potrafią i dziś dostać się w Tatry na góralskim wózku. Ich to przewodnikiem być pragnę, bo dać można tylko tym, co wziąć pragną.

Najdawniejsi turyści tatrzańscy są kąpielowi gości Szczawnicy i Krynicy. U tych zdrojowisk rozgrzało się niejedno serce, powróciły niejedne siły do pierwszego zdrowia; a jak deser jest koroną uczty, tak dla kąpielowych gości Szczawnicy i Krynicy była wyprawa na łódkach przez Pioniny.

Sławę Tatrów i Pionin roznieśli po kraju ci, co u zdrojowisk Szczawnicy i Krynicy szukali ratunku i wytchnienie znaleźli.

Wielka scena natury ma, podobnie jak teatr, swój parter, swoją galeryą i łoże swoje. Dla Tatrów i Nowotargskiej doliny jest prawdziwą łożą widok z Czorsztyńskiego zamku.

W pobliżu uderzają skaliste podnóża zamku i zabrzeża malownicze Dunajca. Ku zachodowi rozciąga się jak szmaragd zielona dolina Nowotargska, osnuta srebrną, szumiącą wstęgą Dunajca. Górską strzeżogą zadęte, stoją Tatry na poleć i widać całe ich pasmo wyraźnie od *Diabiego koszar*, na Spiżu, aż do *Osobnicy* na Orawie; a naprzeciw Czorsztyna, tuż nad Dunajcem, wznosi się po stronie węgierskiej starożytny zamek na Niedzicy.

Komu pragniemy Tatry pokazać z łoży i w pełnej okazałości ich otoczenia, z całym tym arsenalem piękności natury, tego wypada postawić na zwaliskach Czorsztyna, a ztąd ujrzy i wie gęsto nasiadłe, rozsiane po całej Nowotargskiej dolinie, i kościoły, i zamki, i dwory stare; tego doleci tu i szum Dunajca grającego na wirach, prądach i progach, i zajmie go mgła, i gra obłoków snujących się nad Tatrami lub u podnóży Tatrów, co wszystko razem wprawia umysł w jakieś przedziwne zadumanie...

Wspomnienia Zawiszy Czarnego wiążą się do Czorsztyna. To daje pewien nastrój duszy i sercu, zwłaszcza gdy po drugiej stronie stoi zamek Niedzicy, tak hardzie wspaniały, jak był niegdyś; wszystko też w nim i na nim nosi cechy starożytne, a ró-

żni się tём głównie od Czorsztyna, że jest mieszkalnym i zamieszkanym dotąd.

Gryfici nasi posiadali niegdyś ten zamek i tarcza Gryfem, bardzo starożytnego rysunku, świeci dotąd nad furta, czyli bramką wchodową do zamku; a w niejakiem oddaleniu przed drogą wjazdną stoi starożytny dąb, o którym górale mówią, że stał tu już wówczas, kiedy budowano zamek i że jednego tylko zostawiono na pamiątkę dąbrowy, którą porastało zabrzeże Dunajca, kiedy zamek na Niedzicy stawiano.

Dla zrozumienia tej całej okolicy, trzeba się uciec do miejscowych podań.

Cała Nowotargaska i Orawska dolina była niegdyś zalana jeziorem, zanim Dunajec przebił sobie drogę przez Pioniny, a Orawa w połączeniu z Wagą przez skaliste pasmo gór Fatra. Dno Nowotargskiej i Orawskiej doliny świadczy o tём po dziś dzień.— Jadąc od Czorsztyna wzdłuż Nowotargskiej doliny przez Nowy-Targ i Jabłonki do Orawy, natrafia się na wielkie torfowiska, które się od wsi Ostrowska poczynają i które się najszerzej rozpostarły na wodnym dziale, na wierzchowinie pomiędzy Orawą a Dunajcem, zwanej Czarném bagnem, a nareszcie w głąb na Orawską dolinę przechodzą. Bagna te i torfowiska nazywa lud *pustaciami*. Leżą one po wyższych stanowiskach Nowotargskiej i Orawskiej doliny, na dawnych wierzchowinach jezior, są ich pozostałościami roślinnemi i świadczą o tём, że w tej samej wysokości nad poziomem morza, jak się dziś dokoła środkowych Alp rozlewają jeziora, otaczały także niegdyś lity skalisty zrąb Tatrów

wielkie jeziora tatrzańskie, które opadły za biegiem Dunajca i Orawy. Tatry były podówczas wyspą i legenda miejscowego ludu tłumaczy najlepiej tę odwieczną tradycją natury i dziejów.

Ha! ha! pocieszne i pytanie wasze!
 Zkąd się w tych górach wzięło plemię nasze?
 Czemuż to człeku nie pytacie o to,
 Zkąd się w tych Tatrach bierze nasze złoto?

Od wieków wieka, jak lasy i hale,
 Osiedli wszystkie te działy górale,
 Lecz jako każdy dziś wam jeszcze powie,
 A naszym ojcom mawiali ojcowie,
 Drzewiej tu u nas inaczej bywało:
 Gdzie dziś doliny, tam jezioro stało,
 Po „Gorzec“ tylko zbierała miód pszczoła,
 A Tatry Dunaj oblęwał dokoła.
 Gdzie dziś Orawa i Dunajec płynie,
 Morska się ryba pławiała w głębinie,
 I tak to było. Aż lud uweselić
 I między ojców polany podzielić,
 Ściągnął król w góry ze stolicy swojej
 I stanął w „Gorcu“ gdzie „Święty Krzyż stoi—
 „Gorzec“ ztąd zwany, bo dał go pan spalić,
 Chcąc z tego miejsca Pana Boga chwalić,
 Bo spada Gorzec ku stronie słonecznej.
 Więc znał pan naród w tém miejscu bezpieczny,
 Stanął na Gorcu i spojrział wokoło,
 I zdjął koronę i przegarnął czoło;
 A potém krzyknął na swoje narody:
 „Złamać te skały i spuścić te wody!“

Lecz lud stał niemo, choć rozkaz był dany,
 Bo nie był naród na posłuch złamany,
 A jak tu łamać skały co Bóg stworzył
 I spuszczać Dunaj nieprzejrzany okiem?
 Więc do czakana sam król się przyłożył
 I ów wiekami kamień niespożyty
 Jest na Pioninach od króla rozbity,
 Bo ciął i przeciął — a łomem szerokim
 Zbiegły te wody aż po Tatrów krajec
 I opadł Dunaj — a został „*Dunajec*.“

Temu co legendom wiary nie daje powiemy, że w kronice Nowotargskiej doliny, prowadzonej niegdyś w opactwie księży cystersów, świadczą wszystkie erekcye wsi i zamków w Nowotargskiej i Orawskiej dolinie położonych; że są osadzone na dnie dawnych jezior, po przecięciu Pionin, któremi opadły wody tych jezior. Tradycja jeszcze dodaje, iż król przecinając Pioniny, strudził się bardzo i mówił: „*Będzie tu chłodno, głodno, ale swobodno!*“

Od starożytnych tradycyj, wracamy do towarzystwa w Szczawnicy.

Od dwóch dni wożono łódki z Krościenka do Czorsztyna na wozach przez góry, bo czterdzieści kilka łódek potrzeba było na to, aby szumnym Dunajcem na wodospady jego spuścić całe towarzystwo z Czorsztyna do Szczawnicy, przez wyłom Dunajca na przestrzeni Pionin.

Łódki te są płytkie i z jednego pnia wystrugane, ale dla bezpieczeństwa bywają zawsze po dwie razem wiązane z sobą.

Spadek Dunajca jest na przestrzeni od Czorsztyna do Szczawnicy tak wielki, iż z powodu wirów, nagłych prądów i progów spadzistych, łódki idą tylko z wodą i muszą być około Czorsztyna napowrót przystawiane lądem.

Całą tą wyprawą kierował mądry Salamon, znany powszechnie sołtys w Szczawnicy, który przy wszelkich okazjach prowadził całe towarzystwo i hetmańił całej wyprawie. Charakterystyczne, piękne i okazałe rysy tego króla Pionin zachował Tępa w prześlicznej akwareli.

Salamon, dziś starzec już bardzo podeszły, był wówczas jeszcze mężem w pełnej sile: strach było, gdy wydał rozkaz podwładnym. Czy z rodu zwał się Salamon, czy mu ludzie tę nazwę dali, nie wiem; ale człowiek ten był żywem wcieleniem tradycyi Nowotargkiej doliny i Pionin.

Nikt o świętej Kindze nie umiał tak opowiadać legend jak Salamon. Przytęm był on dworak wielki, a raczej wspaniały marszałek, który wiedział co się komu należy, co się należy wszystkim i jemu.

Ładem szła każda zabawa i ręka, kiedy on podjął to, co trudem i ciężarem w tej zabawie było.

W każdym towarzystwie jest królowa, ale tu był cały kongres dyademów i księżniczek, i jeżeli co górowało, to powszechne zajęcie wszystkich kawalerów wszystkiemi paniami.

Na brzegu Dunajca, pod skałą, stały łódki upięte, rzędem ustawione, gdyśmy się z ruin Czorsztyna spuścili do brzegu.

Pierwszą łodzią kierował Salamon, co znaczyło, że wszyscy na te prądy kierować mają łódki i spu-

szczać je na te lejki po progach, na które on pokieruje.

Odbijając już od brzegu, pogroził wiosłem sternikom i kazał zwolna odbijać, aby każda łódka czas miała ujsć na wodospadach przed płynącą za nią.

Ledwo że się cały szereg łódek rozwinął i że czoło tej flotyli zbliżało się ku Niedzicy, uderzył nas osobliwszy widok.

Tuż nad węgierskim brzegiem pod zamkiem, o który się nasze łódki otrzeć miały, stańło teraz kilkunastu węgierskich panów, w bogatych strojach, w asystencji kilkunastu hajduków.

Z krużganku zamkowego ozwał się marsz Rakoczego, przez Cyganów grany, a z narożnej baszty poczęto bić z moździerzy.

Cudownie roznosiło echo aż po Tatry i Pioniny odgłos tych wystrzałów i szare mury Niedzicy oświecił jasny promień słońca, i rozweselone patrzyły na nas.

Hrabia Paluczaj odprawiał sądy na Niedzicy, a widząc jakieśmy się z ruin Czorsztynu spuszczał Dunajcem, zastąpił z całym swoim towarzystwem drogę i ile to się dało w przelocie łódek, zapraszał na Niedzicę w gościnę.

— Stój Salamon, bo zarąbię! krzyczał w słowackim narzeczu.

Salamon! chciał być hrabiemu powolnym, ale nie zdołał w pędzie swej łódki zatrzymać.

Paluczaj, chcąc koniecznie zniewolić całe towarzystwo do wstrzymania łódek, rzucił z galanterią swój sobolowy kołpak, z czaplą piórem i trzęsieniem brylantowym, pod nogi pań siedzących w łódce.

I łódka popłynęła dalej, a muzyka grała, a z moździerzy bito, aż się wszystkie już łódki przemknęły rwiącym prądem popod Niedzicę; wówczas dopiero przybił Salamon do brzegu i całe towarzystwo wysiadło po węgierskiej stronie.

Hrabia Paluczaj i wszyscy panowie węgierscy przeszli potem z odkrytymi głowami aż do pierwszej łodzi. Był to siedemdziesiątletni starzec, poważnej, pięknej, rycerskiej postaci.

Damom, które w pierwszej łódce siedziały podał Salamon rękę i wyskoczyły na brzeg, a jedna z nich niosła Paluczaję kołpak w rękę i pośpieszała na spotkanie, by mu go oddać.

— Moja czarownico! rzekł Paluczaj po słowacku, zabrałaś mi serce i głowę, to trzymaj i kołpak.

I tak się stało. Stary Paluczaj podał jej rękę i szedł z odkrytą głową, a ona trzymała kołpak w rękach.

Panie nasze, nieprzywykłe do takich raptusowych grzeczności, były nieco zdziwione, ale musiały się z nimi oswoić, bo piękne, poważne i pełne uszanowania postacie panów węgierskich wzbudzały zaufanie.

Kilku z nas znało się zdawna z hrabią.

Gdyśmy już z pola na drogę zamkową weszli, była cała droga od starego dębu młodemi świerkami wytyczona. Hajduki uformowali szpaler w dziedzińcu i muzyka spuściła się z wysokości baszt, a huk moździerzy ustał dopiero wówczas, gdyśmy już przeszli progi zamku.

Obydwa towarzystwa wprowadził Paluczaj do sali zamkowej. Tu przedstawił się sam wszyst-

kim, a my przedstawiliśmy jemu całe towarzystwo nasze.

Ów rubaszny niby Madźjar, który dobywszy szabli wstrzymywał na pozór gwałtem nasze łódki na pograniczu, przybrał tu odrazu rolę gospodarza domu i człowieka światowego wielkiego salonu.

Duch wstąpił w nasze panie, które pojęły że nie są w jasyr wzięte, a hrabia Paluczaj prawił w języku francuzkim czarownicy swojej:

— Siedzę tu stary na granicy i nudzę się i odprawiam bardzo niemłą czynność; bo sądy na gardło. Od dwóch dni widzę, że przybywa łódek na Dunajcu, a żem stary, domyśliłem się reszty. Wiedziałem, że będą piękne panie, wiedziałem, że możemy mieć dzielnych tancerzy; wiem, że mam doskonałą muzykę w zamku, więc chciałem starej Niedzicy przypomnieć dawne czasy i zapraszam na bal. A panią, jako czarownicę moją, proszę na gospodynię zamku. Voici mon maître d'hôtel et mes sujets, chère chatelaine. Ordonnez, car il y a garde-manger et cuisinier. Vous n'avez qu'à commander ce qu'il vous conviendra.

Po krótkiej konferencji z hrabią i marszałkiem, ułożył się obiad i bal. Obiad był dobry i nie tak bardzo zaimprovizowany, jak się zrazu zdawało; a bal był nawet świetny, bo panie posłały po toalety świeże do Szczawnicy, i jeszcześmy przy stole siedzieli, kiedy kilka panien służących przybyło na wózkach do Niedzicy, a za nimi wiozło kilkunastu hajduków na koniach zawiniątka i pudła.

Panie ubierały się w balowej sali, a my w jednej z baszt bawiliśmy się po mężku pucharem i strzelaniem z pistoletów do celu.

Gdy salę wieczorem oświetlono, zastaliśmy już w niej postrojone panie i Paluczaj rozpoczął z „czarownicą“ bal polskim tańcem.

Następnie szedł mazur i czardasz naprzemian, a że to w lipcu noc krótka, uderzyła różana zorza w małe okna zamku na Niedzicy, kiedy się zdawało, że bal zaledwo się rozpoczął.

— Panowie! krzyknął Paluczaj, proszę na ustęp! balowa toaleta pań nie lubi świtu.

Muzyka ucichła. — I była chwila jakiegoś krótkiego oczekiwania.

Do sali wstąpiła okazała postać, opięta w węgierską góralską burkę. Był to Salamon. Rzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

I skłonił się całemu towarzystwu poważnie.

Paluczaj postąpił ku niemu i pozdrowił go:

— Jak się oni mają, sąsiedzie?

— Dobrze, wielkomożny panie a grafie mój! dobrze się mam, kiedy w gościnie na Niedzicy. Otóż przychodzę podziękować za gościnę i zapraszam wielkomożnego pana w gościnę do Szczawnicy. Pięknie się państwo zabawiło, a łódki czekają. W nocy kazałem sprowadzić łodzie pod węgierskich panów, i nie będzie ciasnoty ani biedy na progach, bo nocą na Dunajcu wody trochę przybyło.

— Kiedyś mi taką czarownicę przywiózł, to mi teraz wszystko jedno, choćbyś mnie i w Dunajcu utopił. Jadę z wami!

— A sądy? — wielkomożny panie, co będzie z sądami? Szkoda tych chłopców. I obracając się do pań, dodał Salamon:

— Proście panie hrabiego za nimi!

— Co to jest? co to jest? — pytali wszyscy, i jakimś magnetycznym drgnieniem spoważniało całe grono do razu.

— Dwóch opryszków sądzą tu na gardło. Dziś ma zapasć wyrok i nim w Szczawnicy będziemy, żyć już przestaną.

Taki szmer rozszedł się po sali. Panie nasze rzuciły się w prośby, ale hrabia Paluczaj stanął nagle zimno i stromo, nie odpowiadał paniom na wszystkie zaklęcia i zwracał mowę tylko do Salamona, jakby z nim jednym miał do czynienia.

Myślałem żeś ty mądry, a ty każesz prosić o to, czego zrobić nie mogę. Wiész o tém, że nie mam prawa łaski; prawo łaski należy do mojego pana i króla. Ja tu nic zrobić nie mogę, bo jako sędzia, trzymam się prawa.

— Zdrów bądź, wielkomożny panie! rzekł Salamon. Ja nie proszę dla opryszków ani o szubienicę, ani o łaskę. Ja proszę aby byli tém prawem sądzeni, pod którym się urodzili. Są to ludzie nasi; oddajcie ich, wielkomożny panie, nam a my ich osądzim. Ja sołtys, a to ludzie ze Śromowiec. Ja wezmę ich za wodę i ukarzę sam. Bo i nareszcie o czém tu mówić; opryszki! opryszki! A ja to nie byłem opryszkiem? a pan graf nie był opryszkiem? Nie chodziliśmy po szalasach? nie straszylśmy dziewcząt? Całą noc przesiedziałem z nimi w wieży i wypytałem ich dobrze: nikogo nie zabili, nikogo nie rozbili. Ot,

bujne próżniaki! Wpadli na szalas, ale bo i jeden i drugi miał tam kochankę, sprowadzili kobzę i tańczyli; na drugim szalasię zjedli kilka oszczypków, na trzecim barana, ale przynieśli wódki, chleba i tytoniu. Hajducy ich złapali w lesie, ot i wisieć mają.

Paluczaj rzekł groźnie:

— Czego chcesz odemnie? mów mądrze!

Na to rzekł Salamon poważnie:

— Chcę aby ich wziąć z pod węgierskiego prawa, a oddać pod nasze.

— Tak-że mi gadaj! odrzekł Paluczaj, i dziękuję ci sąsiedzie, że mi ciężar z głowy spada.

Tu zawołał jednego z urzędników sądu i podyktowawszy mu krótki akt po łacinie: „że sprawę graniczną o dwóch opryszków odstępuje sołtysowi Salamonowi w Szczawnicy, aby wedle krajowego prawa ukarani zostali,“ kazał przyprowadzić uwięzionych i oddał Salamonowi akt i winowajców.

Weszło dwóch młodych góralów do sali. Piękne chłopcy; śmiertelna bladeść na ich twarzy wzbudziła powszechną sympatyę, i teraz dopiero ocenili wszyscy doniosłość tej sprawy, i panie rzuciły się dopiero teraz do hrabiego, dziękując mu serdecznie za tak szczęśliwy obrót dany tej sprawie.

Paluczajowi spadł widocznie kamień z serca i rzekł, kończąc tę groźną scenę:

— Nie sądzicie panie, żeby urząd sędziego był miły. Bardzo rad temu jestem i wdzięczen będę Salamonowi za to, że ta sprawa taki obrót wzięła.

Salamon podziękował hrabiemu i dodając straż więźniom ze swoich ludzi, rzekł do nas:

Ładźcie się państwo do drogi; ale że gardłowa sprawa pilniejsza, muszę tych próżniaków najprzód przeprowadzić za wodę.

Osobliwa to była scena po balowej nocy, i wciąż prawdziwą był każdy przejęty i dla Pana na Niedziicy, i dla Salamona, sołtysa ze Szczawnicy.

Panie odmieniały toaletę w balowej sali, w stołowej izbie podano śniadanie i było może około jedenastej przed południem, gdy całe towarzystwo nasze, w mieszanych parach z Węgrami, obsiadło wszystkie łódki — gdy łódki odbiły od brzegu i popłynęły Dunajcem....

Długo oglądali się wszyscy jeszcze za więźniami, których na kamieńcu pod strażą trzymany otoczyło grono wiejskich niewiast, uradowanych z ich uwolnienia. Obaj, wysiadłszy z łódki, omdleli, a hrabia, widząc to, posłał do nich hajduka, z butelką wina i posiłkiem.

Wracam do opisu Pionin.

Czy Pioniny od piona, czy Pieniny od pieniących się wód Dunajca tak są nazwane, nie wiem. Tak różnie krąży z ust do ust ta nazwa, że za źródłosłów może jej służyć i *pion* i *piana*. Otóż, jak wszędzie u nas w nazwaniu przedmiotu natury leży przyrodzone jego określenie, tak też i tutaj. Skały *Pionin* wzniosły się na przestrzeni wyłomu Dunajca *pionowo*, a Dunajec *pieni* się na tej przestrzeni *Pienin* szumnemi wodami.

W obszernej Nowotargskiej dolinie zebrały się wody obu Dunajców, Białki i kilkuset pomniejszych potoków górskich, które już w jednym korycie ze-

brane, snują się wspaniale srebrną wstęgą, u stóp starożytnych zamków Czorsztyna i Niedzicy.

Tu tedy zwęża się Nowotargaska dolina po raz pierwszy. Prześlicznie różowe skały amonitowych wapieni (Pusch'a) ożywiają tu kolorytem swoim widok całej okolicy, której w powszechności brak kolorów dodatnich.

Szumny Dunajec pieni się na szypotach, a na kipieliach i nagłych zawrotach srebrzą się w świetle jego wody. Na pogodę grają fale jego prześlicznym modrym i seledynowym kolorem, a po głębszych toniach wybijają złotawo-granatowe oczka, podobne do oczek piór w pawim ogonie. Ten sam granatowy koloryt mają niekiedy Tatry, w porannej lub wieczornej zorzy grające czarodziejstwem kolorytu na tak wielkie rozmiary, jak go żaden obraz nie daje.

Poniżej Niedzicy rozszerza się znowu dolina Dunajca. W lekkich pagórkach przechodzi droga ku Spiżowi, a po lewym brzegu Dunajca leżą pod ścianą Pionin Górne i Niżne Sromowce.

Okazałe mury Czerwonego Klasztoru świecą na zamknięciu doliny, i ztąd poczyna się właściwie wyłom Dunajca, ciągnący się kręto pomiędzy skałami aż do Szczawnicy.

Skały wznoszą się na całej przestrzeni tego wyłomu od 500 do 1000 stóp nad poziom wód stromo, i najpiękniejsze partye skaliste, które nad całym wyłomem Pionin górują, leżą naprzeciw Czerwonego klasztoru.

Na każdym progu są wiry tak gwałtowne, iż za ledwo pomiędzy skałami można się wedrzeć na lejek, po którym lódź spada do kipieli.

Tu dopiero war i klekot, i gwałtownie rzuca łoódka śród spienionych fal musi daleko odbiedz od progu, zanim się ukołyszają fale i w srebrnym pomusku rozkryją głębsze, modre tonie Dunajca...

Zawroty Dunajca są tak nagłe, iż nieraz leci łoódka wprost ku pionowej ścianie i grozi niby rozbiciem. Wtém porywa ją wir niespodziany, wykręca w jednej chwili naodwrot, a przed oczyma odkrywa się wielka, uroczą panorama wyłomu.

Amfiteatralnie wznoszą się tu pionowe skały i spuszczaają się lasy przepaścistemi żłobami aż do wód.

Dunajec zamienia się z szalonej rzeki, w ciche, spokojne jezioro. Górale odkładają wiosła, wszyscy zapalają lulki i cygara, muzyka odzywa się znowu na łodziach, a wystrzały z moździerzy pytają skały o ich echo.

Cóż to za cudowne echo które te strzały roznoszą i które z całą gwałtownością powraca znowu, kiedy się zdało że gdzieś w jaskiniach Pionin skończyło już dawno!

To chwila opowiadania legend uroczystych o Kunegundzie świętej, o pierwszym napadzie Tatarów i o *Koronie świętej Kunegundy*. Tak nazywają górale zamek tej świętej pani, po którym reszty murów pozostały na szczycie Pionin.

Właściwie tu, gdzie Dunajec tak cicho i powoli płynąć się zdaje, mogłoby być niebezpieczeństwo największe, bo dno tych jezior, które niewidocznymi groblami pod wodą są rozdzielone, jest bardzo głębokie.

Ale tu nie myśli i nie wie nikt o tём, a każdy przerażony i wystraszony na wodospadach, oddycha

tu wolniej na tej wodzie gościnnej i przysłuchuje się opowiadaniu świętych legend starych, i rozpatruje się niemo w tych wielkich cudach natury!...

Wyłom kończy się u Szczawnicy, skałą Kaczyńcem zwaną, nad Krościenkiem.

Tu powitała nas z brzegu cała ludność Szczawnicy i tych kąpielowych gości, którzy nie mieli udziału w wycieczce.

Młode góralki stawily przed każdą przybijającą łódką ruchomy tryumfalny łuk z kwiatów, popod który wysiadający z łódek przechodzili. I tak się zakończyło równianką kwiatów owych kilka osobliwych dni *na wodach*, rozpoczętych mistyczną wróżbą salamandry....

III.

Z P U S Z C Z Y.



kluczem do poznania natury na dawnej Litwie jest nazwa jaką jej dają krajowcy w języku litewskim.

Letuwa Žeme (od *litos*, dęszcz) znaczy dosłownie *ziemia dżdżysta*. Jest to ściśle meteorologiczna nazwa, ale tą nazwą objęte jest wszystko, bo klimatyczne stosunki są najwyższym zbiorowym wyrazem natury każdego kraju.

Ziemia dżdżysta, to tłumaczy jej położenie północne, nadmorskie.

Ziemia dżdżysta, to tłumaczy bogactwo wód lądowych, jednostajnie wysoki stan wód wielkich jezior i spławność nie tylko rzek głównych, ale już i najmniejszych częstokroć, które z wielkich jezior początek swój biorą.

Ziemia dżdżysta, a więc i podmokła i mglista, sprzyjająca bujnemu porostowi drzew — *kraina lasów i puszczy*.

Ziemia dzdżysta, mglista, leśna, więc wpływa bezpośrednio na etnograficzne stosunki, i lud jest myśliwym, rybakiem, łowcą i bartnikiem. Rolnictwo szerzy się tylko na spaleniskach i pasiekach, a pług walczy tu przez całe stulecia z wrzosowiskami, które trudniej jest wytepić od starodrzewia czarnych lasów i od puszczy zawalnych. Z wrzosowisk tych zbiera głównie pożytek leśna pszczola.

W puszczech lęgnie się zwierz wszelki i rosną grzyby i jagody wszelkiego rodzaju, a rzeki i jeziora dostarczają ryb tak wielką ilość, że ryba jest głównym pożywieniem ludu i bogactwem kraju.

Dla badacza tedy natury daje już nazwa *ziemi dzdżystej* cały obraz kraju i podziwiać przychodzi trafność tej nazwy, która w jednym słowie daje cały geograficzny obraz ziemi.

Dodać tu jeszcze muszę, że cała Litwa jest zasiana odtokiem skandynawskiego granitu. Odtok ten jest kulistego kształtu, od wielkości najdrobniejszego ziarenka piasku począwszy, aż do brył mających trzydzieści, a nawet do trzydziestu dwóch stóp w przecięciu. Odtok ten leży luzem i zajmuje wyższe stanowisko poziomu, niekiedy w przymieszaniu glin napływowych. Te rumowiska granitów tworzą małe wysoczyzny, pasma lekko pagórkowatych wyżyn i wyższe spłaziny, a niższe stanowiska zajmują dopiero kwarcowe piaski, czarne, leśne ziemie i doliny czarne, żyzne łąki, błotne rudy, odkryte, lasem nieporosłe błota, *rojstami* tu zwane, które w końcu na obszarze i za obszarem Dźwiny w *pustacie* (tundra) przechodzą, charakteryzując kraje północnego bieguna i jemu przyległe.

Niewszędzie torf jest dolnym pokładem odkrytych bagnisk. Są całe okolice, gdzie najprzód piaski na niższych stanowiskach pokryły torfowiska, a na wyższych rumowiska granitowe skandynawskiego odłogu; ale wszędzie są torfowiska tego samego składu i starej bardzo formacji, która widocznie przerwana została, w miarę jak się ostudzała skorupa na powierzchni ziemi; bo nawet tam, gdzie torfowiska leżą niepokryte na wielkich przestrzeniach, jest cienki i wierzchni ich pokład innego składu, a innego składu potężna ława torfu spodniego pokładu.

Wierzchni pokład tworzy się zwolna bardzo z kilku rodzajów roślin (i to tam tylko, gdzie torfy porastają wierzchem), a mianowicie z jednostajnego roślinnego runa dwóch rodzajów borówek i rośliny zwanej *bagienkiem* (*ledum palustre*), z kilku rodzajów mchów słonecznych, z małych kępek wrzosu i z wielkich kęp skrzypiu; po wyższych stanowiskach torfowisk przerzucają się porosty jałowcu, karłowatej brzożki i bajrakowatej sosny, która dwóch łokci nie dorasta.

Wierzchnie tedy pokłady torfowisk zakrytych, są pozostałościami tych roślin, ale właściwy torf, w potężnej ławie jednostajnie z sobą zrosły, jest składem umarłej rośliny, dziś nieznannej na powierzchni ziemi.

Czém dalej się posuniemy ku północy, tem większym staje się obszar tych torfowych pustaci, aż w końcu stanowi on w krajach północnego bieguna właściwy pokład ziemi.

Ziemia dżdżysta, mglista, leśna, a więc *ziemia leśnych wód*, które już kolorem różnią się od wód

górkich, polnych, stepowych i jeziornych. Wody te, zbierają się po płytkich brodach, po zapadłych rudach, po czarnych bagnach i torfowych pustaciach, są rojowiskiem drobnych, mikroskopijnych żyłatek, okrytych cieniutkimi pancierzami, które niedokwas żelaza tworzą, a z przeciągiem wieków pokłady tak zwanych rud błotnych. Gdy się garbnik drzew i roślin w tychże samych wodach roztwarza, nadaje on pokładom tych żyłatek kolor brunatny, w miarę połączenia kawowy, a nawet i czarny. Są potoki, strugi leśne, nawet rzeki spławne tego koloru, i wszędzie gdzie są tylko wielkie, podmokłe lasy, powtarza się to zjawisko.

Narew, która z głębi Białowiejskiej puszczy wyprowadza wody leśne, może posłużyć niejako za oryginalny typ tego zjawiska, bo nawet po połączeniu wód swoich z Wisłą, nie zmienia swego koloru i na kilkomiłowej przestrzeni trzymają się czarne wody leśne Narwi pod prawym, a białawe Wisły pod lewym brzegiem wiślanego koryta.

Letuwa Žeme: tak tedy wyraża prosta nazwa kraju naturę jego, i nazwa ta jest niejako definicyą i naukowem określeniem całych jego zbiorowych przyrodzonych własności.

Litwa byłaby w małej tylko części krajem osiadłym, gdyby geologiczny pokład ziemi nie był prześląkający; ale rumowiska i żwiry skandynawskich granitów, wydmy i ławy kwarcowych piasków, a w końcu gąbczaste pokłady rud, hałów i pustaci spożywają tę wilgoć miejscową z łatwością, i to jest przyczyną, że w przeciągu wieków, gdy się rzeki główne ku morzu wyłomami wyrobiły, osuszyła się

Litwa, bo wielkie jeziora podzieliły się na mniejsze, a miejscami leżą dziś na dnie dawnych jezior łąki, rudy i pustacie, a szczątki statków wodnych i kotwice, które nieraz już na błotach znajdowano, świadczą że wewnątrz Litwy zapadłej łączyło się niegdyś zwierciadłem wód jeziornych z morzem otwartem.

W języku krajowym przechowała się tedy tradycya, i nazwy miejscowe dają tu na nowo świadectwo faktom natury.

Auxtote — to Wysoka Litwa, to grzbiet Pojezierza litewskiego, na którym się dzielią wody u jezior biorące początek: jedne płyną wprost do morza jako strugi pomorskie, inne nakładając drogi, zlewają się ku Niemnowi, ku Dźwinie, ku wiślanej Narwi i ku dniewowej Prypeci.

Żamaj-Tis, Żemojten — to Żmujdz, to Niż Litwy, ziemia morzu przyległa, żuławskie napływisko rzek.

Letgoła-Żemme-Gallas, to koniec ziemi dżdżystej (Semigalia), ziemia u kraju leżąca, Ukraina ziemi dżdżystej.

Pojuris — to Pomorze ziemi dżdżystej, a *Jatwa* od (*Jautis*, wół czyli tur) to dziki Wołyń ziemi dżdżystej.

Do pojęcia typowych okolic i obrazów potrzeba klucza, a kluczem tym jest pogląd miejscowego ludu na naturę, język i tradycje narodu.

Tam gdzie Dźwina płynie wyłomem skalistym, tam gdzie Niemen na przestrzeni od Grodna do Kowna przedarł grzbiet Pojezierza litewskiego, odkrywają rzeki malowniczo wewnątrz kraju. Również płynie i Wilia doliną poprzeczną prawie na całej prze-

strzeni biegu swojego, i głęboko wjada się jej koryto w grzbiet Pojezierza litewskiego.

Na wyłomach zmienia się roślinność i liściaste lasy grupują się malowniczo po nagłych zboczach, lub pomiędzy nagimi skałami, które amfiteatralnie spadając ku dolinom i wodom, zwierciadłą się w ich wstęgach.

Rzadko uśmiechnie się natura na Litwie, ale pełen czarodziejstwa jest ten uśmiech, w którym swe tajemne wdzięki rozkrywa.

Wody które u cichych jezior początek swój biorą, spadają na zboczach tych głębokich dolin w przepysznych wodospadach. Po skalistych zboczach i ścianach pną się malownicze lasy listne, dęby, brzozy i rozsiadłe lipniki. Załedwie uwierzyć można, patrząc z głębi tych dolin na linie pełne ruchu i na cieniowanie kolorytu drzew, że jest się na równinie w ziemi dżdżystej i morzu przyległej.

Martwą jest natura bez człowieka, i tyle tylko daje, ile człowiek do niej wnosi; dlatego wprowadzam na każdym tle typowem żywe postacie, bo w nich przychodzi dopiero natura do poczucia oddechu żywej piersi i świadomości o sobie.

....Na małych kałamażkach jednokonnych zrobiliśmy z Wilna wycieczkę naukową w pięciu.

Czas był piękny, serce pełne nadziei widzenia nowych rzeczy, umysł bez troski, a pewny naukowej zdobyczy, więc wesoło znaczyła się droga, bo

konie parskały, gdyśmy już Ponarskie góry przebyli i zwolna spuszczały się w Trockie.

Nocleg na ruinach zamku Trockiego Jeziora nie był noclegiem, bo przy wielkiem ognisku przeczuliśmy i przegadaliśmy noc całą.

Dwóch było botaników, jeden mineralog, jeden badacz starożytnych zabytków języka litewskiego, a ja zbierałem wówczas pieśni gminne, albo właściwie mówiąc, wszystko i nic.

Prace na szerokiem polu rozpoczęte są nienamłotne. Zawsze to co lepsze i ważniejsze zdaje się leżeć gdzieś za górami, za lasami, za rzekami... a więc w tej nadziei szliśmy coraz dalej, — i ten uszczknął kwiatek, a ów podjął kamień, trzeci pytał o uroczyska i grodziska stare, czwarty rozmawiał z ludźmi, wypytyując się o pierwotnych mieszkańców, a ja, wyrażając się pięknie i po grecku — prowadziłem życie plastyczne, to jest byłem doskonałym próżniakiem, który starych lirników i dudarzy szukał, ale nie znalazłszy po drodze, nie miał nic do zanotowania.

Z jednym tylko z towarzyszków ówczesnej wycieczki widziałem się później po przerwie lat wielu. Był to uczeń ze szkoły Jundziłła, poczciwy Warszewicz. Wiadomość o jego świeżym zgonie przejęła mnie żalem. Żył on w pustyniach południowej Ameryki przez lat jedenaście i wyniósł nowe i dotąd nieznanne skarby dla naukowego świata. Familia bogato kwitnącej rośliny *Varsevicia* została na jego cześć nazwaną i przechowa jego zasługi w naukowym świecie, a prócz tego przywiózł on do Europy z sobą nasiona i szkółki rzadkich roślin,

które mu otworzyły drogę do najpierwszych znakomitości wieku naszego.

Kiedy po latach długiej pielgrzymki zapragnął powrócić do kraju, polecał go Aleksander Humboldt listem swym usilnie Uniwersytetowi Jagiellońskiemu. Jakoż otrzymał posadę dyrektora botanicznego ogrodu w Krakowie i podniósł go do rzędu pierwszych tego rodzaju zakładów w naukowym świecie.

Jeden z naszych towarzyszków miał krewnych i znajomych w okolicy. Po dwóch dniach tedy naukowego dyletantyzmu w podróży, stanęliśmy w domu jego krewnych, gościnnie przez właścicieli przyjęci.

Był to dwór prawdziwie typowy, z drzewa budowany i obszerny, nie tynkowany ani bielony, ozdobiony drewnianymi kolumnami od wschodu.

Obszerny dziedziniec okryty był drobiem wszelkiego rodzaju. Nawet stada dzikich kaczek chowały się tutaj jak swojskie, i napuszysto chodził gniewny pomiędzy drobiem żuraw.

Przed oknami dworu był mały ogródek kwiatowy.

Do obejścia przytykał wielki chmielnik, w tyle gumna i gospodarskie budynki, świrn i sernik, budynek z wędlinami i suszoną rybą, piwnica na nabiał darniem pokryta, a pod domem murowana na nalówki i starki; dalej suszarnia i winnica (gorzelnia) i kilkanaście brogów z wonnym leśnym sianem.

Na prawo od dworu, w niejakiem oddaleniu, rozlewało się jezioro; za jeziorem z łaźni wznosiły się białe pary. Kilka łodzi było uwiązanych u palów, i wielki niewód rozpięty na tykach po brzegu.

Pięknie zieleńły się poletki i warzywne ogrody, a całą tę oazę leśną dokoła ścianą odwiecznych masztowych sosen otaczała puszcza, która dziwnie czujnym echem była dla każdego głosu, co się od dworu rozchodził... Czy wystrzał padł, czy rozkaz głośniejszy, czy pies zaszczekał, czy drób nawoływano— odbijało echo kilkarotnie każdy głos, podając go od ściany puszczy do ściany....

Ten poetyczny oddźwięk leśnego echa dawał oryginalne życie całej tej oazie zielonej jak ruta, a zwierciadłem tej oazy było szeroko rozlane jezioro, na którym echo traciło się gdzieś głucho...

Długo trwało, nim tutaj zrozumiano, za czem my po świecie jeździmy. Jeszcze zbierać zioła bo zioła, to do czegoś się przyda i to jeszcze każdy rozumie, ale do czego zbierać kamienie, które tu każdy przeklina! A cóż dopiero mówić o pustych uroczyskach, o chłopskim języku i chłopskich piosenkach.

Gdy tedy kolej na mnie przyszła, wolałem się wyprzeć zamiłowania do gminnej poezji, niż uchodzić za luźnego człowieka w gronie porządnych ludzi.

Stało tedy w końcu pactum, że zabawimy jaki dzień we dworze, bo przybędzie coś i sąsiadów i sąsiadek, że odwiedzimy i jeden i drugi zaścianek, że zapolujemy, że pociągniemy niewód po jeziorze, że obejrzymy węglarki, maziarnie i obodarnie, że się powłóczymy po puszczy za jagodami i grzybami, do leśnej pszczoły i barci.

Wszyscy moi towarzysze przebrali się na tę wyprawę w myśliwskie stroje ludu i chodaki; ja jeden tylko zostałem w moim stroju, i bardzo przyszło mi

tego żałować, bo po trzech dniach otarłem tak nogi, że musiał na węglarkach zostać jako maroder, kiedy towarzysze moi z okolicznymi myśliwymi codzień z rana polowali, a z południa robili wycieczki w coraz nową stronę. Wracali oni codziennie wieczorem do starego węglarza, u którego stanąłem gospodarą.

Jeżeli widok ciemnej puszczy jest ponury i smutny, to nic bardziej ponurego nad widok węglarki.

W czarnych mogiłach węglowych stosów jeży się cała polana leśna. Ogorzałe drzewa stoją na pniu sadzą przysiadłe. Nigdzie trawy, ni rośliny. Cała polana miałem węgla wymoszczona, a dymy ścielą się wiecznie pod sklepieniami puszczy, wydobywając się z zatłonych węglarek.

Jak duchy czarne snują się węglarze około tlejących mogił we dnie i w nocy, okrywając czarne mogiły miałem węgla, aby się ogień z nich nie dobył i nie buchnął płomieniem.

W nocy przyświeca im ognisko tlejące w jamie, w której się niegdyś wypalały węgle, i wszystko razem ma dziwnie smutny pozór zniszczonej natury i niewdzięcznej pracy człowieka.

Śmieje się rybak z węglarza, żeby chciał być rybakiem, boby się rad obmył. Śmieje się węglarz z rybaka, żeby rad być węglarzem, boby się ogrzał. Gnięwa się bartnik na obu, bo mu węglarki podkurzają pszczołę, a na jeziorach ginie, gdy z pożytkiem wraca. Przez szerokość wszakże ziemi jest miejsce dla wszystkich, a nawet dla bartnika - niedźwiedzia, co miód po barciowych sosnach podbiera.

Mój węglarz był bardzo gościnny. Ponure było jego oblicze, jak zwykle u ludzi co koło ognia robią i na czuwaniu przy pracy noce trawia, zgrzebna była jego koszula, ale serce i uczucie jedwabne.

Na pagórku nagiego piasku, opodal od węglarek, stała jego chata jak węgiel czarna, kryta dranicami. Mały ogródek z kapustą i kilku zagonami konopi przypierał do chaty, a poletki jego zieleniły się w znaczném bardzo oddaleniu na innej polanie, gdzie miał gospodarstwo, żonę i dzieci, bydło i dwóch sąsiadów.

Pomiędzy temi dwiema chatami żyłem przez dni kilka, i już pierwszego dnia czułem się bardzo pościągnięty do człowieka tego, czarnej koszuli, ale białej duszy.

Gdy mnie towarzysze moi w tej chacie zostawili, przyniósł liści z lasu, obłożył mi zranioną nogę, usadowił mnie na przyspie przed chatą, a zdawszy robotę na podwładnych sobie, zabawiał się ze mną rozmową.

Kiedy niekiedy wychodził na pagórek, patrzył na polanę sąsiednią, oglądał się po węglarkach, zaglądał w leśne ścieżki i drogi, a wracając powtarzał zawsze:

— Nie widać Boguńki.

Gdy się to parę razy powtórzyło, gdy się za każdym razem z troską potem zamyślał, uderzyła mnie i ta niespokojność jego i ta nazwa Boguńki, którą powtarzał. Zapytałem go tedy w końcu:

— Kogo to wyglądacie? Co to za Boguńka?

Zadumał się i rzekł:

— Ta to niby dziewczę które chowamy, ale że to Boguńka, to człek niepewny o nią, żeby ją Maja nie porwała.

Jest więc cała stara mitologia, a starożytnik poszedł szukać uroczysk. Tak niespodziewanie natrafiłem tu na coś czegom nawet nie szukał, na ślady pogańskich bożyszcz, w których ten leśny człowiek tak wiernie odmalował wiarę miejscowego ludu, iż mi się zdaje że lepiej będzie, jeśli całą legendę o Boguńce i Maji, powtórzę, jak ją mam od węglarza.

...Raz kiedy szedł puszcza przed laty dwunastu, usłyszał płacz dziecięcia przerywany. Oglądał się tedy dokoła i wypatrzył w końcu w niewielkiej wysokości związane wierzchołki dwóch młodych brzostów, a w nich z maju uwitą i zawieszoną kolebkę, z której płacz dziecka wychodził. Lęk poszedł po nim, ale żalność ogarnęła tak bardzo serce jego, iż lubo się bał zbliżyć do owej kolebki uwitej z maju, nie odchodził z miejsca, ale przysłuchiwał się płaczowi dziecka. W końcu przeważyła ludzkość nad trwogą, a kiedy ściągnął do kolebki rękę, wyskoczyła z niej wiewiórka, która obok dziecka spała. Domyślał się tedy że to Maja przerzuciła się w wiewiórkę i że Majki tę Boguńkę chowają między niebem a ziemią, na wierzchołkach drzew.

Było to na skraju małej polanki. Rozpatrzył się dobrze do koła, a wracając, bo już się dobrze zmierzchać poczynało, robił toporkiem znaki po korze drzew, póki do znanej nie doszedł ścieżki w lesie.

Całą noc radził węglarz z żoną, coby począć? Nie mieli jeszcze podówczas dzieci, a że ludzie w to wierzą, że gdzie się pod strzechą Boguńka chowa,

tam z sobą i błogosławieństwo wnosi, zapragnęła żona zabrać w dom swój Boguńkę, bo za Boguńką przybędzie i Maja i będzie plekać bydło, a za bydłem będzie i dostatek w domu, bo statku który Maja pleka, ani wilk, ani zaraza nie bierze.

Żona węglarza wszakże poszła na radę do księdza. Ksiądz kazał pospieszyć coprędzej i odszukać nieszczęśliwe dziecko. Była to wigilia św. Jana, a że do kościoła kawałek drogi było, a do puszczy tyło troje, zaszedł węglarz z żoną ledwo około południa, gdzie na wierzchołkach młodych brzośców wisiała majowa kolebka Boguńki.

Dzień był gorący i zanim jeszcze do miejsca owego doszli, doleciało ich uszu straszne syczenie i kipienie węzów. Zwolna tedy tylko podchodzili ku miejscu z kąd ten straszliwy syk wychodził, a kiedy węglarz rozgarnął gałęzie, ujrzał z żoną wielki kłęb węzów wijących się w sobie. Kłęb ten był tak wysoki jak dobra kopa siana i wił się tuż pod kolebką Boguńki, tak że czasem całą kolebkę owijały węże. Król węzów w złocistej koronie przewijał się w tym kłębie, a kędy się posunął, toczył się za nim kłęb cały z przeraźliwym sykiem.

— Uciekajmy! zawołał węglarz po chwili do żony, znać król węzów weźmie dziecko Maji. Nie dla nas Boguńka!

— Nie da Maji dziecka! rzekła mu na to żona, ale oboje poczeli uciekać...

I przeszła noc świętojańska. Nazajutrz był ranek chłodny. Węglarz z żoną puścił się znowu w puszcze, bo z wieczora przesyłał ksiądz, pytając czy od szukali dziecko i czemu go do chrztu nie podają.

Z trwogą tedy w sercu przybiegli na oznaczone miejsce. Węzów nie było i tylko wiewiórka skakała z drzewa na drzewo około kolebki... Węglarz przygiął wierzchołki brzostów związanych, a w majowej kolebce leżało prześliczne dziecię na boczkach, z otwartymi oczyma, i uśmiechało się do ludzi.

Ej, bo mu też dobrze wyścieliła Maja kolebkę! Co to tam za mchy były miękkie i suche, co za ziółka wonne, jakie puchy rozkoszne! Żadna ptaszka nie uściele piękniej gniazda.

Żona węglarza rozplakała się, bo tylko w kościele na ołtarzu widzieć można tak piękne aniołki, takie to było białe, takie zbożne, a włosięta takie umuskane!

Oboje tedy, wzięwszy kolebkę w ręce, zanieśli Boguńkę do kościoła i mówili do księdza i ludzi:

— Czy to godne, czy niegodne chrztu, tak i damy je ochrzcić.

Ksiądz dał jej imię jakiejś świętej, ale wszyscy ją nazywali Boguńką, bo kiedy się zbiegły po chrzcie niewiasty by ukąpać dziecię, pokazało się że sprawiedliwa Boguńka, bo miała mleko w piersi.

— Cudowne to, panie, dziecię, mówił mi węglarz dalej bo to i dobre i mądre. Oczy czarne jak tarki, a jasne jak gwiazdy; wszyscy ją kochają i każdy ją słuca, choć młoda. Po Boguńce przybyło w dom nasz błogosławieństwo, bo ośmioro dzieci, ot i jest do czterdziestu sztuk bydła. Musiemy przynajmować ludzi, by statkowi dać radę.

Tu ozwał się młodociany, prześliczny głos w gęstwinie... a węglarz się poderwał i rzekł:

— Boguńka powraca!

Na leśnej ścieżce pokazało się najprzód kozłat dwoje, za nimi biegła koza, a na niej bokiem siedziała Boguńka, trzymając się za powrózek zawiazany na szyi kozy i śpiewała jakąś piosnkę...

Kiedy nas ujrzała, zeskoczyła z kozy, przybiegła do węglarza, skłoniła się mu do kolan wesoło i wpatrując się we mnie uważnie, znać zapytała zcicha ktobym był. Szepnął jej węglarz słów kilka, a ona poskoczyła do mnie i skłoniła się tak samo w kolana.

U pasa jej było kilka króbek upiętych, w rękę trzymała koszyk z grzybami, a na drugim rękę miała nawleczone trzy wianki kwiatów starannie plecionych. Złożyła to wszystko obok mnie na przyspie na której siedziałem i skoczyła przez przełaz w ogródek, przzniósłszy w fartuszkę świeżych kapuścianych liści, rzuciła je kozie. Potem pobiegła do chaty, wyniosła mały skopczyk i wydoiła kozę.

Teraz dopiero miałem chwilę czasu przypatrzeć się jej dobrze. Wysmukła i zręczna, biała bardzo, choć ogorzała nieco, miała krucze włosy w dwa warkocze splecione, które do kolan sięgały. Brwi czarne tak pięknie wysklepione łukiem, jak dziewczęta nie zwykły miewać w tym wieku. Oczy czarne, duże, ocienione tak długimi rzęsami, że jej widocznie ciężyły, że jej w oczy zajrzeć nie można było; ztąd też podnosiła nieco głowę, kiedy całém okiem na co spojrzeć chciała.

Wydoiwszy kozę, wyniosła z chaty ławeczkę i nakryła ją przed przyspą, wyniosła kilka drewnianych miseczek, ustawiła je na ławce, położyła obok nich podpłomyki i drewniane łyżki, wysypała z kró-

bek na nie maliny, a na jednej z nich podała mnie poziomki.

Uważałem to, iż osobno na przyspie postawiła z miseczką kozie mleko, łyżkę, podplomyk i trochę malin w króbcie; potem skoczyła do węgła: tu wisiały dwa młotki drewniane, złączone wirówką; zdjęła je i poczęła niemi bębnić w ścianę chaty,.. To wszystko działo się tak piorunem, że jej się napatrzeć nie można było, i prędzej daleko niż się to mówi.

Odgłos kołatania poszedł po lesie... i ozwało się najprzód szczekanie psa w gęstwinie, a za niem z krzykiem biegło czworo dzieci. Wszystkie były młodsze od Boguńki, a najmłodsze, ledwie trzyletnie zanosilo się od płaczu, że je starsze odbiegły.

Pies wyskoczył z radości na piersi Boguńki, a dzieci wołały:

— Boguńka! Boguńka! i biegły ku niej.

Ale ona zeszła im z drogi jednym krokiem i popieszyła naprzeciw dziecięcia, które płakać przestało, gdy je Boguńka przygarnęła do siebie.

Między tym czworgiem dzieci było dwoje dziewcząt. Boguńka włożyła każdej wianuszek na głowę, a potem usadowiła wszystko troje przed mieszkaniem na przyspie, dając każdemu podplomyk i łyżkę do ręki.

Cierpliwie patrzył jej w oczy dzieciak zapłakany.

— Chodź, chodź, mój biedny.

I powiodła go do miseczki z mlekiem i posadziła obok króbcy na przyspie, dawszy mu podplomyk w rękę; potem otarła mu łzy fartuszkiem i siadłszy poniżej na ziemi przy nim, karmiła go mlekiem.

Z rozczuleniem patrzył zdala na nią stary węglarz, a mnie płakało serce, że nie było malarza, któryby tę sielankę żywo pochwycił.

Koza, zjadłszy kapuściane liście, położyła się poważnie i spokojnie u stóp Boguńki, i to dopełniło malowniczej grupy.

Boguńka była rzeczywiście we wszystkim niepodobną do dzieci z którymi się razem chowała, bo były to wszystko białowłose i pękate bobaki, kiedy każdy jej ruch był zgrabny, nagły i przytomny,

Gdy pokarmiła dziecię, rzekł węglarz z uśmiechem:

— Już ci Maja znowu porozplatała kosy.

Boguńka rozśmiała się i spojrzała po warkoczach które do połowy w istocie rozplecione były. Więc skoczyła do chaty i wybiegła po chwili, umuskana i zapleciona świeżo.

Wieczorem przeszliśmy zwolna, razem z dziećmi i Boguńką, z psem, kozą i koźlętami, od chaty na węglarce do sadyby węglarza. I tu bawiąc przez dni parę, zanim noga wydobrzała, miałem sposobność przypatrzeć się leśnemu gospodarstwu takiego węglarza.

Z rykiem wracało bydło wieczorem do okołu. Prześliczna jest muzyka tych dzwoneków drewnianych, które na każdym bydłęciu zawieszają. Kołatawki te różnej wielkości i z różnego drzewa robione, służące do odszukania bydła w gęstwinie, są jednym z głosów sielskich na Litwie i harmonia ta układa się bardzo miło i strojnie z uroczą chwilą wieczornej ciszy, w której wszystko do spoczynku dąży na otwarte polany i pasieki, gdy się puszcza mroczy...

Później nieco przybyło kilkanaście owiec i wielkie stado gęsi z jeziora.

Okien w chacie nie było, tylko miasto nich drewniane zasuwę, przez które światło wpadało. Od wschodu tylko było okno nie szklanne, ale cienkimi smolnemi błonami założone, przez które wpadało światło czerwone na izbę, gdy je rozświeciło słońce. Jak paciorki były na oknie zawieszzone ząbki czosnku od zarazy, bo zaraza oknem wchodzi. Przed zasuwami wisiały takie same wieńce z korzenia dzięglu.

Pod oknem stał stół wiecznie nakryty, a na nim w czarce plaster miodu dla bogów i gości, chleb, sól i puharek.

Kiedym pierwszy raz wszedł do chaty i rzekł:

— Apogorbitos Jezus Christus!

Pokłonili się wszyscy nisko najprzód obrazom na ścianie, a potem mnie. Gospodyni przywiodła mnie do stołu i podała z miodem czarę, mówiąc:

— Prosimy na chleb i sól.

Po chwili przyniósł gospodarz flaszkę ze starką, nalał puharek i prosił do niego.

Boguńka przyniosła spory kubek świeżo udojonego mlęka i zastawiła na stole przed ławą wieczernę. Na pierwsze danie był kisiel z mlękiem. Jest to przewyborna galareta, prześlicznego rubinowego koloru, przezroczysta jak najlepsze galarety bywają, zrobiona z żurawinowych jagód, przyjemnie kwaskowata, która się je ze słodkim mlękiem. Na drugie danie był chleb, ser suchy i wyborne masło; na trzecie ryby suszone, a jeszcze pod koniec wieczery prosił gospodarz, aby zimne jadło pokryć starką.

Uderzyło mnie, że wszystkie potrawy były zimne, ale jest to obyczaj północy. Na każdym obejściu jest tu lodownia, i więcej niż połowa potraw podaje się na zimno i z lodu. Z lodu dają kisiel żurawinowy, z lodu chołodziec, z lodu studzone ryby i studzone mięsa. Szczególniej zaś latem żyją prawie jagodami i zimnemi potrawami. Tylko grzyby dają się na gorąco gotowane, albo świeże posolone i pieczone na żarze. Marynowane rydze z rzeżuchą i cebulą jadły dzieci przy końcu wieczery. Boguńka jedna zdaje się że nic nie jadła, bo służyła wszystkim i obdzielała dzieci, przyczem się znowu do połowy roztrzepały długie jej warkocze, co wszystko ojciec i matka składowali na Maję która jej warkocze zawsze rozrtrefia, bo się jej włosami bawić lubi.

— Zjedz też co, mówiła jej matka.

— Nie mogę — odrzekła wesoło Boguńka, muszę iść do dziewcząt co krowy doją, boby się nam mleko popsuło. Sobola będzie dziś krwawe mleko miała, to trzeba ją osobno wydoić.

To rzekłszy, porwała czysty skopiec z półki i wybiegła z chaty.

Starożytnika mitologii słowiańskiej nie było, więc w zastępstwie jego rozpocząłem naukowe badania.

Poszliśmy do dojnika. Pod Sobolą siedziała Boguńka i wydoiwszy krowę, pokazała nam skopiec, gdzie krew napół z mlekiem zmieszana była.

— Zkądże ona wiedziała o tem? zapytałem matki.

Węglarz się zadumał, a matka rzekła mi:

— Ta to Boguńka, to ona wie wszystko.

A Boguńka wybiegła ze skopcem do suszarni, która tuż pod sadem stała. Ognisko gorzało pod suszarnią, bo suszono jakieś jagody czy grzyby; na ogień wylała Boguńka krwawe mleko, a węglarka, patrząc na to, wyrzekła kilka słów po litewsku, niezrozumiałych dla mnie.

W chacie było parno, więc kazałem sobie przed chatą posłać, na przyspie.

Cóż to za sen miły i lekki śród tej wonnej leśnej pustyni!... Postać Boguńki snuła mi się w marzeniu, jak postać leśnej Sylfidy... a gdym się parę razy przebudził, obudzony nie wiem czem, pierwszy wzrok padał na gwiazdy... Nad ranem dopiero usnąłem twardo, i słońce przygrzewało już dobrze na przyspie, gdym się przebudził. Lecz jakież było przerażenie moje! Kilka węzów snuło się w około mnie kłębem, i wspinając się na ogonach, syczało ku mnie złośliwie. W trwodze serca krzyknąłem:

— Boguńka!

I wyskoczyła z chaty z łyżką w ręku, bo znać dzieci karmiła, i śmiejąc się głośno z przerażenia mego, uderzyła lekko łyżką węże po główkach, wołając:

— A kysz! Nie bójcie się panie, to nasze. One pilnują chaty jak Kruczek, tylko że Kruczek pilnuje w nocy, a one we dnie.

Zbite z pędu węże przesunęły się po przyspie i znikły po norach, a ja nie umiem opisać wrażenia jakiego doznałem, usłyszawszy z ust Boguńki słowa, które dotąd tylko z poezyi znałem:

— A kysz! a kysz!...

— Boguńko, rzekł węglarz, trzeba dla pana świeżej ryby, to pójdź na jezioro i opatrz więcierze.

Kilka koni pasło się na łące. Gospodarz okiełznał jednego, dał kosz w ręce Boguńce i wysadził ją na koń. Powiedziałem że i ja pojedę, więc i mnie dał konia. Cóż to za wyborne stępaki, te piękne koniki litewskie!

O ćwierć mili może leżało śród puszczy jezioro. Boguńka zeskoczyła z konia, gdyśmy tam przybyli i zdjąwszy uzdeczki, przepętała niemi konie, które się po brzegu pasły; potem wypatrzyła w szuwarach łódź, kazała mi poczekać na siebie i przyплыnęła w łodzi po mnie od przeciwnego brzegu jeziora.

Jaka na kozie, w domu i na koniu, taką była i na łodzi Boguńka.

Ranek był prześliczny. Cicho jak zwierciadło stały wody, odbijając różowy wschód słońca. Łódź pędzona zręcznie, zostawiała w lekkim pomusku długą drózkę po jeziorze za sobą... a warkocze Boguńki rozplotła znowu Maja.

Kiedy przybiła do brzegu, patrzałem na nią jak na śliczny obraz.

— A czego stoicie? rzekła mi śmiejąc się. Podajcie koszyk i siadajcie w łódkę, bo w cóż wzięniemy ryby?

Na małym ostrowie w pośrodku prawie jeziora stały więcierze upięte: wszystkie były pełne.

— Na wasze szczęście rzekła Boguńka, jest z czego wybrać.

Wybrała trzy duże ryby z pomocą moją i położyliśmy je do kosza. Ja siedziałem na środku łodzi na koszu wiekiem nakrytym, a ona stała na samym

końcu w tyle u steru i pędziła łódkę... Strach było spojrzeć na nią, tak bezpieczną, czuła się na wodzie.

Tu począłem ją badać o Maję, co jej włosy roz-trefia. Śmiała się:

— Maja, nie Maja! To tak wszystko się gada. Gdybym siedziała z założonemi rękami, pewnoby mi się nie rozplotły kosy.

— A czy widziałaś kiedy Maję?

— Jużciż jak usnę, to czuję że mnie nieraz ktoś głaszcze, ale czy to Maja, czy matuś, czy tatuś, czy to tak wszyscy na Maję tylko składają, — albo ja wiem?...

I śmiała się znowu.

— Zkądżeś wiedziała, że Sobóla będzie miała krwawe mleko?

— Ot, bom Boguńka — rzekła mi na to pso-tnie i śmiała się jeszcze serdeczniej.

— Maja, Maja, — Boguńka, Boguńka! Tak to się gada, a to ja sama widziałam dobrze, że kilka jaskółek przeleciało popod Sobólę, a jak jaskółka pod krową przeleci, to mleko zakaże się krwią. Nie chciałam aby cały podój popsuli, a to zaraz z tego gadanie i zmyślanie na Maję i Boguńkę.

Zdziwiła mnie roztropność tego dziecka, które wśród czarów żyjąc, zachowało całą jasność zdrowego i prostego rozumu.

Jako pamiątkę po Boguńce wyniosłem wówczas z puszczy piosnkę, której mnie nauczyła.

Da przez ciemny bór

A na białej dwór

Cieciorka leciała...

A mnie Bóg nie dał
Tego, co mnie znał,
Com go pokochała!

Marnie ze świata
Zejdą me lata
I z krasotą moją!...
Nie z wieńcem jadą,
Oj, w trumnę kładą
Matus dońkę twoję!

— Któż cię tego nauczył? spytałem.

— Ot ludzie śpiewają takie śpiewanki, to i ja
sobie śpiewam...

Co się z Boguńką stać mogło? Przekwitła wonia leśnej konwalii w szczęśliwym ukryciu... Jezeli żyje, to ją kochają wszyscy co z nią żyją — jeżeli nie żyje, to błogosławia z żalością jej pamięci; bo była to istota wybrana, prostotą serca, darem pracy i łaski obdarzona. Bóg ją dał na pociechę samotnej rodzinie węglarza, któremu jego ludzkość nagroził, że podjął porzucone w puszczy dziecko i przytulił je do serca.

...Prawiem nie rad był temu, gdy noga moja pod lekami węglarza wydobrzała i gdy się zabrać przyszło z towarzyszami wspólnej drogi w dalszą podróż.

Do Białowiejskiej puszczy było jeszcze daleko i nie mieliśmy nadziei dociągnąć tym razem aż do Białowieży; ale w zapadłej puszczy były bobrowe guiazda, i zapragnęliśmy zobaczyć je na oczy własne,

bo to wszystko cośmy dotąd o bobrach słyszeli, brzmiało dosyć mitycznie.

Siadłszy tedy na łódki, płynęliśmy w górę małą leśną strugą, która żadnego prawie spadku nie miała, przebijając się bardzo kręto po puszczy i oblewając co chwila małe jeziorka. Łoże tej leśnej strugi było głębokie, brzegi na znacznej przestrzeni błotniste, nieprzystępne i rokiciną porośłe. Gdzie zawały starych drzew leżały w poprzek łoża, formowały się małe jeziorka i po oślizłych kłodach sączyły się niby wodospady. Zawady te były wodnym zielem, a nawet niekiedy kwitnącemi roślinami porośłe, i co kilkadziesiąt kroków przychodziło walczyć z nowemi przeszkodami. Aby się dostać w górę rzeką przez zawały, wypadało się przesiadać z łódki na łódkę, które wiosłami dźwigano, stając na zawałach i wyciągając sznurami pod górę. Mozolna była to żegluga. Wtém podniósł się nagle po-za temi zawałami po prawej stronie rzeki suchy, gliniasty brzeg stromo urwany.

— Otóż tu, rzekł nam bobrownik, poczynają się leże bobrowe.

I kiedy niekiedy wskazywał nam norę w suchym brzegu, która była górnem wejściem do bobrowego gniazda.

— At i on! rzekł z cicha, nakazując milczenie.

Na jednym z zawałów przed nami wsparł się bóbr przedniemi łapami, i ujrzeiliśmy głowę jego, piersi i przednie łapy na tle rzeki. Ale ledwo żeśmy wskazane miejsce chwycili, łysło się tylko, dał nurka i znikł pod wodą.

Do bobrowych gniazd nie było przystępu na łodzi, a gniazd samych opatrywać i rozkopywać nie dozwolili bobrownicy. Mówili nam także, że tylko na takich strugach leśnych zatarasowanych zawałami łęgna się bobry. Gdzie pies lub człowiek przejdzie, gdzie się bydło pasie a pastuchy grają i hukają, ztamtąd bóbr się wynosi.

Powyżej tych zawałów oczyszczała się struga— i południowaliśmy na łodzi, pożywiając się po ciężkiej przeprawie.

Przykre gwizdanie żółwi, które nas nieraz prześladowało w nocy, towarzyszyło nam w drodze. Nic nie ma złudniejszego jak to świstanie: zdaje się że tuż pod nogą; usuwasz się, aż tu znów świszczę za tobą, a ani tu ani tam niema żółwia i połów ich nie jest wcale łatwy, choć i na każdym bagnie i moście słychać ich pogwizd...

Wysoki, urwisty, gliniasty brzeg był mnóstwem gniazd podziurawiony. Były to gniazda brzegowych jaskółek, które się gęstym rojem dokoła nas snuły... Znaleźliśmy tylko dwa remizowe gniazda na gałązkach nad wodami zawieszane; więc znać, że bóbr, jaskółka, żółw i remiz, żyją bez szkody w sąsiedztwie obok siebie i szukają tych samych odludnych ostępów nad wodą, bo bóbr nie może żyć bez wody, jaskółka bez mnóstwa owadów i wody, remiz zawieszona tylko swe gniazdo opatrzone bezpiecznie nad głębszą tonią, a żółw lubi także samotne oparzeliska i błotne ostępy.

— Widzieliście panicze leże bobrowe i bobra, to teraz popłyniemy na bobrze poręby — rzekł bobrownik.

I płynęliśmy znowu parę godzin w górę tąż samą strugą, która się pomimo to ani rozszerzała, ani zwężała — i popłynęliśmy aż do bobrzzych poręb.

Tak nazywają myśliwi miejsca żerowisk bobrzzych, gdzie młode porosty drzew rozrastają się kępami niedaleko brzegu strugi; tam wychodzą bobry na żer nocą. Tu tylko na nie polują bobrownicy: biorąc je na strzelbę i żelaza w nocy. Bóbr żywi się głównie korą i pączkami drzew, a że tylko młode drzewa mają korę żyzną i gładką, ścina bóbr zębami, jak gdyby siekierą, na pniu małe drzewka, ściąga je z brzegu na wodę i spławia strugą aż do gniazd, nie znacząc tropu.

Poręby leżą zawsze znacznie, bo i pół mili i milę, powyżej leż bobrowych, i każdej nocy żeruje całe gniazdo na innej porębie. Szczęśliwy myśliwiec i bobrownik, co nową wypatrzy porębę, bo ją właściwie nie wypatrzeć, ale wysłuchać potrzeba po chrupocie zębów bobrzzych w zawalnej puszczy.

Na właściwem polowaniu nie byliśmy wówczas, ale nie rzadko rzucał się któryś z myśliwych w bok, a po chwili padał strzał i jarząbek lub cietrzew.

Każdy z myśliwych miał przy sobie pieska nijakiej prawie rasy, ale każdy chwalił niedaremnie zalety swego psa, i kto chce wiedzieć co jest pies małego myśliwego, niech się przypatrzy temu na Litwie.

Bez strzelby nikt tu nie wychodzi za wrota; zdaje się że cały naród to jedna drużyna myśliwych, a przy każdym koło nogi idzie jakiś pies. Człek nie ma zamiaru polować, pies nie idzie na sforze, ale nikt nie wraca z pola i z lasu, od jezior i z puszczy bez zwierzyny, bo ten sam pies wystawi szaraka

i kić kuropatew, przytrzyma borsuka i odszuka w największej gęstwinie jarzątka, cietrzewia i głuszcza.

Ten sam pies, co pójdzie jak tropowiec milczkiem za sarną, albo jak jamnik do lisiej nory, ten sam pies co jest najczujniejszym stróżem domu w nocy, a przyjacielem i ulubieńcem całej rodziny we dnie, jest zarazem gończym, tropowcem i wyźłem, chwyta zpod samury warchłeta, a sarnięta zpod sarny, staje do ptactwa i chodzi na wodę. Widziałem nawet, że sznur włoku ciągnie na jeziorze przy połowie ryb.

Co chwila tedy odbiegał nas któryś z naszych myśliwych i powracał znowu po jakimś czasie, za każdym razem z jakąś zwierzyną, jeżeli padł strzał.

Na skraju małej polany podniosły skrzek żoły. Bardzo uważnie przysłuchiwali i przypatrywali się temu nasi myśliwi, bacząc w którą stronę żoły lecą. Skrzek żołych powiększał się tymczasem i coraz więcej zlatywało się ze wszystkich stron tych ptaków, które obsiadłszy dwie wielkie sosny, niepokoiły się czemś widocznie i radziły o czemś gwarnie.

Dzień chłodny i ma się ku wieczorowi, to on gotów i barcie podebrać.

— Kto taki? zapytaliśmy.

— Da niedźwiedź, paniczku! rzekł jeden, a wszyscy poczęli szrut wykręcać z rusznic i nabijać strzelby sztofami. Za radą naszych przewodników zrobiliśmy to samo. Psy, widząc że myśliwi nabili na krańcu polany i że odwiódłszy kurki postępują z wolna, rzuciły się w gąszcz. Jeden z nich tafił na niedźwiedzi trop i służył tym razem za tropowca, bo cią-

gnął się milczkiem, stawał co chwila, a drżał cały od rączności i trwogi.

Do barci, przy których spodziewali się myśliwi pochwyć niedźwiedzia, nie było jak kilkadziesiąt kroków, ale nieszczęściem przewalił się archeolog, który się nie dobrze znał z samopałami, jako z wynalazkiem nowszych czasów. Dubeltówka wypaliła z obu rur okrutnie, bo nie ufając nowym wynalazkom, nie żałował prochu i przybił sztof setnie. Psy rzuciły się na strzał zdziwione, że nie zwierz, ale człowiek leży, a starszy z myśliwych kiwnął tylko ręką:

— Da niema poco iść dalej, poszedł niedźwiedź!

Jakoż był ślad pod sosną na mrowisku, na które skoczył niedźwiedź z sosny tak, że cały kopiec rozwalił, przerażony strzałem. Widać to było po niepokoju mrówek rozbitych w gospodarstwie swoim, bo czarno się całe zaroilo mrowisko, a że to były duże, czerwone mrówki, więc myśliwi nie radzili bardzo się przypatrywać tropom.

Wszystko było tu dla nas zagadką, którą nam wytłumaczyli myśliwi. Żoła lubi miód, pszczoła bierze niejedno z mrowiska, a mrówki nie będzie, gdzie wonnej nie ma żywicy. Otóż mrowisko trzyma się starych sosen, a dla leśnej pszczoły, znaleźć można dziupło także w starej tylko sosnie; żoła śledzi pilnie niedźwiedzia, gdy się do barci podkrada, bo bartnik wybiera plastry miodu niedyskretnie i przy takim podbieraniu barci, mają żoły miodu na dni kilka dostatkiem dla siebie; ztąd zwołują się z całej okolicy, gdy na czatach czuwająca koło barci żoła da znać skrzekiem, że się niedźwiedź skrada.

Osobnym tedy skrzekiem zwołują się te ptaki do biesiady i do barci przybywają stadem, w tej chwili gdy niedźwiedź wydarł z nich plastry miodu. W chłodny dzień tylko i dobrze z południa przybiera się do tej psoty, przypatrując się barciom bardzo długo i uważnie, czy mucha nie oblega oczka, skrada się bardzo z cicha i wyłazi bardzo wolno do barci. Nic to nie pomoże: pszczoła choć najspokojniejsza, poburza się w jednej chwili i wypada z ula, a niewiedzieć jakim instynktem wiedziona, tnie go tylko w oczy. Złodziej, co się zadniemi łapami trzyma, a przedniemi miód wybiera, nie może się bronić pszczole; wydarłszy więc plaster miodu, rzuca się na mrowisko i ucieka w gąszcz z plastrem w łapie. Skrzek tedy żołą jest pewnym hasłem dla myśliwego, iż niedźwiedź idzie do barci, do których się żoły zwołują, i byle uchwycić chwilę, to psotnik nie ujdzie bartniczego prawa.

Otóż znowu związek nowy mrówki, sosny, pszczoły, żoły, niedźwiedzia i człeka, i czy to w zgodzie żyją, czy w niezgodzie, znajdzie się jedno obok drugiego, jak na zawalnej strudze bóbr, jaskółka, żółw i remiz.

Każdy kraj ma własne niebo swoje i własny swój odór. Jak jedno tak drugie wpływa mimowolnie na uczucie nasze tak długo, jak długo pod tem niebem i w tej ziemi żyjemy.

Ziemia dżdżysta — to określa najdokładniej i koloryt nieba, i nizkie zawieszenie obłoków, i mgły częste, i ponury koloryt całego kraju.

Zapach, który nam wszędzie towarzyszy, jest to zapach żywicy, z przymieszaniem odoru palącej się

smółki, a to w tysiącznych odcieniach, od smółki jałowca, aż do zapachu wosku i miodu, od wonnej miry mrowiska, aż do oryginalnego zapachu łączyny, którą przez wieczory, noce całe i ranki we dworach i po chatach świecą.

Wjeżdżasz do wsi: pachnie smółka. Od obodarni i smolarni słyhać już zdaleka jej zapach. Balsamiczna woń żywicy rozchodzi się po całej puszczy, gdy gony i pędy lipcowe pod skwarem słońca strzelają na sośnie... Zapach żywicy uderza cię gdy przyjdiesz na porębę, gdzie oryle uprawiają las towarne; zapach żywicy towarzyszy ci na węglarkę, zapach żywicy gdy wchodzisz do gospody albo w tłum jarmarczny; słowem bez różnicy pory, miejsca i roku, idzie z tobą wszędzie balsamiczna woń sosnowych lasów, zapach brzozonej kory i odór łączyny.

Głównem też drzewem na Litwie jest sosna, lubo Wysoka Litwa także jodłą i świerkiem porasta. Brzostowe lasy zajmują nieraz całe okolice, i tu jeszcze może być mowa tylko o brzostowych lasach. Krańce takich lasów i poręby zajmują zazwyczaj najprzód okrajkowe brzozy, a w ślad brzozy sieje się wszędzie sosna.

Puszcze wszakże wielkie, Inbo głównie szyszkowe drzewa są ich podstawą, mają także tak zwane *czarne doliny*, to jest ogromne ostępy drzew listnych mieszanych, które dokoła otacza sosna. Są to prawdziwe uroczyska puszczy, te czarne doliny i pokład ziemi bywa w nich zazwyczaj głębszy i żyzniejszy, kiedy pospolicie korzenie drzew szyszkowych rozkładają się małym wieńcem na powierzchni ziemi, tak iż obrawszy z leśnego runa sosnę, zwłaszcza na pod-

mokłym gruncie rosnącą, nietrudno jest w kilku ludzi obalić ją na ziemię. Zazwyczaj w słonecznych miejscach sięgają tak daleko korzenie sosny, jak daleko jej konary sięgają, ale w gęstym i podmokłym lesie stoją gonne drzewa raczej równowagą swych wierzchołków, niżeli siłą swych korzeni.

Tysiące drobnych szczegółów zbierać potrzeba, zanim zdoła się nakryślić cały obraz.

Teraz więc dopiero, gdyśmy już razem przeżyli kilka dni w puszczy, daję całkowity, zbiorowy jej widok.

.....Ziemia tutejsza nie jest lesistą, jak o niej mówią powszechnie, ale raczej jednostajnym lasem, miejscami wykarczowanym tylko, bo orne i bezleśne obszary, lubo w ponurych okolicach znaczne, nikną w porównaniu olbrzymich lasów, które tam nazywają *puszczami*.

Nie nie zdaje się bardziej oko i umysł trudzącym, jak widok tych puszczy, ponury i jednostajny, nieprzebyte morze iglastego drzewa na piaszczystej nizinie. Spodem nagie, proste pnie, a górą ciemne sklepienia w jeden strop zrosłych gałęzi.

Prostemi liniami ciągną się przez puszcze rzędowe gościńce. Po jednej i po drugiej stronie na kilka pretów wycięty jest bór, i widać szpalery z zielonych drzew sadzone, które wszakże boleją i wysychają z laty, w obcą sobie przeniesione ziemię.

Miejscami sterczą miasto tych drzew nagie pale, w jałowym piasku bite ponad drogą, niby drogoska-

zy dla zimowych podróży. Około nich ciągną się dosyć wysokie opłotki po jednej i po drugiej stronie drogi, pomiędzy które piasek sypany, na sposób grobli ponad bagna wynosi gościniec.

Miejscami, gdzie ziemia bardziej grzązka, gdzie kraj więcej zapadły i piasku już niema, tam przebywa się na *walkach* lub *pomostach* na mil kilka częstokroć szerokie bagniska, po których znowu piaski albo groble idą.

Żałośnie ginie w puszczech odgłos pocztowego dzwonka, a koń we własnym wozie, chociażby najdzielniejszy, tępieje po kilku dniach podróży i zaciąga się w piasku. Po *walkach* dudni kałamażka całemi godzinami, i wyrzekając na drogę, mijają się z sobą podróżni, lub popasają razem, zjechawszy z drogi pod ścianę puszczy, gdy konie staną.

Wszakże kto się z tych gościńców w głąb puszczy rzucił i opatrzył jej wnętrze, doznał zapewne innego wrażenia i uczuł, że to nie widok puszczy, lecz widok prostych linii tak trudzi, które dla dróg wycięto przez puszcze.

Znałem ludzi, których widok puszczy w natchnieniu wprawiał, i w istocie mogą one natchnąć umysł ożywiony.

Rozkrywa tu przyrodzenie przed człowiekiem, jakoby wnętrze swoje, i świat jest tam mniej powabnym, ale głębszym i prawdziwszym, a myśl idzie tam jakoby dnem życia.

Ow tajemniczy mrok i ta wpółsenna cisza natury, która owiała sklepienia olbrzymich drzew, zdaje się zapowiadać, że tutaj przyrodzenie gotuje się do czegoś innego; — z głębi puszczy, z po-za cienistych

łomów i przysłonionych gałęzi przegląda oczekiwanie i brak czegoś, widocznie... wichru!

Wichru!... bo on tylko zdoła je ożywić dla człowieka. Wichru! bo on wprowadza dramat w naturę przysłonioną urokiem.

Bo kiedy wichur silniej dmie, czuć go i na dole pod sklepieniem puszczy, i paproć się skłania, i wrzos wylega, i wody się marszczą... ale najczęściej powiewa tylko wierzchem drzew, mocniej i słabiej naprzemian, w sposób fal olbrzymich, z których jedna po drugiej bije, lub wstrzymuje się na chwilę, czekając zanim poprzednia odpłynie...

Czarodziejską jest ta gra puszczy i wprawia umysł w jakieś dziwne zadumanie.

W tym poświęście milionów zielonych igieł, które w powietrzu grają, kołysząc się na konarach drzew, leży jakiś wątek dziwnej pieśni, dzikiej i rzewnej, a osobliwym jest widok takiej puszczy w czasie gdy szumi... Patrzącemu na nią z wierzchu wysokiej sosny, rozściela się ona jak ciemna, równa tarcza, dookoła nakryta szarym kielichem niebios...

Zda się że nic nie widać, jak nic nie widać na morzu; wierzchołki drzew się mącą, i płyną, i biją, jak łany kłosów, jak fale morza, a po nich duch puszczy się pławi i owiewa skronie jędrnym oddechem tej dzicy.

Spuszczając się na dół, tylko czasami przeciera się wierzchem zielony strop puszczy i widać szybko przemykające się chmurki, jak szare płatki po ciemnym sklepieniu. Na dole nieład przedwiecznego lasu, zawały, złomiska porośłe skorupami mchów, owiane lekkimi kitkami paproci...

Czasami wywali wiatr sosnę lub jodłę z krete-
sem, która na pował szmat lasu druzgocąc, postawi
korzenie kilku, a nawet kilkunastu drzew, wraz z zie-
mią, niby ścianą na poprzek puszczy. Z pomiędzy
korzeni opuszcza się młody porost leśny, na piętrze,
niby ze ściany wyrosły, i wysycha, gdy mu tam na
życie zabraknie. Jeżeli się te złomy nie pokryją
mchem, wówczas wypłókują dęszcze i śniegi resztę
ziemi, a tak leżą i sterczą na poprzek puszczy stare
i młode szkielety drzew, jak kłęby węzów korzeniami
z sobą poplątane.

Daleko nieraz taki zawał obchodzić potrzeba.
Czasami zwali się w jedno miejsce kilka podobnych
złomisk różnemi latami, a gdy się pokryją podślą-
niem roślinnem, sterczą jak twierdza, do której tylko
zwierz zna drogę.

Tego rodzaju są całe puszcze, nieprzystępne
i nieznanne, gdzie jeszcze ludzka nie postąpiła noga.

Takie to najeżone łomy i zawały drzew, jeżeli
opodal od pasiek i siedzib leśnych w głębiach puszc-
czy leżą, nazywają myśliwi *gawrą niedźwiedzią*, albo
matecznikiem.

Zamęt tej roślinności lasów litewskich byłby da-
leko większy, gdyby tu nie był prawie zupełny brak
wijących się roślin, które w innych strefach, pnąc się
po krzewach i drzewach, zmieniają widok puszczy
w majowe ściany i nieprzebite sklepienia; lecz wiją-
cych się roślin brak tu zupełnie, i to nadaje puszc-
czom w ogólności ów chłodny i trzeźwy wyraz ro-
ślinności północnej, w okolicach kędy nie są młodem
drzewem lub krzewami podszyte.

Płytko pod powierzchnią piasku wszędzie prawie z łatwością dobrać można wodę; po niższych stanowiskach puszczy wystarcza już kilkakrotne uderzenie nogą w jedno miejsce na to, żeby wystąpiła woda. Miejscami kraj jest tak niskim, iż nie zdoła utrzymać wód i zatapia je w bagnie; brzegi bowiem są na znacznej bardzo przestrzeni podmokłe i nieprzystępne, a rzeki płyną tak wolno, iż zaledwo płynąć się zdają, iż długo patrzeć na nie wypada, aby poznać kędy wagę wzięły.

Zaledwo uwierzyć częstokroć można, że się nad brzegami spławnej rzeki stoi, tak mało wzniesione, tak niepozorne są brzegi tych rzek wzdłuż rozciekłej puszczy płynących, a wody ich są miękkie, rude, kawowe, czarne zupełnie niekiedy, tchnące żywicą sosny.

W ogólności rzecz można, iż wyjąwszy wyżyny Pojezierza litewskiego, jest pochyłość kraju ku rzekom tak małą miejscami i tak bardzo przerwaną, iż cała masa wód z puszczy litewskich nie zdoła się zebrać w sobie i odlać rzekami. Powstają tedy zbiory wód spartych lub stojących, które przerywając w części lub zupełnie roślinność puszczy, nadają pewną różnorodność widokom kraju.

Miejscami napotyka się na *rojsty*. Są to duże, dzikie, dymiące się błota, ostrowami mchu rudego i kępami skrzypiu porośłe. Po suchszych nieco miejscach przerzucają się osoczyste trawy. Gdziekolwiek wykrzywia się po tych ostrowach karłowata błotna brzoźka, lub bajrakowata sosenka, oczepiona papuziem i liszajcami, lub ostrém opleciona zielskiem. Z kępy na kępę skacząc, a spoczywając niekiedy na

większym ostrowie, przebywa rojst myśliwy.... Po między kępami drży pod jego nogą bezdenne trzęsawisko, a niema ścianą otaczają puszcze w znacznem oddaleniu dokoła rojstowate bagna. Miejscami zdarzy się wśród wielkich odkrytych błot mała spłazina, na której porosły gaik brzozowy, lub kilka samotnie w górę wystrzelających sosen, nadają zupełnie inny wyraz całej okolicy, niby samotna oaza w pustyni błotnej.

Jeżeli się wody leśne na twardszym dnie zbierają i cieką węższymi pasmami wzdłuż puszczy, wówczas powstają tak zwane *brody*, które nie mając spadku, wzbierają pod dżdżystą porę, a podsycają na pogodę. Dno brodów twarde, nieobrosłe, a wody ich czyste, przejrzyste, stoją miałko na piasku. Ztąd też prowadzi często droga na te brody i przeprawa lżejszą bywa wzdłuż nich, niż po głębokich piaskach, lub po ługach bagnistych.

Niekiedy obiega bród takowy obszar puszczy znacznie wyniesionej dokoła, i to nazywają *ostępem*. Myśliwi mają takie ostępy za oddzielne knieje, dogodnie tam bowiem sieć rzucić, naręcznie psami podkładać i łatwo rozstawić myśliwych na ich stanowisku.

Roślinność zwykle na ostępach bujniejsza, wrzos obfitszy, drzewa większe, lubo w ogólności można powiedzieć, iż nigdzie nie dochodzą w Europie drzewa iglaste tej wysokości i grubości, co w tej okolicy. Ośm do dziesięciu sążni wysokości mają nieraz drzewa po gonnych zapustach nowo-porosłej puszczy, a przytęm są tak cienkie, iż zaledwoby się użyć dały na tyki, łaty lub na drobne krokwie. W podobnych

gonnych drzewach czyni wiatr wielkie spustoszenia.

Gęsto napotyka się na drzewo, które kilku chłopów objąć zaledwo zdoła u spodu, i niema piły, któraby sięgnęła przez wszystką grubość masztowej sosny.

Lubo każda puszcza oddzielną nosi nazwę, dodaje jej lud przymiotniki, które zarazem oznaczają jej właściwość. I tak naprzykład powiadają: „*To starodawna puszcza, czarna, zawałna, sucha, zapadła, młoda, głucha, biała lub zielona puszcza*, a w każdej z nich z mniejszemi lub większemi odmianami, też same rojsty, ostępy i brody, też same sosny i okrajne brzeziny, też same wrzosa i jałowce, mchy i paprocie, też same rodzaje jagód, grzybów, kopce odwiecznych mrowisk, też same łomy pokrywają ziemię.

Miejscami wśród lasów rozświeca się puszcza i widać wyżej niebo, gdy rozdnieje pod zielonem sklepieniem, a niżej wody błyszczące, szeroko rozlane. Są to jeziora Litwy, szklane i blade, jak niebo litewskie.

Tutaj zbiega się w większych masach runiony skandynawski granit kulistego kształtu, którym wieki potaczały po dnie morskiem, a którym kraj cały jest zasiany.

Brzegi tych jezior, niekiedy zwolna przysposobione i wyniesione nieznacznie, niekiedy niewiedzieć z kąd nagle wznoszące się z równiny i skaliste, niekiedy równe zupełnie, nikną mielizną i w porostach szuwaru zaledwo widoczne są na piasku.

Patrząc od strony jeziora, widzisz dookoła bór niemy, dołem do olbrzymiego częstokołu podobien, a niby zacierniony u góry choiną całej puszczy.

Dziwna, tęskna spokojność towarzyszy okolicom takim!

Cicho stoją wody na piaszczystem dnie.... Tu i owdzie sterczą z wód bryły granitu dziwaczного kształtu, do małych wysp podobne. Wody czyste, przejrzyste, dno jeziora twarde, a na wodach pta-ctwo północne w niespłoszonym stadzie, a po granitach mchy odwieczne.... Gdzieniegdzie rzuci się wielka ryba i drobna fala zatoczy kręgi po jeziorze.

Chłód lekki powiewa od wód; środkiem jeziora nie ujrzyć nigdzie trzcin lub szuwaru, a na pogodę zbiera się pod ciepłą mielizną wesoły narybek i po cichszych zatokach jeziora rozwiera dziewiczy swój kielich wodna lilia, niby samotna nimfa tych północnych jezior....

Jak twarz niewiasty nabiera nowego uroku i nowych wdzięków od tej tajemnicy, która się kryje za lekką zasłoną, podobnie dodają wdzięku tym chłodnym widokom jezior litewskich poranne lub wieczorne mgły, powstające z wód lub ścielące się nad wodami, zwłaszcza gdy część tylko obrazu przesłaniają pod pogodny czas.

Już w nocy poczynają te mgły grać ponad jeziorem, do Ossyanowskich cieni podobne, przy świetle księżycy.... Lecz całego uroku nabiera dopiero wówczas ten widok, gdy rumiana zorza obleje jezioro, gdy blask słońca pali ukośnym promieniem lekko zmarszczoną powierzchnię, a przeciągłe cienie puszczy padną daleko na wody....

Po przejrzystych toniach widać już z daleka cicho chodzące ryby i każdą kulę oślizłego granitu, leżącą od wieków na dnie — i słycać każdy odgłos

dzikiego ptactwa od przeciwnej strony.... Z chat lub z łaźni leśników nad brzegami jezior wznoszą się wysmukłym słupem błękitne dymy, lub ścielą się pary rannego ogniska, a lubo zupełna cisza w powietrzu panuje, śmiałymi jednak ruchami bałwani się mgła i przewala białymi kłębami środkiem jeziora, lub zawiesza się wieńcem lekkich chmurek pod ścianą puszczy i po cichszych zatokach... Jaskółczym lotem przecina ją z wraskiem morska rybitwa, a z pod niej wysuwa się łódź drobna od brzegu, znacząc za sobą na wodzie długą, lekko namarszczoną ścieżkę...

Innym zupełnie jest ten widok, kiedy się wichur zerwie i gdy się niebo zasępi, kiedy szum wichru, szum puszczy i szum fali zmiesza i pokłóci się z sobą; wówczas biją wysokie, czarne fale ku brzegom gwałtownie, i puszcza od nich jeszcze czarniejsza, a niebo nad nią nisko zawieszone, szare. Wszystko groźne i ponure, wszystkie ciche głosy natury niemieją i słychać tylko wrzask czapel, które się trwożliwie zrywają z gniazd gęsto usłanych na szczytach sosen po okrańcach puszczy.

Ileż to takich jezior na Litwie Właściwą też jej charakterystyką, w dwóch słowach objętą, są *wielkie jeziora łądowe i puszcze północne*.

Ileż to takich jezior większych i mniejszych, z wyspami i bez wysp, przy osadach, lub w głębi lasu leżących! A kiedy się brzegi takiego jeziora pominie, zasuwają się znowu puszcza ponad głową i dawna powraca ponurość...

Miejscami kraj wznosi się nieco, a nawet znacznie, wśród starodrzewnych lasów, i wały się ciągną, i nagle powstają jakieś wzgórza i kopce, niby sztuką

usypane. Sąto odwieczne wydmy, w wielkich falach do poziomu złożone i nasypy lotnych niegdyś piasków, które się z wiekami ustaliły i borem porosły.

Miejscami zalegają ogromne obszary, gołe wydmy, kędy wiatry z piaskami grę swoją mają i które całą okolicę niekiedy zamieniają w piaszczystą pustynię.

W czasie ostatniej wycieczki naszej, widzieliśmy rzecz osobliwszą. Podobne wyniosłe kopce, staremi sosnami porosłe, wznoszące się nagle z równiny, uderzyły nas już zdaleka. Gdyśmy przyjechali nad wzgórek, ujrzeliśmy jeden z nich z jednej strony oberwany do połowy przez rzekę, która go podebrała, a w tej odkrytej mogile piasków stojące sosny, skamieniałe na pniu, na których szczycie nowe i kto wie już które wzrastało pokolenie drzew. To przypomniało nam karawany pustyni, — a myśl Farysa walczącego z uraganem, nie była wówczas bez znaczenia.

Bo wszędzie, gdzie tylko człowiek nie zdoła ogarnąć obszarów natury, bo wszędzie, gdzie tylko człowiek nie zdoła wytłoczyć na niej piętna swego ducha, powtarzają się też same zjawiska. Najprzód gospodarzy wicher i roznosi nasiona przyszłego życia; wślad jego zaradzająca się roślinność, która jest warunkiem wszelkich wyższych potęg istnienia, a gdy ta płaszczem swoim okryje powierzchnię ziemi, zamieniając ją w uroczysko bogów i przybytek człowieka, wówczas dopiero podejmuje człowiek walkę z potężnem życiem roślinności pierwotnej, a jako dzikie dziecko natury, poczyną zniszczeniem serc dzieło.

Czując się za słabym do tej walki, wzywa pomocy niszczących żywiołów, a tak gospodarzy po wicherze roślina na ziemi, a po niej ogień w przymierzu z człowiekiem.

Do osobliwości tedy tych okolic będą jeszcze należały letnie *gory lasów* czyli *pożary puszczy*.

Jak u nas zdarzy się widzieć podczas posuchy gorejące błota lub stawiska niekiedy, tak tu są zwykłym zjawiskiem gorejące puszcze.

Opuszczone lub z pustoty nałożone ognisko, wicherami rozdęte, obejmuje niekiedy kołem całe okolice leśne.

Z trzaskiem czepia się pożar najprzód krzewów, wrzosowiny, mchów, wyschłej trawy i smolnych korzeni po ziemi, nurtując spodem i zwęglając wszystko pod piaskiem, czego się tylko uchwyci; potem zbiega pożar wysokim słupem po sośnie lub jodle i osmała w jednej chwili wszystką choinę. Żywica występuje z drzewa na korę, która z trzaskiem od gorąca pęka i całe drzewo płonie jak pochodnia w potokach palącej się żywicy... Powoli zbiega z niego płomień tej olbrzymiej główki w przelocie, gdy wiatr silniej zadmie, aż w końcu przepalona wali się z łomotem i sypie pod niebo iskrami, uderzywszy w piekielne ognisko!...

Widziałem pożar taki. Z rana na milę rozciągały się dymy pod sklepieniami puszczy, równą, wąską, błękitnąwą smugą i stały w miejscu nieruchome. Zdała huczało ognisko; — gorąco nie dozwalało przystąpić, i cała puszcza drżała w ogrzaném powietrzu. W południe ścielił się dym po ziemi i nic nie można było widzieć. W nocy stał ogień ogromnym słu-

usypane. Sąto odwieczne wydmy, w wielkich falach do poziomu złożone i nasypy lotnych niegdyś piasków, które się z wiekami ustaliły i borem porosły.

Miejscami zalegają ogromne obszary, gołe wydmy, kędy wiatry z piaskami grę swoją mają i które całą okolicę niekiedy zamieniają w piaszczystą pustynię.

W czasie ostatniej wycieczki naszej, widzieliśmy rzecz osobliwszą. Podobne wyniosłe kopce, staremi sosnami porosłe, wznoszące się nagle z równiny, uderzyły nas już zdaleka. Gdyśmy przyjechali nad wzgórek, ujrzeliśmy jeden z nich z jednej strony oberwany do połowy przez rzekę, która go podebrała, a w tej odkrytej mogile piasków stojące sosny, skamieniałe na pniu, na których szczycie nowe i które już które wzrastało pokolenie drzew. To przypomniało nam karawany pustyni, — a myśl Farysa walczącego z uraganem, nie była wówczas bez znaczenia.

Bo wszędzie, gdzie tylko człowiek nie zdoła ogarnąć obszarów natury, bo wszędzie, gdzie tylko człowiek nie zdoła wytłoczyć na niej piętna swego ducha, powtarzają się też same zjawiska. Najprzód gospodarzy wicher i roznosi nasiona przyszłego życia; wślad jego zaradzająca się roślinność, która jest warunkiem wszelkich wyższych potęg istnienia, a gdy ta płaszczem swoim okryje powierzchnię ziemi, zamieniając ją w uroczysko bogów i przybytek człowieka, wówczas dopiero podejmuje człowiek walkę z potężnem życiem roślinności pierwotnej, a jako dzikie dziecko natury, poczyna zniszczeniem serc dzieło.

Czuając się za słabym do tej walki, wzywa pomocy niszczących żywiołów, a tak gospodarzy po wicherze roślina na ziemi, a po niej ogień w przymierzu z człowiekiem.

Do osobliwości tedy tych okolic będą jeszcze należały letnie *gory lasów* czyli *pożary puszczy*.

Jak u nas zdarzy się widzieć podczas posuchy gorejące błota lub stawiska niekiedy, tak tu są zwykłym zjawiskiem gorejące puszcze.

Opuszczone lub z pustoty nałożone ognisko, wiochrami rozdęte, obejmuje niekiedy kołem całe okolicę leśne.

Z trzaskiem czepia się pożar najprzód krzewów, wrzosowiny, mchów, wyschłej trawy i smolnych korzeni po ziemi, nurtując spodem i zwęglając wszystko pod piaskiem, czego się tylko uchwyci; potem zbiega pożar wysokim słupem po sośnie lub jodle i osmala w jednej chwili wszystką choinę. Żywica występuje z drzewa na korę, która z trzaskiem od gorąca pęka i całe drzewo płonie jak pochodnia w potokach palącej się żywicy... Powoli zbiega z niego płomień tej olbrzymiej głowni w przelocie, gdy wiatr silniej zadmie, aż w końcu przepalona wali się z łomotem i sypie pod niebo iskrami, uderzywszy w piekielne ognisko!...

Widziałem pożar taki. Z rana na milę rozciągały się dymy pod sklepieniami puszczy, równą, wąską, błękitnąwą smugą i stały w miejscu nieruchome. Zdała huczało ognisko; — gorąco nie dozwalało przystąpić, i cała puszcza drżała w ogrzaném powietrzu. W południe ścielił się dym po ziemi i nic nie można było widzieć. W nocy stał ogień ogromnym słu-

pem wśród puszczy, wysoko bił płomień, iskry leciały... i wielka luna świeciła na niebie.

Po tygodniach i po miesiącach całych jaśnieją nad puszciami łuny takie, a co noc w tej samej stronie, a co noc szerzej, aż je w końcu szarga jesienna zalewa.

Przykrym jest widok puszczy zgorzałej i wystygłej; bo nie zaraz odżywia się roślinność na podobnym spalenisku, zwłaszcza tam, gdzie roślinność północna zwolna się tylko dorabia swego istnienia, gdzie ze zniszczeniem lasu znika zarazem na długo, na bardzo długo, całe podłanie roślinności drobnej, które jest koniecznym warunkiem roślinnego życia w wyższych jego potęgach.

Widziałem jak się raz wyniosł ogień wązkim oszyjkiem torfów z puszczy na otwarte błota i zamienił je w ciągu jednej nocy w palący trzon. Nurując po wyschlém torfowisku, płynął ogień w gorejących potokach, podobien do rzeki dzielącej się na drobne ramiona, aż całą *pustac* ogarnął... Następnie zbliżały się pociągiem wiatru te ogniste rzeki ku sobie, i tworząc osobne centra, uderzyły płomieniami w górę. Przez jedną chwilę zdawało się całe obszerne bagnisko ognistą powodzią zalane; potem opadł płomień, a czarne dymy skręciły się w wielkich kłębach ku niebu... Gdy je wiatr odniósł, poczerniało znowu całe bagno i tylko małe ogniska gorzały przez resztę nocy po każdej wyniosłej kępinie, Paląca się puszcza podobna była do gorejącego miasta, a palące się torfowiska po kępinach, do małych ognisk wielkiego obozu, który się rozłożył pod miastem....

Jeżeli podobny widok jest okropnym, osobliwym
bądźcie widok puszczy wśród ciemnej, cichej nocy, od-
wiecznym próchnem świecącej.

Miejscami wśród zawałnych lasów leżą całe po-
kolenia drzew obok siebie, pokrywając pokładem swym
tak gęsto ziemię, że noga nie dotyka piasku.

Na pozór czerstwe pnie i zwałiska rozsypują się
za stąpieniem jak purchawka, i noga tonie w nich
aż do dna.

Mchem porośłe i nietknięte kłody czernieją po-
śród nocy, lub są niewidzialne wcale, lecz stąpieniem
potarte i rozrzucone próchno rozświeca się mdłym,
fosforycznym światłem i idący nocą zostawia po so-
bie niby gorejące ślady upiora..... Ryś tropi tak sar-
nę, myśliwy zwierza wszelkiego, i *nocne tropy* wśród
puszcz zawałnych znane są w języku łowieckim na
Litwie.

IV.

NA WYSPIE.

Już to ubiegło gdzieś lat tysiąc blisko,
A jeszcze świadczy pogańskie żalisko
Owym to dziejom z tamtej strony krzyża,
I z trwogą serce do „Żalów“ się zbliża —
Bo i tu pono świat serdecznie bolał
I bardzo kochał to — co łzami polał...
Na wierzchu ziemi ileż tutaj wrzawy!
A tam pod ziemią jakaż cisza głucha!
Bo cała praca żywota i ducha
Składa spokojnie wszystkie swoje sprawy
Po wielkiej wrzawie w małą popielnicę —
I stawia przy niej na straży łzawnicę...
A przecież w małej popielnicy leży
Wszystko zebraue na króciłtkiej wici,
Czém człowiek stoi, co kocha, co wierzy,
I czem się jeszcze u potomnych szczyci.
Bo popiół zacnych i krew serc ognistych
I zbroje dzielnych, i ofiary czystych...
I stare „Żale“ o, to książka stara!
A choć niebardzo czytelna ta księga,
Lecz że człek tutaj przez łzawicę sięga
Po przeszłe dzieje, więc wszystkiemu wiara,
Co popielnica od wieków tu chowa,
I wszystko świadczy, prócz ducha i słowa.



ly nie znamy się ze światem wyspiarskim, więc ścisłość konturów wyspy jest dla nas dziwnie zajmującą.

Całość, to rzecz wielka w pojęciach natury —
całość to rzecz wielka w pojęciach dziejów.

Takiej zaokrąglonej całości, jak jest wyspa, nie znamy na stałym lądzie. Góry spływają tu w doliny, doliny mają swoją wierzchowinę i swoje porzeczka, rzeki mają krainę źródlowisk i ujścia. Działy rozta- czające wody ku osobnym obszarom wodnym nie są ściśle odznaczone, słowem obszar stałego lądu płynie a płynie, czy górami, czy falami wyższego poziomu, czyli dolinami rzek wodnych aż do morza, i nie daje nigdy całości takiej jak widok wyspy, jak uczucie, że cały jej rąbek jest odgraniczony zupełnie innym żywiołem i wiecznie odmienną grą fal morskich i morskich kipieli.

Wyspa — to całość. I umysł usposobiony do pod- jęcia widoków natury i wrażeń, tęskni wiecznie za tak określoną całością, która sama w sobie zamknięta, wystarcza sobie i czysto ludzkim stosunkom człowieka.

...Takie myśli i rozmowy zajmowały nas, gdyśmy szerokim wartem dolnej Odry płynęli na parowym statku, chcąc się dobić do morza i na brzeg wy- spiarski starożytnej Rujany, Roji czyli Rugii.

W Słowiańszczyźnie pogańskiej była Rujana osta- teczny punkt dążenia dla zachodnich Słowian.

Szlaki handlowe przypięrały do Odry w mieście które ztąd *Brzegiem* nazwano, a odtąd szła już dalej żegluga wzdłuż Odry, łącząc sadyby zaodrzańskich Słowian z obszarem Odry, Wisły i Noteci i z Po- morzem, gdzie gęsto nasiadłe miasta utrzymywały nieprzerwane stosunki z małym Ostrowiskiem, leżą- cym na ujściu Odry, w którym jest Rujana najznac- niejszym ostrowem, mniejszemi Wolin i Ujściedom (Usedom), a najmniejszém z nich leżący naprzeciw nadbrzeżnego Podbórza ostrów Wilm.

Chciawszy dojść właściwych i pierwotnych nazw miejscowych, wypada się tu uciec do Długosza, bo on umiał jeszcze nazwać to wszystko po staremu, to jest po słowiańsku.

Jakoż z Długoszem w rękę płynęliśmy na parowym statku, pytając ziemię o stare jej nazwy i pierwotnych jej mieszkańców.

Na początku dolnego biegu swojego leży powierzchnia wód Odry, 216 stóp nad zwierciadłem morza.

Poniżej Fidychowej, poczyna się Odra dzielić na odnogi. Lewa odnoga zatrzymuje nazwisko Odry, a prawa na przestrzeni aż do miasta Greifenhagen, *Zurawiem* jest zwaną, a w dalazym biegu *Wielką Ryglicą* i wpada do Damskiego jeziora, w południowém jego zakończeniu.

Dalej jeszcze płynie Odra wzdłuż zachodnich brzegów tego jeziora i pogrąża się w niem niżej dopiero czterma odnogami z których trzy pierwsze: *Mała Ryglica*, *Parnica* i *Duńczyca*, ku wschodowi wykręcone, do Damskiego jeziora wpadają naprzeciwko miasta Dam, a czwarta, raz jeszcze rozdzielona, poniżej z osobna do tego jeziora uchodzi.

Na rozwarciu tych ramion leży tak zwane *Szczecińskie bagno*, które jednakowóż nie należy do rodzaju ziem żuławskich.

W okolicy miasta Pelic, przebrnąwszy jezioro Damskie, zbiera znowu Odra swe wody na chwilę z wodami jeziora pospołu w szerokiej szyji, a następnie po Wielkiej i Małej zatoce szczecińskiej rozlana, styka się ona między Ujściem i Wolinem trzema szerokimi strzałami z morzem.

Z tych jest pierwsza *Dziwno* (Diwenau) zwana; kierunek tej odnogi na miasto Wolin, ujście jej pod Dziwnowem. Środkową strzałę nazywają Świnią (Swine), a trzecia, której ujście poniżej miasta Wołgorza leży, zwana jest *Pianą* (Penne).

Na dolnym biegu przerywa tedy Odra na przestrzeni aż do Szczecina groblę Pojezierza bałtyckiego która jej dorzecze od morza przedziela.

Zazwyczaj robią rzeki podobne wyłomy wąską doliną w zebraném korycie; Odra przeciwnie przechodzi szerokim, bagnistym łęgiem który się miejscami na przestrzeni dwóch do trzech tysięcy sążni u stóp wyniosłych zabrzeży rozściela. W spadkach obojętnieją tutaj wody i główny wart dzieli się często na odnogi.

Łagodnie spuszcza się ku Odrze grzbiet roztoki pomorskiej i spada ku Damskiemu jeziorn. Wszakże i tutaj wznoszą się brzegowiska pomorskie na trzysta do czterysta stóp miejscami nad zwierciadłem morza, jak n. p. góra Kobold, w okolicach wsi Hohenkoenig, na początku tego wyłomu, 425 stóp; wieża w Hohenkoenig 225, stóp, a na końcu wyłomu wieża w wiosce Klic 197 stóp nad powierzchnią morza.

Lewy brzeg Odry, który nad jej doliną i nad prawym jej brzegiem na przestrzeni tego wyłomu panuje, przypiera nawet w okolicy miasta Szwed i Szczecina pozór krainy górzystej.

Na małe wymiary przerzynają rozkoszne doliny w malowniczych zarysach okolicę górską. Nagie i obrosłe zbocza okrywają małe rzeki, które z szumem i w nagłych spadkach ku Odrze uchodzą, a wieńce

niewielkich bukowych lasków stają się odtąd cechą wyłączną zaodrzańskiej krainy.

Na tej przestrzeni wznosi się góra Pimpenela w okolicy Bogumina (Oderberg) na 371 stóp, wieża we wsi Stolpenhagen nad jeziorem Damskiem 353 stóp, a w końcu dalej ku północy wieża we wsi Neuendorf 411 stóp nad zwierciadłem morza. Poniżej tych wyniosłości spływa piaszczyste Pomorze ku północy do poziomu prawie i niknie odmiałem Bałtyku.

Całe dorzecze Odry należy jeszcze do obszaru Sobótki. Pod Wrocławiem jest góra Sobota na którą dotąd rok rocznie Wrocław i cała okolica jego wylega i święto-jańskimi ogniami czci pamięć obrzędów pogańskich.

Pomijając wysokie brzegowisko Pomorza, przypominają nazwy starych nadbrzeżnych grodów cudowne dzieje i legendy nawrócenia Pomorzian za panowania Bolesława Krzywoustego przez Ottona biskupa bamberskiego.

Na ujściu Odry pokazują na dnie zatok starożytną świątynię Retry i ludną a bogatą niegdyś Wenedę Słowian. Brzegi na których stała Retra i Weneda obsunęły się w morze i ledwo nadbrzeżne rumowisko wskazuje miejscowa tradycja; a cała Rugia jest jednym wielkim gabinetem starożytności słowiańskich i jedną wielką galerią najokazalszych pomników przeszłości.

To, na co badacz starożytności słowiańskich natrafia na całej przestrzeni, od ujścia Odry i Wisły, aż do ujścia Dniestru i Dniepru, to leży tutaj zgromadzone na przestrzeni kilkunastu mil kwadratowych, w poetycznym obrzeżeniu rąbka morskiego,

którym malowniczo jest wydziergany ten ostrów wielkiej pamięci.

Są tu mogiły wieńcami rozłożone, to znowu inne prowadzone szlakiem, mogiły z dwoma wierzchołkami i podwójne. Są tu wały i przekopy stare, a nawet pojedyncze półwyspy ostrowu, od całej wyspy Perekopem, jak Krym oddzielone.'

Są tu gródki i uroczyska święte, okopy twierdz obronnych i pierścieniowe okopy. Są wielkie żale i cmentarzyska pełne popielnic i nasadzonych kamieni wierzchem mogilnego pagórka. Podobne okopiska zagrodzone są kamieniami polnemi i mają kształt niekiedy wielkiego koła, niekiedy olbrzymiej maczugi.

Są tu z osobna grobowce kamienne z cyklopowych brył granitu surowo ułożone — i większe od nich jeszcze, niepożyte grobowce olbrzymów.

Są święte jeziora i święte gaje — są ofiarne ołtarze i sądowe kamienie, pobojuwiska zwycięzców i zwyciężonych żaliska...

Aby o tém bogactwie dać wyobrażenie, powiemy tu iż dotąd odkrytych i znanych tego rodzaju pomników pierwszego rzędu liczą na wyspie do dwóch tysięcy na powierzchni ziemi, a każde żalisko jest osobną kopalnią zabytków przeszłości zebranych w muzeach, których głównie trzy znajduje się na Rujanie.

Co chwila sprawia widok jakiegoś nowego pomnika w zadumanie i zwraca całą uwagę naszą i umysł do przeszłości...

Cała atmosfera tej okolicy jest, że się tak wyrażę, starożytniczą i tradycyjną — i kiedy na morzu człowiek chcąc nie chcąc musi się wcielić i wdrożyć

w życie majtka, kiedy w górach musi żyć z pasterzami, wśród puszczy z myśliwymi, w stepach na koniu i z chartem — to na Roji zostaje każdy badaczem starożytności, nabywa znajomości nieznanych dotąd rzeczy i obudza w sobie interes badacza dziejowych pomników.

Takie usposobienie zawładnęło wszystkimi na pokładzie parowego statku „*Podbórz*“, który nas niósł na ujście Odry — a uczucie to wzmagало się, gdyśmy pomiędzy wyspami Wolinem a Ujściedomem wypłynęli na zalew rujański — gdy piękna, zielona wyspa leżała przed nami w szumie fal znacznie wyższych, które tu z otwartego morza były, podnosząc urok nowego dla nas widoku.

Towarzyszem moim podróży był wówczas młodzieniec bardzo miłej powierzchowności i zdolności wyższych, bystry, rączy, pojętny, pełen energii i dobrej woli, pełen swobody umysłu, pewności jaką siłą daje, pięknej nadziei jaką daje młodość i całe tego rodzaju usposobienie. Posiadał on jeszcze zalety towarzyskie, miły i łatwy sposób wysłowienia się i czytanie na wiek. Łatwość i szybkość czytania były mu wielką pomocą: kiedy książkę czytał, zdało się że tylko karty przewraca; tomowe dzieło przeczytać mógł w kilku godzinach. Miał także wielki dar do rysunku, a prawdziwy talent do chwywania śmieszności ludzkich i oddawania podobieństwa w karykaturach.

Od chwili wstąpienia naszego na statek parowy, napadła go mania karykatur — i zrobił całe album małe ze wszystkich figur snujących się po pokładzie statku i przy stole w ozdobnej kajucie, gdyśmy śnia-

danie i obiad jedli. Począwszy od kapitana statku, od sternika, kucharza i małego chłopaczka okrętowego, który się z małpą kapitana bawił i kłócił przez cały dzień na pokładzie, aż do siebie samego jako rysownika karykatur — poszkicował całą załogę parowego statku, a co najzabawniejsze było, że pod każdą kartą dodawał dowcipne podpisy, kręślone runicznymi charakterami, bo od trzech tygodni popadł był w manię starożytności.

Osobliwa okoliczność naprowadziła mego towarzysza na to naukowe pole. W Berlinie znajduje się największe muzeum starożytności słowiańskich, jakie znamy. Są to same wykopaliska, zebrane na obszarze dawnej Wielkiej-Polski, Pomorza i Rugii, na obszarze starych Prus, Luzacyi i Zgorzelic. Jeden rozkaz stworzył to muzeum. Prezesowie wszystkich regencyj i landraci otrzymali polecenie zakupienia wszystkiego, coby się w rękach prywatnych znaleźć mogło, i robienia nowych poszukiwań, podług bardzo trafnej naukowej instytucyi, którą urzędnikom dano. Tak powstało jednem cięciem *Ojczyście Muzeum starożytności* w Berlinie (*Vaterlaendisches Museum der deutschen Alterthümer*), które zdaniem mojem jest wyższe wartością od tego wszystkiego, co Berlin zgromadził w zbiorach swoich.

Wykopaliska zebrane w tém muzeum starożytności są tak co do liczby przedmiotów, co do różnaitości i doboru znanych, odkrytych dotąd rzeczy jakoteż doboru egzemplarzy, jeżeli nie jednym, to najbogatszem źródłem dla badacza starożytności słowiańskich, zwłaszcza gdy tu ono z jednej strony ze starożytnościami Skandynawii, z drugiej ze staro-

żytnościami pogańskiej Litwy graniczy, a t \acute{e} m sam \acute{e} m na wi \acute{e} kszym obszarze dla naukowych bada \acute{n} otwiera pole, podaj \acute{a} c gotowy i przysposobiony materia \acute{l} naukowy.

Od kilku dni trawili \acute{s} my z Karolem (tak si \acute{e} zwa \acute{l} m \acute{o} j towarzysz podr $\acute{o$ ży) ca \acute{l} e dnie prawie w t \acute{e} m muzeum. Bardzo starannie odrysowa \acute{l} on tutaj popielnice i stare zbroje, kamienne toporki, olejnice i łaźnice, ma \acute{l} e pos \acute{a} żki bożyszcz i noże ofiarne, ozdoby ze z \acute{l} otej i bronzowej ery.

Po kilku jednakow \acute{o} ż dniach zniecierpliwi \acute{l} o go to wszystko — i rozpoczą \acute{l} naukow \acute{a} polemikę ze sztywnym konserwatorem tego gabinetu.

— Jakże to panowie nazywacie to muzeum?

— Muzeum ojczyste, rzek \acute{l} mu konserwator powaźnie. Jedne zabytki pochodz \acute{a} z grob \acute{o} w starych Borus \acute{o} w, drugie s \acute{a} skandynawskie, trzecie germa \acute{n} skiego pochodzenia, a miejsca znalezienia s \acute{a} ściśle naukowo przy kaźdym przedmiocie oznaczone.

— A ja panu m \acute{o} wię że to s \acute{a} starożytno \acute{s} ci s \acute{l} owia \acute{n} skie, zawo \acute{l} ał Karol niecierpliwie — i że takie same mamy i znajdujemy codziennie u siebie.

Na to rzek \acute{l} konserwator szydersko:

— A, jeźeli tak, to i owszem — to nam pan, jako S \acute{l} owianin, wielk \acute{a} przysługę zrobisz, jeźeli odczytasz charaktery runiczne, a nie w \acute{a} tpię, skoro tak twardo stoisz przy t \acute{e} m że to wasze, iź b \acute{e} dziesz umia \acute{l} odczyta \acute{c} co swoje.

— Tu wysun \acute{a} ł nam szufladę, kt $\acute{o$ rej dot \acute{a} d nie pokaza \acute{l} jeszcze i w kt $\acute{o$ rej by \acute{l} y przechowane runiczne napisy, na p \acute{l} askich, szlifowanych kamieniach i na odlewach bronzowych ryte. By \acute{l} y pomi \acute{e} dzy nimi ta-

bliczki bardzo foremne z gliny palonej, oznaczone lekkim rysunkiem figur i ozdób, a runicznymi charakterami zapisane.

Cała twarz i oczy nabiegły krwią biednemu młodzieńcowi — ale nauka nie poszła w las. Z energią sobie właściwą rzucił się do poznania runicznego pisma; jedno znalazł u antykwarza, coś innego w bibliotece, przeczytał kilka dzieł ważnych, przestudował runiczne napisy Jana Potockiego i Lelewela alfabet, dzieła o Obotrytach i Połabianach, o Wilkach i Lutykach, siadywał całe godziny z profesorem literatury słowiańskiej na uniwersytecie w Berlinie Cybulskim, śleczył całe noce nad książkami, rysował charaktery runiczne — i nabył w przeciągu trzech tygodni takiej wprawy w czytaniu runów, że nie tylko poczciwy nasz przyjaciel Cybulski, ale nawet i konserwator w muzeum głównem nie wdawał się już więcej w polemiczne dysputy z podjazdowym starożytnikiem, który pono w całym Berlinie najlepiej runy czytał.

Takim tedy arsenałem starożytniczej wiedzy zbrojny, szermował Karol w całej dalszej podróży, rysując karykatury, zajmując stanowczy głos w rozmowach o rzeczach słowiańskich i pisząc runicznymi charakterami tak szybko, jak każdym innym językiem.

Na pokładzie statku było jakieś młode małżeństwo, które jechało do kąpiel morskich. Ona była prześliczna i kwitnąca jak róża, wesoła i pusta — on był wywiedły agronom-chemik z górnego Szlązka, osłabiony, nieszczęśliwy i smutny.

Mój starożytnik, który się nietylko na runach znał, pobratał się bardzo prędko z młodą parą. Uważałem, stojąc przy sterze, że bardzo żywo szła rozmowa Karola z tą piękną panią przy dziobie okrętu. Trzepał, pokazywał jej karykatury swoje, śmieli się oboje serdecznie i widziałem że między rysunkami była i karykatura męża chorego niechorej pani, widziałem że się w końcu oboje śmieli i że Karolek poskoczył nawet i przyniósł słabemu swoją skórzaną poduszkę, by mu się wygodniej śmiać było. Kiedym ich poznał bliżej, pokazało się że to byli posiadacze znacznego majątku z okolic Opolą. Oboje mówili po polsku niepiśmiennym językiem miejscowego ludu bardzo płynnie i widocznie miło im było znaleźć tu na ujściu Odry kogoś, co z niemi ich ojczystym językiem rozmawiał.

Panie nasze lubią przy pierwszej znajomości zaraz nakładać podatek serca, na głowy i talenta. Otóż i ta znała się na prawach swoich i powiedziała prosto, że całe album na pokładzie rysowane jest jej własnością. Karolek nie spierał się bardzo, położył tylko za warunek, że je dla mnie jeszcze przerysuje i że pani go zmuszać nie będzie, aby jej odczytywał runiczne napisy, bo mogłyby być puste. Ale pani nie zależało na runach, tylko na tem co pod jej i męża chorego wizerunkiem podpisał.

Tu muszę jeszcze opisać tę karykaturę. Po jednej stronie był wizerunek prześlicznej kobiety, ale smutnej i zrozpaczonej, która podróżną torbeczkę trzymała przed sobą z opuszczonemi rękoma. Podobieństwo było bardzo wiernie schwycone, ale wyraz zupełnie inny, bo była w istocie, jak mówiłem, we-

sołą, dowcipną i pustą. Obok niej siedział na okrętowym krzeselku na pokładzie statku mąż chory, a pomiędzy nimi zrobił rysownik samego siebie w roli Mefistofelesa, z albumem i ołówkiem w ręku.

Podpis był taki:

Mefistofel. Dokąd państwo jedziecie?

Mąż. Na Rugię, do kąpiel morskich, poratować zdrowie.

Mefistofel. Pan cierpisz?...

Mąż. Na osłabienie bez granic.

Mefistofeles. A pani?

Żona. Ja będę się leczyć na zbytek zdrowia.

Wołałem na pustaka, zwąc go Karolkiem, a pani biorąc to za jego nazwisko, wołała także odtąd na niego tak samo, za co się rysownik w roli Mefistofelesa zupełnie nie gniewał.

Stańło na tém, że do jednego powozu wsiądzem i w tej samej gospodzie staniem w Podbórze; Podbórz leżał tuż przed nami i przykry pogwizd parowego kotła ostrzegał, że za chwilę przybijemy do brzegu.

Stańliśmy tedy na wyspie. Ja podałem rękę pani, a Karolek wziął w opiekę chorego agronoma-chemika, który się przy eksperymentach chemicznych kilka razy w życiu zatrul i odtąd ciągle nie-domał.

Most prowadził do przystani, do której statek przybił i gdzie powozy stały rzędem, czekając na przybycie gości.

Była to pierwsza pora morskich kąpeli, do których tylko prawdziwie chorzy zdążali. Łatwo było tedy i zabrać się ze statku i umieścić w powozie.

W Podbórze jest urządony kąpielowy zakład, najslawniejszy pono na całej przestrzeni od Kurlandyi do Helgolandu, a choć fale nie idą tu na pełni morskiej z otwartego oceanu, i choć tem samem skuteczność kąpiel morskich nie jest taką jak na wyspie Helgoland albo w Ostendzie, umiano znieść gości do Podbórze, bo zakład jest tu tak urządony że przynajmniej od Helgolandu na wybrzeżach pruskich i kurlandzkich aż do Narwi i Rewla równemu niema.

Rząd pruski, głównie ekonomiczny, wziął w protekcją wyspę Rugią od czasów wiedeńskiego kongresu — i tu leży klucz jej pomyślności i wzrostu wszelkiego rodzaju zakładów na tej wyspie.

Cały świat berliński, od dworu począwszy, szukając kąpiel morskich, śpieszy na Rugią, a że tylko piętnaście godzin czasu dzieli ją od Berlina, jest przeto punktem wycieczek stolicy, o którym wierszem i poetyczną prozą, ołówkiem, w drzeworytach i akwarelach fantazyują Berlińczycy, popisując się swemi posiadłościami morskimi.

Tu się tedy nauczyć trzeba, jak zachwalić należy to, z czego się pragnie ciągnąć korzyści, nie-petyczne wcale co do swojej natury, ale bardzo dogodne. Poezyą zostawiają Berlińczycy dla turystów i kąpielowych gości, dla cudaczných lub wymyślonych oryginałów, szukających wody lub wykwintności po Europie, a dla siebie biorą tę część podlejszą rzeczywistego życia, która ostatecznie w finansowym obrocie przynosi Prusom bardzo ładną cyfrę, tak na statkach parowych, jak w zakładach kąpielowych.

Dziesięć do dwunastu tysięcy podróżnych przybija tu w przeciągu trzech miesięcy od przystani w Podbórze. Każdego trzeba przywieźć i odwieźć, przyjąć, ugościć i obliczyć, a trzy miesiące muszą tu płacić za miesiące dwanaście całego roku, bo przepyszne gmachy, kąpielowe zakłady i olbrzymich rozmiarów przechadzki i parki, potrzeba tu utrzymywać rok cały dla tych trzech miesięcy, w klimacie ostrym i wilgotnym, sprowadzając na czas kąpeli służbę z Berlina, Hamburga i Królewca, i wszelkie zapasy i sprzęty, których wykwinne i drogie życie się domaga, chociażby na czas jednego popasu i jednego noclegu.

Całe ostrowisko rujańskie było niegdyś połączone ze stałym lądem Pomorza. Świadczą o tém tradycje i świadczy miejscowość, że wyspa łączyła się niegdyś ze stałym lądem; ale północno-wschodnie i wschodnie burze morskie, które kry znoszą z Botnickiej i Fińskiej zatoki, pokrywających się lodem corocznie, — burze, mówię, morskie biją taranami kry o ten wyskok stałego lądu i zamieniły z wiekami półwysep na wyspę, a raczej na ostrowisko.

W tych zapasach stałego lądu z morzem, które olbrzymie kry ku tej wyspie pędzi, odgrywają granitowe błędne głazy wielką rolę.

Połamanie kry morskiej na skalistych wybrzeżach Finlandyi, jest skutkiem czysto mechanicznej siły i nietyle ciepła, ile podlodnego ruchu morza, które zmieniając zaledwo na dwa lub półtrzecia sto-

pnia temperaturę, pozbywa się gwałtownie zimowej skorupy lodów.

Przybrzeżne szkopyły Finlandyi i Szwecyi wystrzelają w ostrych granitowych styrmach i łomach, obmarzając dokoła lodami morskimi. Gdy się krałamać i styrmieć poczyna, kruszy ona te szkopyły granitowe, które zamrożone w lodzie, płyną jak na promach na otwarte morze, północno-wschodniemi i wschodniemi wiatrami pędzone, aż na brzegi Pomorza i Rugii. Tu dodiero tają kry, składając luźne bryły w przystani. Ztąd szczególnie północne i wschodnie wybrzeża Rugii zasiane są takimi bryłami skandynawskiego granitu, a brzegi same są urwiste i dziko podbite. U stóp ich tedy leżą kąpiele morskie, i gdyby nie te bryły, o które się fale morskie roztrącają, stałaby się Rugia prędzej łupem morza, choć jej i tak co stulecia ubywa i można to nawet obliczyć, ile już ubyło za historycznych czasów.

Rujana należy do wysp płaskich Bałtyckiego morza; spodnim jej wszakże podkładem są formacje krędy, które w ostrych przylądkach wybiegły stromo ku północy i północnemu wschodowi na morze, i od tych krędowych przylądków, które ukośnie ostremi przyporami spadają do morza, zmienia się geologiczna podłoga morza Bałtyckiego, a Dania leży już na wysokim tarasie krędowym.

Obszar ostrowiska Rujany zajmuje do dwudziestu mil kwadratowych. Gdyby ją można opłynąć dokoła, potrzebaby trzydzieści przeszło mil. Że jednak podzieloną jest na półwyspy i ostre przylądki, daleko w morze wybiegające, przeto obrzeżenie wszystkich zatok i rękawów morskich, które w głąb wy-

spy zachodzą, do ośmdziesięciu mil wynosi. Na milę kwadratową obszaru, przypada tedy cztery mil przeszło rąbku morskiego. To daje najlepsze wyobrażenie o przystępności wyspy, a gdy stosunek rąbku morskiego do obszaru stanowi o dziejowych rezultatach wyspiarskiego świata, łatwo nam się to tutaj tłumaczy, dlaczego Rujana tak wielką historyczną rolę odegrała w Słowiańszczyźnie północno-zachodniej. Tu leży klucz do dziejowej przeszłości, a może także do dzisiejszej i przyszłej pomyślności Rugii.

Takie fakta natury mówią więcej do nas, niżeli wszelkie rozumowania lub uczucia domyślnego serca. Co Bóg nakreślił swym palcem, to stoi jako potęga czynna w naturze, a stanowczą potęgą dla człowieka jest wszechwładne fatum klimatu, które się wyraża stanem wód lądowych i ruchem wód morskich.

Na pokładzie krędowym, który ostremi żebrami i malowniczymi przylądkami obrzeża wyspę, leżą pokłady napływowych ziem, która cechuje różnaitość wielka, tak pod względem ich składu, jakoteż i kształtów poziomą.

Cały zrąb wyspy jest wysoki, więcej zbieżysty ku zachodowi, a podnoszący się zlekka ku środkowi od półwyspów i zatok.

Rojgród leży na najwyższym punkcie wyspy, na 250 stóp nad poziomem morza, i z tej wysokości widna jest cała wyspa na oko, i wszędzie kończy widokrąg morze, lub w sinem oddaleniu wybrzeża Pomorza.

Rojgród (Rugigród, Rugard) — to prawdziwy ofiarny ołtarz tej wyspy, i ztąd przedstawia się ona

oku jako całość natury i dziejów. Tu też stała świątynia Rojwida, domowego boga Roi.

Powierzchnia wyspy nie ma tedy gór właściwych w znaczeniu stałego lądu, ale ma lekkie pagórki, w kształcie szerokich dzwonów osiadłe, pasma lekkich wyżyn lesistych i malownicze grzebienie nagich skał kredowych, które ostremi przyporami i podbitami przylądkami spadają na morze.

Najbardziej wydziergane, prócz zatoki Podbórza, są brzegi wszystkich półwyspów, które się z obszarem wyspy łączą.

Główniejsze półwyspy są wszystkie na otwarte morze rzucone, a mianowicie Mnichów, Jasmund, Witów, Wałów, Chełm i Zudar, oprócz dwudziestu wysp i ostrowów drobnych, które do tego ostrowska należą.

Pomiędzy niemi leżą zatoki i zalewy morskie, a każdy półwysep ma mnóstwo drobnych przystani i przepraw, tak iż na małych statkach od każdego punktu rybak na otwarte wypływa morze. Prawdziwa też komunikacya wyspy prowadzi raczej morzem niżeli lądem, i można podróż na Rujanie odbywać na łodzi, lub w kabrioletach jednokonnych, zaprowadzonych dla wygody podróżnych, a dziesięć do piętnastu dni wystarcza na zwiedzenie całego obszaru wyspy, ważniejszych jej osobliwości i półwyspów malowniczych, mianowicie, jeżeli podróżny korzystać zechce z miejscowości, i prostując drogę, przeprawiać się będzie z półwyspu na półwysep morzem.

Roja jest na małą skalę galeryą najrozmaitszych obrazów, a że się tu wszystko do powierzchni morza

odnosi, występują najdrobniejsze widoki natury w bardzo wyrazistych i znaczących konturach.

Wyspa ta legła już w dzielnicy dżdżu właściwie, a że pokład ziemi jest żyzny, pięknie zieleni się ostrów i uroczo sklepią się buczyny cieniste po wyższych pasmach górzystych.

Widok Rujany, z powodu ciągle zmieniających się obrazów stałego lądu i zalewów morskich, bardzo jest zajmującym i nadzwyczaj wdzięcznym.

To rozdrobienie lądu, obrzeżonego malowniczymi liniami, które się z każdego nowego stanowiska coraz inaczej przedstawiają oku, podnosi urok wrażenia, bo ten sam przedmiot układa się w coraz inny krajobraz, z nowego punktu widziany. Wrażenie to podnosi jeszcze sam koloryt krajobrazu, w miarę tego, jak wzrok na żyzne, uprawne łąny pada, na łąki lub jeziora, na małe gaiki lub wielkie wyżyny lesiste, na odkryte torfowiska, na smugi żółtych, lotnych piasków, na nagie skały i grzebienie krédowe, na jałowe wrzosowiska lub sine zalewy i kipiele burzliwe pieniaącego się morza.

Rzek właściwie niema, ale do dwudziestu żywych potoków przerzyna głębsze doliny i wąwozy Roji, które w nagłych spadkach, pieniać się z szumem, uchodzą do morza, a na samych już wybrzeżach tworzą zwierciadło przymorskich jezior, oddzielonych od samego morza tak wązkim niekiedy przesypem, że z kąpieli morskiej do jeziornej przestąpić można jednym krokiem.

Od przystani prowadzi droga do Podbórze, własności książąt tego imienia, do których najznacniejsza i najlepsza część tej wyspy należy. Pochodzą oni

z domu Gryfitów Pomorskich, panującego niegdyś za czasów pogańskiej Słowiańszczyzny. Rodzina ta przetrwała wszystkie burze dziejów od XII wieku. Była najprzód słowiańska, potem, po wytopieniu Słowian, duńska, potem szwedzką, a dziś jest niemiecką, gdy się od czasu kongresu wiedeńskiego Rugia Prusom dostała. Na całej drodze kolei żelaznej od Berlina i na parowym statku gdyśmy dolną Odrą płynęli, nie mówiono o niczem jak o Podbórze i o księciu podbózkim.

Gdy od przystani droga prowadząca do podbózkiego zamku, zwróciła się ku wschodowi, wjechaliśmy w szeroką ulicę lip starych, którą się park podbózki poczyna. Po prawej stronie lipowej alei, której końca dojrzeć nie można było, przeziarała niekiedy zatoka pomorska pomiędzy kłębami parku, grupującemi się na prześlicznych trawnikach; po lewej stronie alei ciągnęło się ogrodzenie zwierzyńca, jak daleko wzrokiem zasięgnąć można było, i wszystko zapowiadało już tu sadybę wielkiego pana, bo droga szeroka i wyborna, lipy stare i troskliwie utrzymane, a zwierzyńiec był ogrodzony wysokimi żelaznymi sztachetami, w ciosowe słupy ujętemi. Około tego oparkanienia zwierzyńca, przechadzało się kilku dozorców parku.

Strudzeni podróżą na kolei i statku, chcieliśmy odpocząć i w cieniu tych lip przejść resztę drogi do Podbórza, bo zwierzyńiec był tylko dalszym ciągiem parku.

Na wielkich, odkrytych uroczyskach, gryzły mech jelenie i łanie z młodemi cielętami leżały tu i owdzie w cieniu starodrzewia, a bliżej jeszcze sztachet przy

patrywały nam się daniela i prześliczny biały szuflak, oswojony znać z pieszczołami gości, przyglądał nam się bardzo ciekawie i postępował równo z nami, becząc po tamtej stronie sztachet.

Jeden z dozorców powiedział nam, że daniel o cukier prosi; sięgnęliśmy tedy do naszych torb podróżnych, i nimeśmy doszli do końca alei, daniel po drugiej stronie sztachet wyjadł wszystek cukier, wszystkie bułki i sucharki, znęcając się coraz więcej, tak że mu w końcu dozorca małą furtkę otworzył, mówiąc:

— Kiedy taka łaska dla starego Beka, to go puszczyć do państwa na służbę.

Jakoż szedł za nami, pozwał się głąskać i za rogi prowadzić, a kiedyśmy dozorczy naszą obawę wyrazili, żeby Beka pies nie napadł, lub żeby się gdzie nie zbłąkał, rzekł nam z uśmiechem i grzecznie:

— Bek robi honory Podbórze przybywającym gościom. Niema tu psa, żeby się ważył mu co zrobić, zresztą on się psów nie boi i weźmie je na rogi, bo to stary daniel. On odprowadzi tylko państwo do hotelu, a jeżeli łaskawie pozwolicie, to będzie codziennie przychodził w odwiedziny, bo ma pamięć bardzo dobrą i kto mu pochlebia, temu służy.

Nie darmo tak wiele mówiono nam o Podbórze po drodze. Była to niezawodnie rzecz niespodziewana, znaleźć tam urocze grody i okazałe nowożytny gmachy, gdzieśmy tylko na mogiły, zgliszcza i gruzy liczyli.

Podbórze ma pozór letniej stolicy panującego. Cała okolica jest tu zmieniona w jeden park, w któ-

rym stoi siedmdziesiąt kilka gmachów wielkich, przegrodzonych partyami parku i trawnikami olbrzymich rozmiarów.

Przed końcem jeszcze długiej lipowej ulicy ciągnęły się te gmachy symetrycznie wzdłuż niej, najprzód w prostej linii, potem przechodziła lipowa alea w cieniste szpalery, prowadzące do wielkiego rynku, a raczej czworoboku, gdzie się okazał jeszcze wznosiły gmachy pomiędzy gazonami i kłębami, składając ów czworobok, którego północną stronę tworzył zamek. Na węglach czworoboku widać było ozdobną szklarnię, po lewej stronie okazałe stajnie książęce, z krytym karuzelem. Z przodu oprawiała go dwa ogromne gmachy: teatr i pedagogiczny instytut, gdzie się młodzież całej wyspy kształci.

Olbrzymich rozmiarów z żelaza lane kandelabry i latarnie ozdabiają tu chodniki i drogi przewijające się pomiędzy kłębami kwiatów, boskietami krzewów i kępami starodrzewia

Poziom wznosi się od morza aż do zamkowego tarasu na północy, cały zakład leży uroczo ku słonecznej stronie, a pielęgnowane plantacje dowodzą, jak bujną roślinność może być na wyspie.

Gmachy te są duże. Teatr należy do najpiękniejszych jakie widziałem, zamek i pedagogiczny gmach do budowli wielkich rozmiarów, a pomimo to są te gmachy tak wdzięcznie rozmieszczone, iż wydają się tylko ozdobami parku. Rysunek dróg, ścieżek i kłębów jest prześliczny, każdy gmach ze wszystkich stron pod względem stylu wykończony, cały poziom tak sztucznie splantowany i zasadzony, iż wszelkie

ostre kontury podniesiono do znaczenia pagórków i skał.

Piękne jezioro lądowe, z którego umiano korzystać i wody które po parku rozprowadzono sztucznie, tworzą tu i owdzie zwierciadła, a ze wszystkich powyższych stanowisk parku i zamkowego tarasu, ze wszystkich okien wyższych piątr po gmachach, jest widok na Sine morze i więcej jeszcze sine wybrzeża Pomorza lub wysp oblegających ten ostrów.

Wszystko ma cechę wykończenia, a cały park i gmachy są tak utrzymane starannie, iż zdaje się że nikt tu nic nie zrobił, że to wszystko tak samo stało i wyrosło.

Jest to sadyba wielkiego pana, która łączy to wszystko w sobie, co do wygody i okazałości dworu i publicznych zakładów należy, to wszystko czego tylko wielki kąpielowy zakład wymaga, w połączeniu ze świetnością letniej stolicy i towarzystwa kąpielowych gości, którzy tu z całego świata napływają latem i dla których hotele, czytelnie i resursy koncertowe i balowe sale, teatr i karuzel na wielkie rozmiary urządzone.

Sam zamek księcia podbózkiego, był to pierwotnie wielki czworobok, z czterema basztami, jak wszystkie średniowieczne kasztele. Do tego wielkiego kwadratu, który dwoma piętrami góruje nad parkiem i resztą gmachów, przystawiono cztery pawilony i ozdobnymi krużgankami połączono je z sobą.

Wchód do zamku ozdobiony jest okazałą attyką, która dziś stanowi fronton zamku. Na niej herb domu, a nad nim powiewa chorągiew, z barwami pomorskiego Gryfa.

Taras zamkowy opada w olbrzymich wschodach na gazon, a na tych wschodach drzewią dwa kolosalne lwy brązowe, starożytnego rysunku. W wielkiej sali sieni zamkowej odpowiada im brązowy posąg rzymskiego gladyatora.

Na prawo od zamku stoi ozdobna brama prowadząca do zwierzyńca, a dwa jelenie brązowe patrzą z wierzchu ciosowych jej słupów w okolicę tak spokojnie, jak wyglądały z gęstwiny, kiedy na Roi mogiły olbrzymom sypano.

— Jeleń, lew śpiący, szermierz i mityczny Gryf Pomorza, rzekł do mnie Karol — i to ma swój sens, chociaż inny, jak temu wszystkiemu nadają ci, co z nami na to patrzą.

Sam zakład kąpiel morskich, położony nad samym brzegiem parku i morza, tak wykwintnie jest urządzony, iż można tu brać kąpiele w łazienkach i na otwartym morzu.

Nam nie chodziło o kąpiele morskie, lecz o obejrzenie całej wyspy pod względem pomników starożytnych. Pożegnawszy tedy agronoma-chemika, jego żonę, i przyjaciela Beka, który jeszcze za kabryoletem biegł przez część alei, ruszyliśmy w głąb wyspy.

W kąpielach w Warmbrunn bawił podówczas szanowny mój przyjaciel Purkinie. Z nim razem spędziliśmy kilkanaście dni, robiąc wycieczki po Olbrzymich i Jeziornych górach (Riesen und Isergebirge Szlązka). Już tu tedy często rozmawialiśmy o Ruggii i Purkinie dał mi list do uczonego pastora, który na wyspie od lat wielu czynił naukowe poszukiwania i bardzo szacowny zbiór starożytności miejsco-

wych posiadał. Z listem tym odszukaliśmy ciche ustronie uczonego badacza *).

*) Tu będzie może najwłaściwsze miejsce do ocenienia pomników Roi, po całym jój obszarze rozrzuconych, tém okiem, jak się na nie tu zapatrują.

Pomniki nagrobne Rujany są z gruba wzięte czterech rodzajów.

Pierwszy rodzaj tworzą tak zwane *grobowce kamienne* różnej wielkości. Są to groby zbudowane w podłużny czworobok, z wierzchu pokryte ogromnymi wiekami kamiennymi; na których się jeszcze wznosi stos wielkich granitowych brył, nakształt sarkofagu. We wnętrzu tych grobów znajduje się jedna lub kilka większych, a czasem cały pokład małych popielnic, niekiedy większe i mniejsze razem. Rzadziej zdarza się że leżą w nich kości zmarłych, w ziemi wyżłobionej ponad kamiennymi trumnami. Lud nazywa też te groby dla ich kształtu *trumnami kamiennymi*, a dla ich wielkich rozmiarów *grobami olbrzymów* (Huenengraeber). Wyraz *Huene* oznacza w staroniemieckim zarówno olbrzyma i umarłego.

Drugi rodzaj grobowców na Roi jest tylko odmianą pierwszych, różnej wielkości, bo od dziesięciu aż do stu stóp obwodu. Te wszakże nie mają wierzchem wznoszącego się kopiaстого sarkofagu. Wierzchnie kamienne wieko zakończy się w nich kopczykiem z ziemi usypanym, który jest obłożony do koła polnym kamieniem, dla oznaczenia obwodu grobowca. Pomiędzy tém bywają także z samych kamieni usypane kopce. Zwykle natrafia się je po miejscach krzaczystych, wrzosowiskami i tarniną porośłych. Ich nazwa i wnętrze są te same co pierwszych.

Jako trzeci i najzwyczajniejszy rodzaj pomników na Rujanie, wyliczam mogiły usypane z ziemi w kształcie dzwońców, w których się tylko popielnice znajdują. Te natrafia się pojedynczo i po kilka razem, zwykle po siedm, ustawiane w szeregach, w kierunku z zachodu ku wschodowi, pospolicie z małym zboczeniem na północ lub południe.

Po drodze odwiedziliśmy groby książąt Podbórzów, w których się znajdują rycerskie pomniki z wieków średnich.

Znaleźć je można także w większej liczbie, po siedm razem, albo z każdej strony po siedm, i to różnej wielkości, aż do stu osiemdziesięciu stóp w obwodzie, a czterdziestu stóp na wysokość. Zwyczajnie bywają takie mogiły nad jedną dużą popielnicą usypane, lecz zawierają także i mniejsze popielnice w większej liczbie. Należy je prawdopodobnie odnieść do innej ery jak grobowce kamienne. O starożytności popielnic daje świadectwo jedynie ich kształt i materiał, toporki i czakany kamienne, które się w nich znajdują, ozdoby złote lub brązowe, które obok nich leżą, ofiarne noże, olejnice i łzawnice. Najstarsze popielnice były tylko na słońcu suszone i nie mają ozdób; późniejsze są już z gliny palone; najpóźniejsze nawet polewane, a ozdoby zewnętrzne postępują w miarę tych głównych odmian.

Czwarty rodzaj tworzą tak zwane *olbrzymie łożyska kamienne*, podłużne, ziemne nasypy, po środku nieco zakłęsłe, które uważać należy za grobowiska, ponieważ kilka grobów pierwszego rodzaju przykrywają, a na wzdłuż zawsze z zachodu ku wschodowi leżą. Poziomy zarys ich kształtu tworzy maczugę z zaokrąglonymi końcami, a każda taka mogiła jest w około granitowymi płytami obwiedziona. Kamienie stoją dwie do sześciu stóp od siebie oddalone i jest ich zwykle koło czterdziestu. Na zachodnim szerszym końcu stoją pospolicie dwie ogromne kamienne bryły na każdym rogu, jak słupy u wejścia, i te nakrywają zamknięte groby, po większej części z osobna leżące, po szlakach, po dolinach albo na wybrzeżach, z kąd niektórzy wnoszą, że były na tych miejscach usypane dla osobnych oddziałów wspólnie w tej samej bitwie poległych wojowników.

Grupy mogił i kamiennych grobów drugiego rodzaju znajdują się wszędzie na Roi, jednak ma każdy rodzaj

Miasteczko Garc wydało nam się tem osobliwe, że nam tu pokazywano ślady starożytnego kanału,

właściwe sobie miejscowiska. Najwięcej ich jest na Jasmundzie i na południowo-wschodniej części wyspy, pomiędzy Granicą, Mnichowem a Podbórzem, kiedy na zachodniej i północno-zachodniej części przeważają mogiły, a na półwyspie Witowie wcale ich niema.

Najbardziej zasługującą na uwagę jest grupa mogił leżących na drodze z Pacyku do Gór, na zachód od tego miasta, niedaleko wsi Worki, znanych pod nazwą *grobów* albo *mogił olbrzymich pod Workami*. Jest to ośmnaście mogił w kształcie dzwonów osiadłych, gromadami po trzy, cztery i siedm rozrzuconych, po prawej i po lewej stronie drogi w polu leżących. Kilka z nich jest rozkopanych, a dwie oboranych w około. Siedm największych ma w przecięciu obwodu sto trzydzieści kroków, a wysokości dwadzieścia cztery stopy. Są one, jak największa część zabytków tego rodzaju, z żółtego, z piaskiem mieszanego iłu usypane. Niektóre z nich są krzakami porośłe, inne dębami i jesionami ocienione, lub zieleniejącym się młodych drzew porostem.

Niedaleko dworu w Kwołtocy, poczyna się okolica zasiana mnóstwem mogił i kopców leżących na wrzosowiskach, pustych uroczyskach, na rolach uprawnych i w sosnowych gajach, niegdyś rozległe, zmarłym poświęcone *żałisko*.

Tu się rozpościęra w nieprzejrzaną dal kraina grobów, tysiędem dróg i ścieżek zasnutą, prowadząca przez Nardwicę, Niemirów i spływająca aż po wybrzeża otwartego morza, a na prawo aż do Płuhowa.

Tu grób przy grobie, ogromne styrmie kamieni po rozdołach, po pagórkach, pośród orných pól, kędy pług mozołnie tylko tu i owdzie kawał skiby rozorał.

Te tysiące grobów należą wszystkie do zabytków nagrobnych drugiego rodzaju. Trumny kamienne wyniosłemi

który aż pod grodzisko dochodził, kanału długiego na pół mili, a ćwierć mili szerokiego, w którym się

pokryte są wiekami, po największej części olbrzymiej budowy. Szczególniej nad strumieniem, który płynie głębokiem łożyskiem jaru i niegdyś w wiekach pogańskich był świętym ruczajem, kędy splywała krew licznych ofiar,—przylegają tu groby i grobowiska jedne do drugich. Krzaczystą olszyną zarasta tu do stu olbrzymich łożysk, pokrytych ogromnemi, płaskiemi, czworogrannemi lub na wpół okrągłemi granitowemi bryłami, które po większej części i nieco obrobione, mają dziesięć, piętnaście, dwadzieścia pięć, a nawet trzydzieści siedm stóp obwodu i przez które woda kaskadami bieży, prawie wszystkie te olbrzymie styrmę grobowe pogrążając w podmokłą krainę.

Po przeciwnym brzegu strumienia i ponad drogą wzdłuż niego wiodącą, ciągną się dalej groby przez pagórki i wrzosowe pusty, muij tutaj mchem porośłe, a przez burze i deszcz ogładzone.

Gdzieniegdzie sterczą z pomiędzy rozrzuconych w nieładzie wiek grobowych olbrzymie pomniki, najdziwaczniejszych niekiedy kształtów. Zdaje się, że materyał do nich musiał być z pobliza i zdala nagromadzonym tutaj, bo jest bardo różny, głównie szary i czerwony granit, mika i kwarcem przestrzelony, jasno popielaty, lub także piękny, szaro-srebrny, kwarcem żyłkowany.

Na jednym z najwyższych pagórków wznoszą się razem najznakniejsze pomniki, z których jeden jest kunsztownie w szare i białe żyły obrobionym odłamem granitu, mającym czterdzieści stóp w obwodzie, a cztery stopy na wysokość, zbudowanym w kształcie rzymskiego grobowca. W poblizu niego stoi drugi pomnik największy i dominujący wszystkie inne. Jestto zapewne grób jakiego sławnego wodza lub księcia, olbrzymi i zbudowany z jednego misternie rzeźbionego i ogładzonego granitowego głazu, w kształcie trumny wysklepionej w górze, czterdzieści dwie stopy obwodu mający. Sklepienia jego powierzchnia pochyla się

wszystkie okręty i statki wypiarzy skryć mogły na wypadek najazdu i przeważającej siły nieprzyjaciel-

ku zachodowi na cztery stopy, a na wschodnim końcu na siedm stóp wysokości, ciężar zaś jego wynosi do tysiąca centnarów.

Z zadziwieniem przychodzi zapytać, jak takie masy poruszano z miejsca i dźwigano na wierzchołki tych grobów i pagórków? Do ich usunięcia musianooby dzisiaj użyć wszystkich nowych środków mechaniki, sta silnych ramion i przeciągu czasu lat kilkunastu.

Te pola zmarłych są zabytkami bardzo odległej starożytności, jedyne w swoim rodzaju na Roi i nie mają sobie podobnych w całej naszej części świata.

Cmentarzysko słowiańskie pod Krakowem, leżące w niewielkim lasku po prawej i lewej stronie drogi, w pobliżu miasta Góry, zajmuje blisko dwa morgi obszaru i jest pokryte grobami drugiego rodzaju, a niektóre z nich mają kolosalne pomnikowe płyty kamienne. Największy między niemi odarty jest z ziemi, a płyta jego kamienna, w kształcie półkuli mającej dziesięć stóp obwodu, odkrywa wewnątrz grobu, wyłożone dużemi, starannie oglądzonemi kamieniami polnemi w czworobok, na cztery stopy obwodu.

Pod Ralswikiem na północ od Gór, w głębszej zakłęsłości Jasmundzkiego zalewu, wznoszą się na wybrzeżu Góry *Umarłych*, zwane pospolicie *Czarnemi Górami*. Jest to grupa pagórków kończatych, opuszczonych, pustych, czarnym wrzosem i karłowatym jałowcem gdzieniegdzie porośłych, jakby zasianych kopcami. Przedstawiają one jakiś zupełnie odrębny i ponury widok. Miejsce to jest prawdziwie wiernym obrazem jakichciś bogom śmierci poświęconych żalisk starych Słowian, i tu pośród tych „gór żałobnych“ jest w głębokim jarze miejscowisko gdzie sprawiano ofiary.

Kamienne Góry pod Łankami leżą opodal od gościńca prowadzącego do Mnichowa, u podnóża miasta Granicy, na przeciw dworu Garbzyce, na bujnej łące. Te różnią się od czterech opisanych wyżej rodzajów pomników i nigdzie

skiej na morzu. Taki kanał rzuca najlepsze światło na przeszłość historyczną wyspy, jakimi środkami

więcej nie znajdują się na Roi. Są to znaczne pagórki, których wnętrze ziemią wypełnione, a wierzchnie sklepienie stanowi dziesięć do dwunastu pokładów kamieni. Dwie z tych gór przypierają do siebie, trzecia tworzy grupę z jednego wielkiego i dwóch małych pagórków, podobnych kształtem do siebie, z których jeden jest rozkopczony. Powierzchnia większych z tych gór pokryta jest grobami drugiego rodzaju i gęsto porośla wielkimi dębami, bukami i krzakami, których stare, pokręcone korzenie pną się po tu i ówdzie leżących głazach i splatając się ze sobą, tworzą tak dziką i powikłaną mieszaninę kamiennych gruzów i splotów korzeni, iż tylko wprawne oko orientuje się w tej oryginalnej gmatwaninie.

W pobliżu tych gór leży wiele jeszcze innych pięknych grobów, trumien kamiennych i kopców.

O sprawowaniu ofiar u starych Rujanów, przy braku dokładniejszych opisów, mogą nas objaśniać i nauczać *ofiarzyska* i *kamienie ofiarne*.

W obrzędach swoich nieśli oni bogom całopalenia i krwawe ofiary. Na miejsca do sprawowania ofiar wybierali wzgórze, a pospolicięż jeszcze jary i ukryte miejsca, gdzie przez tajemniczość i wrażenie świętej grozy cały uroczysty obrzęd przybierał coś mistycznego i nadziemskiego. Tutaj wiódł kapłan ofiarę, zabijał ją na ołtarzu, z którego krew częścią zaraz spływając wsiąkała w poświęconą ziemię czarnym duchom na ofiarę, częścią zaś na cześć przyjaznych bożyszczy wylewaną była na płomień gorejący na ofiarnym ognisku i pożarta ogniem wzbijała się w górę dymem, poczem mięso i kości poświęconej ofiary oddawano płomieniom na pastwę.

Na polach zmarłych pod Kwołtycą, o których już mówiłem, stoją trzy takie ofiarne ołtarze kamienne. Jeden z nich, największy i najosobliwszy na całej wyspie, leży na wschód od Kwołtycy, na ornem polu; drugi ku północy

i siłami rozporządzała, kiedy mogła takie przedsięwziąć roboty.

na Niemirowskiem polu jest jeszcze rzadszego kształtu i w szczególny sposób są na tym kamieniu wydrążone rowki. Jest to głaz różowego granitu, jak pierwszy, i okazuje na swojej powierzchni ślady ogładzenia. Ma kształt nieforemnego kręgla, na półósmej stopy długiego, sześć stóp szerokiego, a cztery wysokiego. Na pochyłej przedniej jego stronie i po obu bokach przechodzi prostopadle szeroki i głęboki rowek do ściekania krwi ofiar służący i przeciągający się aż do dołu. Na tym kamieniu, jak i na pierwszym stoi na samym szczycie trójnóg z kratą do palenia ofiar. Trzeci ofiarny ołtarz, który musiał niegdyś także należeć do *Pól Zmarłych*, leży nieopodal Płuhowa, w miejscu olszyną zarosłém. Rozmiary jego wynoszą półsiódmiej stopy długości a półósmej szerokości; wystaje na dwie stopy prawie ponad ziemię i ma na swej ogładzonej powierzchni rowki tamtym podobne. Czwarty ofiarny kamień, położony w pobliżu Weselina w krzaczystém miejscu, ze wszystkich jest najmniejszy, bo ma tylko cztery stopy długości a trzy szerokości i podobny tamtym rowek do ściekania krwi ofiarnej. Zdaje się, że na tych ofiarnych ołtarzach przynoszono objaty umarłym, bo leżą na żaliskach.

W pobliżu Stopnicy, po prawej stronie drogi prowadzącej do Hertaburga, na lesistej pochyłości, wśród moczarów szuwarami zarosłych, w środku koła małych kręglów kamiennych, leży średniej wielkości ofiarny kamień, widocznie ludzką obrobiony ręką, szeroki na półpiętej stopy, a na trzy wysoki, rzadkiego kształtu, odmiennego od wszystkich innych ołtarzy ofiarnych, o którym mówi tradycya, że był używany do ludzkich ofiar krwawych.

Podobne ofiarzyska i ofiarne kamienie napotkać można jeszcze pod Strzeszowem, na górkach Umarłych w Ralswiku, na wzgórzu w Hochhilwort i w kilku innych miejscach.

Miasto Góry, niedaremnie tak nazwano, bo rzeczywiście góruje ta okolica nad całą wyspą i pojedynczymi półwyspami, i tu była niegdyś stolica panujących książąt na Roi w Rójgrodzie.

Dotąd leżą obok miasta, na najwyższym stanowisku poziomym, potężne okopy i wały ziemne. Wpółrodku nich stał gród książęcy z świątynią Rojwida czyli Rugiwida, domowego boga Roi.

Z wysokości tego okopu, który jest największą ziemną twierdzą na wyspie, odsłania się najokazalszy widok.

Niemal że kartę całej wyspy możnaby tu rzucić na papier, tak jak się ona ze wszystkimi pasmami lasów, pagórków, półwyspów i skalistych przyłądków ostro odrzyna na tle morza.

Od południa przeciągnęły się sinym pasem wysokie brzegi Pomorza; na wschód czerniły się lasy bukowe podbózkiego księstwa; na północ podnosiły się przed nami malownicze wzgórza Granicy, także jednostajnie bukowemi lasami okryte; z poza tych wyżyn wznosił się dalej jeszcze na północy w sinem oddaleniu ostry grzebień skał Stopnicy, a na zachodzie opadała wyspa coraz niżej i zdawała się w końcu spływać z morzem...

Na najwyższym punkcie lesistych wyżyn Granicy, wznosi się myśliwski zamek księcia Podbórz, okazałszy prawie od samego nawet zamku w Podbórz.

Rojwid widział ztąd całą Roję, kiedy w jej lesistej części patrzył w święte gaje Borowid, na morze Światowid, a na Prorę bóg Trzygłów. Jego tylko świątyni nie kazał zniszczyć Waldemar, zdobywszy Rugią.

Wyniósłszy z wysokości ofiarnego ołtarza Rugiwida całość widoku wyspy, udaliśmy się z gór na półwysep Jasmundu.

Droga szła na Prorę. Tak się nazywa wąwóz, który wązkim rękawem ziemi przechodzi ku północy i półwysep Jasmundu z samą wyspą łączy. Cienisty gaj bukowy jest niby oprawą i bramą tego głębokiego wąwozu.

Przebywszy uroczy gaj, spostrzega się długi wązki pas ziemi, tylko wrzosem i jałowcami porosły. Po prawej stronie ciągną się wzdłuż tego pustkowiec nagie odpluczyska morskie i w tę stronę niema widoku na morze.

Wązki rękaw ziemi opada na środkowy zalew; droga przechodzi zaroślami ponad brzegiem morskim, i tu odkrywa się znowu okazały widok z Prory na Jasmund i na otwarte morze.

Poza wędrowcem rozściela się rudawo-zielona Prora, na lewo lesisty rękaw Cisowa, który kręto, wązko i daleko wybiega na morze, a na pasmie Prory wznosi się najwyższej okazały szczyt góry z okopem, w pośrodku którego stała niegdyś świątynia Trzygłowa.

Dalej jeszcze ku północnemu wschodowi pokazują się łomy Stopnicy, a dokoła dziwnie samotna, odludna cisza, przerywana tylko szumem małych gajów, szumem fal i szumem zwiędłego bukowego liścia, wprawia umysł w jakieś dziwne, urocze zadumanie.....

Już od kilku dni pokazywało nam się w siném oddaleniu pasmo krędocy skał Stopnicy z różnych punktów wyspy. Nęciły nas ku sobie malownicze i

ostre kontury skalistego grzebienia, którym półwysp Jasmundu w urwistych przyładkach spada ku północy na morze.

Gdyśmy się ku Stopnicy zbliżali, zapowiadało już wszystko kraniec wyspy. Po skałach i między skałami ciągnęła się droga; żebra pokładów kredy sterczały nagie, wyszczerzając zpod poziomu szczolby; luźne złomy leżały dokoła; cały wierzchni pokład ziemi zerwały widać burze morskie i zmyły do nagiego calca; tylko powyższe pasma tego grzebienia, przegrodzone głębokimi kotlinami i stromemi wąwozami, porastały jednostajnie zwartym bukowym lasem: pięknie sklepiły się stare buki po ostrych szczytach i spadkach grzebienia, a wierzchem ich jeszcze sterczały pojedyncze, nagie skały, odsłaniające zielone sklepienia....

Na małe wymiary coś więcej malowniczego nie zdarzy się widzieć jak Stopnica! Jest to ostateczny, najdalej ku północnemu wschodowi wysunięty przyładek wyspy,—i tu też malują się w ostrych liniach poziomu i brzegu morskiego najwyraźniej wieczyste zapasy skał kredowych z burzamiorskimi....

Stopnica Kamienna, tak niegdyś od pierwotnych mieszkańców zwana, przeszła dziś na *Stubenkammer*, i rzeczywiście spadają tu *stopniami* pokłady kredy w bardzo nagłych szkopułach jednostajną ścianą aż do morza, i okazały jest ten widok, zwłaszcza gdy go ożywia morskie ptactwo oryginalnym swym ruchem....

Cała naga ściana podziurawiona jest gniazdami ptaków, gniazdo koło gniazda. Podobnie jak się ka-

wki lęgną na miejskich wieżach, gnieźdzą się tu mewy i rybitwy, jaskółki i wrony morskie, kilka rodzajów szwedzkich kaczek i orły rybne. Tak bezpiecznego gniazdowiska szukać znowu chyba w Danii, albo na brzegach Szwecji; to też się rozmnaża to ptactwo do bajecznej ilości,—i jak daleko w lewo i w prawo sięgnąć można było okiem, bałwaniała się pstro jedna chmura ptaków wszelkiego rodzaju pospołu, że się w oczach émiło od tej gmatwaniny ruchów i wrzasku różnych głosów, które ta chmura roznosiła.... Do ucha trzeba było sobie mówić krzyżąc, aby się zrozumieć.

Takiego widoku nie znamy na lądzie! Byłto czas podlotów, czyli raczej już upierzenia gniazd odnowionych, i stare pary wprawiały młode do lotu. Niekiedy zbijała się ta chmura ptactwa tak gęsto pod nami i górą głów naszych, iż zasłaniała niebo i morze. Pojąć prawie nie można tego, jak to tam się każda ptaszka wśród tego tłoku skrzydłem wyrobi, jak jedna o drugą nie trąci, jak swobodnie używa rozkoszy pierwszych lotów i wprawę do lotu już z sobą przynosi!

Dwa orły siedziały na bryłach granitu na odmiale morskim, przypatrując się uważnie obrotom tej powietrznej chmury i wyczekując na coś.... Przewodnik nasz powiedział nam, że od uderzenia ptactwa o gniazda w skale, wypadają często z gniazd młode, pałkami jeszcze pokryte, i że to na tę zdobycz czekają orły....

Co chwila odrywała się część ptactwa od chmury i przypadała na gniazda stromej skały, dla chwilowego spoczynku: wówczas cała zbocz skały okryta

była i upierzona wachlującymi skrzydłami—a jeszcze większy wrzask podnosiły ptaki, gdy się skały ucześcić nie mogły, lub padając na cudze gniazda, ścierały się z temi co gniazda swego broniły.

Przewodnik mówił mi, że się to ptactwo człeka nie boi. Wiosną trudni się cała ludność pobrzeżna podbieraniem jaj ptasich, które w kredowych pieczarach długo przechować się dają bez zepsucia. Później wybierają podloty pierwszego i drugiego miotu, a jesienią dopiero biją niektóre rodzaje dla tłuszczu i pierza.

Orły siedziały posepnie na odmiale morskim... Karol wypalił z dubeltówki — i kilka ptaków padło przed nami na morze... Straszliwy wrzask wszczęło ptactwo na chwilę — orły porwały za łup i szybując ponad wodą, lotem błyskawicy uniosły się w dal — skały... a chmura ptactwa bałwanila się po tym krótkim epizodzie, jakby nic nie było zaszło...

Przewodnik mówił nam, z jakimi to trudnościami przychodzi walczyć, podbierając jaja i podloty. W koszykach na linach spuszczają się ptaszniczy, wisząc w powietrzu nad morzem, a pary tak twardo dosiadają na gnieździe, iż trzeba je brać w ręce i wyrzucać z gniazda na morze, chcąc zpod nich odebrać jaja lub podloty.

Jedna część Stopnicy spada urwistym brzegiem na morze—druga, dalsza, częścią ostremi przyładkami, które łagodnym łukiem oprawiają brzeg wyspy. Każdy przyładek wybiega daleko na morze i kończy się ostrym szkopułem, lub nagim, szkarpiastym przyporem; każdy dokoła opływać potrzeba, bo żebra pokładów sterczą jak szkopuły ponad morskie fale i

przechodzą w podwodne rafy. Po opłynięciu takiego przyładku, odkrywa się oku prześliczny widok małej zatoki, ku której w kształcie lejka spadają krędele skały lub bukowe lasy... Ku tym zatokom uchodzą potoki wyspy, z szumem gwałtownym i tworzą tak wspaniałe wodospady, że się na chwilę sądzimy być przeniesieni w góry!

Całą tę tedy przestrzeń sześciu zatok i siedmiu przyładków opłynęliśmy dokoła na łodzi, wśród gwaru ptactwa i szumiących fal, które się w kipieliach morskich u stóp skał łamały...

Około Głowy przesiedliśmy się z łodzi na kabriolet, który na nas tu czekał — i widoki kraju zmieniły się do razu.

Wązki a długi rękaw ziemi przypiera tu o półwysp Jasmundu i łączy pomiędzy zalewem a morzem Jasmund z półwyspem Witowa. Skalisty pokład wyspy znika tu zupełnie i pomost ten, łączący z lądem stałym te dwa półwyspy, jest płytkiem, piaszczystym odpłuczyskiem fal morskich. Wzdłuż tego przesypu prowadzi, jeżeli nie improwizowana droga, to możnaby przynajmniej powiedzieć, że improwizowana kolej, bo ślady kabrioletu zmywały fale morskie na przesypie, podobnym do olbrzymiej grobli, a miejscami tak wązkim, że fale przenosiły drogę, i że dosłownie mówiąc, zdało się, że wbród morzem jedziemy.

Biedna bardzo roślinność łożyny, wrzосу, lepiechu morskiego i słonych morskich roślin, tworzy tu małe kępy, po nagiem, piaszczystem odpłuczysku.

Wiatr zimny niósł mokre chmury od Alp Skandynawskich — i zajechaliśmy na przesypie do gospody, aby się ogrzać przy ognisku, którego żaden

podobno podróżny na tem międzymorzu nie pomija. Przeszło na milę ciągnie się ten przesyp, a tam gdzie się kończy, poczyna się półwysep Witowa i widok kraju zmienia się do razu.

Falami kłosów płyneła żyzna niwa, a na Rugii nazywają Witów jej spiżarnią. Rolnictwo i chów bydła jest tu w pełnej sile, ale z drzew ogołocony półwysep, narażony jest na wielkie burze, jako ostateczny przyładek północny tej wyspy. Tu znać *witano* przybywające z zamorza okręty, i ztąd poszła zapewne nazwa półwyspu. Sami Niemcy wywodzą nazwę Arkony od słów *orny koniec*; legenda mówi tu o księżnie *Orekundzie*, a to wszystko przeszło dzisiaj na *Arkonę*.

O sto kroków od urwistego brzegu morskiego, wznosi się tu na wysokości Arkony, na dwieście stóp nad zwierciadłem morza, latarnia morska. Do okazałej wieży zmurowanej w ośmiokąt, przypięra mieszkalny budynek, a całe obejście wraz z gospodarskimi zabudowaniami jest dokoła obwiedzione murem, w sposobie małej twierdzy zamczystej, a w razie potrzeby nawet obronnej.

Mała twierdza starannie i ozdobnie jest zmurowana. Wygodne wschody prowadzą na wysoką wieżę, która kończy się blankami, a w pośrodku tej galeryi stoi okazała latarnia, wielkości i kształtu okrągłej sali, z grubego szkła oprawnego w żelazne ramy. Siedmnaście silnych rewerberów półkolem ustawiono w latarni od strony morza, i one to rzucają na ośm przeszło mil w promieniu wśród nocy światło na morze, a we dnie otwiera się z tej galeryi widok na całą wyspę, na wszystkie jej zatoki i półwyspy, na

bezbieżne morze i na duńską wyspę Mozen, która by właściwie podług odległości miejsca i długości łuku, nie powinna być ztąd widzialną, a co się jedynie tém tłumaczy, że przyładek Arkony wznosi się tu na dwieście stóp nad poziom morza i że duńska wyspa leży podobnie na wyniosłym terasie.

Cóż to za widok rozkrywa się oczom od tej latarni morskiej naokół! Już gołem okiem patrząc, widzi się tu bardzo wiele, a cóż dopiero wzięwszy dobrą lunetę do ręki. Moznaby ztąd całe dnie, całe tygodnie rozpatrywać się dokoła, a zawsze odkryłoby oko jakiś nowy przedmiot lub wdzięk, w pobliżu czy zdala....

Wzrok przenosi całą wyspę, ku południowi zwrócony i opiera się dopiero na sinym pasie pomorskich wyżyn, a na wschód, na zachód, i ku północy morze.... I nie było chwili, w którejby nie można było policzyć kilkanaście łodzi rybackich i żaglowych kupieckich okrętów, które się w różnych kierunkach i w różnym oddaleniu przesuwają po morzu....

Dziwnie odbijały czarne parostatki od białych żagli i barwistych flag okrętów — długi ogon dymu przeciągał się po morzu, gdy je na nowo podsycano paliwem — a po za każdym statkiem przeciągała się smuga morza innego koloru....

Na półtorej mili odległości można było przez lunetę naszą rozróżnić kolory i postacie — i widzieć, co się po pokładach tych statków i okrętów dzieje.

Wielka to gra ta żegluga — wielki to widok ten widok na morze — i niedziwno mi zupełnie, że jakaś tęsknota, jakaś niewysłowiona nadzieja pędzi

wyspiarzy i nadmorskich mieszkańców na morze i za morze!...

Miło jest na takim urwisku morskiem, na takim wygnaniu, natrafić nietylko na ślady cywilizacji nowożytnej, ale nawet na jej owoce.

Zostawiwszy nasz kabriolet o paręset kroków na drodze, szliśmy ku latarni morskiej.

Obejście było zamczystą bramą zawarte. Gdyśmy się do niego zbliżali, doleciał nas odgłos fortepianu z otwartych okien mieszkania. Jakiś potężny głos brytana zapowiedział w dziedzińcu przybycie nasze. Fortepian nęcił, głos brytana odstraszał. Niepewni jakby się dostać do tej zaczarowanej twierdzy, szukaliśmy dzwonka. W małej, ukrytej niży, opodal od bramy i furty, znaleźliśmy metalową gałkę, i domysłając się że to jest główka od dzwonka, pociągnęliśmy za nią silnie... Głos dużego dzwona rozległ się w dziedzińcu...

— Wer da? odezwał się głos silny, mężski za furta — a równocześnie ujrzelśmy w oknie na piętrze, z kąd dźwięk fortepianu nas dolatywał, młodą osobę, która z góry w dziedziniec wołała:

— Otwórz ojczuniu, to goście!

I furta się rozwarła — i przed nami stanął wiadać ex-wojskowy, człowiek czterdziestu kilku lat, który nas zrazu zimno i surowo mierzył.

Ale zbiegła i nasza opiekunka, która z wysokości piętra ujrzała nasz kabriolet i poczęła nas witać uprzejmie.

— Ojczuniu, każ otworzyć bramę — koń w kabryolecie spieniony. Nie najlepsza przeprawa musiała być po drodze. Proszę panów, proszę panów! Oj-

czunio przyjmie tu powóz i człowieka, a ja proszę do gościnnych pokoi. Czy panowie wolicie mieć widok na morze czy na wyspę? A czem się posilić raczycie? czekoladą czy winem? Panowie jesteście zapewne malarze albo dziennikarze, bo nie wyglądacie mi na turystów-Anglików. Więc proszę do pokoi gościnnych i pytam czem służyć?

Tymczasem podjechał kabryolet pod bramę, a komendant strażnicy morskiej, rzuciwszy okiem na nasz powozik i pakunki, ukłonił się nam grzecznie i rzekł:

— Przepraszam, że brama była zamknięta, ale nie dano mi znać z latarni morskiej, że panowie przybyli. Przepraszam także za córkę moją, że panów ma za malarzy i dziennikarzy. Juźciż ja widzę, coście za jedni i że mam zaszczyt witać znakomitych gości.

Tu skinął ręką na wartnika, który dokoła morskiej latarni chodził, a wystrzał z moździerza powitał nas z wieży.

Przepysnie obniosło echo wystrzał po pieninach przylądku i podało go morzu... Następnie ozwała się marynarska trąba, obwołując na cztery wiatry:

„Gość—gość—gość—gość!”

Tu rzekła młoda dziewczyna:

— Komendant strażnicy morskiej wita po swojemu, a ja po swojemu.

I poszliśmy za nią. Pokazała nam pokoje gościnne z widokiem na morze i na wyspę — i obraliśmy widok na morze.

Dwóch wartników strażnicy zniosło nasze rzeczy. Pokoje gościnne były prześlicznie urządzone. Gospodyni domu, młoda jeszcze kobieta, ułożyła ze

mną program zaimprovizowanych dań, i przeszliśmy do pokoi komendanta strażnicy, gdzie nam panienka na fortepianie grała i śpiewała.

Ile tylko podobne ustronie i powołanie samotej służby uprzyjemnić można dla siebie i gości, tyle tu zrobiono. Wygodne i ozdobne pomieszkowanie, zapas wszystkiego czego dom i gość potrzebować może, fortepian, mała biblioteczka z wielkim dobozem dzieł, pięknych rycin i najnowszych gazet, to w końcu towarzystwo małej, lecz bardzo cywilizowanej rodziny, która w miejscowem powołaniu i w pełnieniu swoich obowiązków, znajdowała wdzięczną pracę i zadowolenie życia — to wszystko robiło tak miłe wrażenie, żeśmy się odrazu znaleźli jak w domu.

Najbardziej zajął nas pamiętnik strażnicy, który z obowiązku prowadził jej komendant.

Któż tu nie był na tej wyspie, i w iluż to językach wierszem i prozą nie powierzyli podróźni wrażeń swoich tej księdze!.... Więcej wszakże może jeszcze zajęło nas album młodej panienki, która sobie widać tylko u wybranych gości uprosiła karty. I tu pojeliśmy, dla czego w nas ta jaskółka strażnicy już na wstępie malarzy, rysowników i autorów mieć chciała.

Kiedy jej pan Karol pokazał swoje album podróźne, rozśmiały się jej oczy, i klaszcząc w ręce, mówiła do ojca i matki:

— Nie omyliłam się, trafiłam tu na ludzi moich.

Na to rzekł pan Karol:

— Jeżeli pani mnie masz za rysownika, to mogę ją upewnić, że mamy z sobą i poetę.

Dziewczynyna spojrziała mi ciekawie w oczy.

— A jakiegoż pan narodu jesteś?

— Węgier — rzekł pan Karol.

Panienka osmutniała:

— Ja po węgiersku nie umiem, rzekła, to i węgierskich wierszy nie zrozumie.

Tu przerwał ojciec rozmowę i rzekł do niej, głaszcząc ją pod brodę:

— Nie bądź dzieckiem! Ci panowie są Polacy i umieją dobrze po niemiecku. Na kuferkach jest mnóstwo nalepionych kartek, a na nich stoi, Lwów, Kraków, Poznań, Wrocław, Berlin i etykieta parowych statków.

— A, to bardzo dobrze! rzekła dziewczyna i pokazała nam swoją książkę od nabożeństwa. Ja idę za wiarą matki mojej, a matka moja Wrocławianka — to dziś będzie już komu na Anioł-Pański zadzwonić, kiedy takich gości mamy.

Tu pokazała nam obrazki w książce swojej do modlenia, a między niemi jeden dany od biskupa wrocławskiego, gdy się bierzmowała. Do tego obrazka przywiązało dziewczę ślub, że póki pozostanie na strażnicy morskiej, będzie dzwonić sama na Anioł-Pański i odmówi zawsze modlitwę klęczący.

Komendant strażnicy słuchał z rzadką tolerancją pobożnych uwag, które dziewczynka naiwnie robiła, pokazując nam obrazki i obrazeczki w książce swej od nabożeństwa, ozdobnej bardzo, ale starym gotyckim drukiem na Szlązku drukowanej.

Nazwałem ją jaskółką strażnicy, ale nie ja nadałem jej ten przydomek, sama się nam tak nazwała.

Cały dom się ożywił. Posiliwszy się i wypiwszy z komendantem strażnicy butelkę wina, szliśmy na

wieżę. Komendant dał nam pudełeczko ze szklami wszystkich kolorów tęczy, przez które zwykli okolicę oglądać podróżni, bo się przez nie w coraz innem oświeceniu świat okazuje. Chciał nam dać i lunetę, ale spojrzawszy po naszej, ocenił od razu że jest lepszą.

— Wschody są wygodne, idźcie panowie na górę — rzekła nam dziewczynka, a jeżeli do wrażenia kolorowych szkieł potrzeba będzie pewnych wskazówek, możemy potem przewertować Goethe'go *Naukę o kolorach*, bo mamy ją między książkami naszymi.

Po chwili przybyła do nas na wieżę, przyniosła ze sobą miseczkę z grubo pokrajaném, twardem jajem i postawiła ją na blance od strony morza, a szczebiocąc o tém i o owem, spoglądała często niepokojnie po morzu i niebie i rzekła w końcu, radośnie klaszcząc w ręce:

— Oddalcie się panowie do czwartej blanki — moje mewy lecą?...

Dwie rybitwy morskie krążyły przez czas niejaki dokoła morskiej latarni — a potem siadły na blance, i dziobały jajo z miseczki. Dziewczynka stała od nich ledwie na krok oddalona, i przypatrywała się z upodobaniem, że powolne na jej zawołanie, tak bezpiecznie żerują.

— Widzę panów zdziwionych, rzekła do nas po chwili. Rok przeszło minął, jak wróciłam z pensyi, na której mnie pięć lat trzymano. Pierwsza podróż była do Wrocławia, druga tu do domu rodzicielskiego na strażnicę. Wiosna była prześliczna, kiedym wróciła, ale zdziwiło mnie, że tu nigdzie nie było

słyszać słowika, bo widać boi się burzy i fal morskich. Otóż uprosiłam ojczunia, że mi kupił słowika; chowam go tu w klatce i śpiewa całą wiosnę, a jedyny to słowik, który na Arkonie żyje. Prześliczne kolorowe kamyczki, muszelki i kawałki bursztynu wyrzuca morze — z wartnikiem tedy lub z ojcem chodziłam nieraz godzinami całymi po odmiale morskim i zbierałam sobie bardzo piękną kolekcję, którą podróżni panowie chwala, i którą im pokazuję w czasie słoty; bo my nie nudzimy się tu nigdy, ale podróżnych panów potrzeba zabawić, gdy ich tu słota zapadnie.

Tu odleciały mewy z wrzaskiem, a ona klasnęła tylko w ręce, żegnając je widocznie tym znakiem.

— Otóż o tych rybitwach miałam mówić. Dziś jestem już śmielszą i przytomniejszą, ale zrazu bał się ojciec mnie puścić na odmiał, bo pomiędzy urwiskami granitu grzeją się często psy morskie do słońca, to się obawiał mojego przestachu lub jakiej przygody. Raz kiedy idę z ojcem tym odmiałem, leżało na piasku dwoje piskląt, które widocznie gdzieś z gniazda ze skały zleciały. Użaliłam się bardzo ich niedoli, bo mi tak dobrze tu w mojem gnieździe, tom pomyślała sobie, jakie biedne być muszą, że tak nieopatrzone trzepią się na odmiale morskim. Ojciec nie bronił mi zabrać tych piskląt ze sobą. „Ale cóż z niemi zrobisz?“ zapytał. „Wsadzę je w koszyczek, postawię na blankach i będę, jak moje kanarki, karmiła żółtkiem z jaja.“ I tak się stało. Głodne piskląta brały z rąk moich posiłek i ułaskawiły się tak bardzo, że wyskakiwały z koszyka, kiedym na blanki wchodziła. Prędko porosły piérzem; odrastały spo-

ro i nie chciały już siedzieć w koszyku, ale wachlując skrzydłami, siadywały na blankach lub biegały dokoła galeryi. Raz kiedym porządkę robiła w latarni morskiej, przyleciało z wrzaskiem całe stado mew. Były tam widać i rodzice piskląt, i wujaszki, i ciotunie, obsiadły blanki i krzyczały i krążyły, ośmielając młode z towarzystwem swoim do lotu. Cóż panowie powiecie? spłakałam się rzewnie, bo mi moich wychowanków zabraly rybitwy z sobą... Więcej ze zwyczaju, niż w nadziei, żeby moje mewy powróciły do mnie, wyniosłam im jadło i postawiłam na blankach. Jakaż była radość, jakież zadziwienie moje, gdy z całej chmury ptaków oderwały się jedynie dwie moje mewy, i spuszcżając się zwolna, usiadły na blankach. Odtąd wynoszę im codziennie miseczkę z posiekanem jajem, i więcej mnie to bawi, że wolne, wracają do mnie i nie tracą pamięci żem je wychowała. Kiedyście panowie poznali moje mewy, to jeszcze musicie poznać sznur kosztownych pereł moich. Noc będzie dzisiaj, jak uważam, ciemna, to słicznie pokaże się ten sznur pereł w morzu skąpany...

Pytaliśmy o czémby mówiła.

— Nie powiem — rzekła, mistyfikując nas — bo o tém nie mówić, ale to widzieć trzeba.

Gdyśmy się z wieży spuścili, spędziliśmy resztę dnia i wieczoru razem z rodziną strażnicy, w małym ogródku o wielkiej altanie, ozdobnie winogradem opiętej. Czy tu winograd dochodzi, wątpię, ale cienne siedzenie w ogródku świadczyło także o guście i staraniu mieszkańców tej samotnej twierdzy.

Gdy noc już zapadła, zagorzała latarnia morska — i oświeciła całą okolicę.

Krętą, stromą ścieżką spuściliśmy się do odmiaru morskiego z wysokiego brzegowiska, gdzie łódź przygotowana czekała nas. Czterech ludzi robiło wiosłami — u steru stał sam komendant, na średnich ławkach siedzieliśmy obaj z Karolem, a przed nami siedziała matka z córką, prosząc nas, aby się nie oglądać za siebie, dopóki na wysokie nie wypłyniem morze.

Jednym razem wyleciała od steru rakietą wysoko i osypała się gwiazdami na morze... Komendant zwrócił łódź — i ujrzelśmy w całej okazałości sznur kosztownych pereł....

Tak nazywała dziewczyna światło owych siedemnastu lamp na latarni morskiej, których odbicie w grających falach skąpane, było rzeczywiście podobne do sznuru pereł, który się dwoił i troił w miarę ruchu fal i łamania się światła każdej lampy na grzbiecie każdej fali....

Niema pędzła, coby oddał ten osobliwy widok morskiej nocy i tych ruchomych świateł, które się dopiero teraz perlic prawdziwie zaczęły, bo z białości perłowej przepływały w jasny seledyn lub bladoróżowe oczka, tak jak perły zwykły grać w świetle....

Nie pojmovaliśmy zkądby to pochodziło. Była to optyczna gra lekkich, kitajkowych, przezroczyстых zasłon, białych, seledynowych i bladoróżowych, które w sposobie przeźrocza naprzemian przemykały dokoła lamp na wieży. Znać, że *Nauka o kolorach* Goethe'go przydała się na coś — i takiego sznuru pereł skąpanych w morzu pozazdrościćby mogły rusalkom nawet boginie ziemskie.

Wystrzał z moździerza obniosło tu echo po całym przylądku i oddało go morzu..... Inaczej zupełnie, w innym kierunku doszło ono do nas na łodzi, niż echo wystrzału, który nas powitał na wstępie do strażnicy.

Niedaremnie obrał sobie bóg *Światowid*, patrzący czterema twarzami w cztery strony świata — niedaremnie obrał sobie mieszkanie przed wieki na tym skalistym przylądku pogańskiej Rujany, bo *widno* tu w *świat...* a *świętym* jest zawsze taki widok dla człowieka!

Komendant strażnicy, którego córka i starożytności zbierała, towarzyszył nam wraz z nią na gruzach świątyni Światowida.

Tu gdzie przylądek dwoma rogami skalistemi wybiega ku północnemu wschodowi najśmielej na morze, stała niegdyś świątynia Światowida w pierścieniowym grodzie czyli okopie ziemnym. Dziś z tego okopu i grodziska pierścieniowego pozostał tylko łuk potężnego wału, który do urwisk przypiera.

Czy zawsze tak było, że tylko od strony lądu było obwarowane grodzisko, czy ten łuk wałowy jest tylko częścią pierścienia, który wraz z urwistym brzegiem leży dziś na dnie morskiem — nie wiem. Jest wiele i za tem i przeciwko temu — to wszakże rzeczą pewną, że tu stała świątynia Światowida, który miał w niej złoty posąg, o czterech twarzach. Purpurą były okryte ściany tej świątyni, ozdobione rzeźbami ze złota i drogich kamieni.

Świątynię tę zburzył Waldemar duński 15 lipca 1168 roku — i od tej chwili zaświeciło nad Roją słońce Cheronei....

Przejrzawszy zbiory starożytności u uczonego pastora, zostawiliśmy sobie półwysep Mnichowa na ostatek, pomijając go w podróży naszej z Podbórze do Arkony.

Tu malują się najlepiej historyczne losy ludności miejscowej i tu zgadzały się z pastorem nasze przekonania, bo od czasu zawojowania nadelbiańskich Słowian, w skutek czego i Słowianie na dolnej Odrze niepodległość swoją stracili, kroniki niemieckie, duńskie i nasze zapisują już te same fakta historyczne, czyli właściwiej mówiąc, te same źródła ma odtąd historia plemion podbitych. Księża wprowadzali chrześcijaństwo, a dokoła biskupstw i opactw osadzano w miastach, na podzameczach i uroczyskach osadników niemieckich, sprowadzanych z Westfalii, z Holandyi i Saksonii. Za tym wyłomem Polabian wynarodawiano okolice dolnej Odry i cały pas ziemi Zajezerza Pomorskiego, co tém łatwiej poszło, że ujście Wisły osiedli Krzyżacy. Do końca XIIgo wieku trwało krwawe prześladowanie Słowian, a z końcem XIIIgo wszystkie te kraje już w większości osiadłe są przez Niemców, tak w grodach jak na roli.

Przez przeciąg XIVgo wieku, walczy jeszcze język słowiański z niemieckim, a w końcu piętnastego giną ostatnie ślady języka i pierwotnych rodów miejscowych.

Uczony pastor mówił nam, że resztki pierwotnego zaludnienia Roi, pozostały tylko na półwyspie Mnichowie; są tego po dziś dzień ślady, lubo bardzo już niezrozumiałe, w języku, chociaż się zdaje, że i w dawnych wiekach stanowili mieszkańcy tego półwyspu ród osobny,—po dziś dzień bowiem nazywają

ich na wyspie *Rybakami* (Reboken), choć cała wyspa i każdy jej półwysep ma rybaków pobrzeżnych. Rzeczywiście jest półwysep od wyspy wielką fosą oddzielony, która widać obronną niegdyś była, a tę fosę nazywają rybacy *Perkop*, to jest *Perekopem* czyli *Przekopem*.

Ludzie obojej płci są tu bardzo dorodni, bruneci z orlemi nosami; kobiety bardzo kształtne, piękny mają owal twarzy, drobne ręce i nogi, co na Pomorzu tem więcej uderza, że nawet mimo różnicy stanów, szkaradna holenderska stopa jest powszechną.

Strojem też różnią się mieszkańcy tego półwyspu od wszystkich innych, również sposobem życia, zarobkowania i obyczajem; świat za Perekopem mają już za świat obcy. Łądem nie idą i nie jadą do miast, ale płyną tylko na łodzi wzdłuż wybrzeży.

Żenią się tylko z sobą, odprawiają bardzo szumne wesela po tygodniu, a z tego wywiązał się obyczaj osobliwy, że się tylko z sobą żenią i w pogardzie mieszkańców reszty wyspy mają, a nadto że bez ujmy skromności i dobrej sławy wolno tak starać się dziewczynie o młodzieńca, jak młodzieńcowi o dziewczynę, i owszem, za szczęśliwą wróżbę w małżeństwie mają to, jeśli stadło skojarzy się w skutek wyboru młodej. Z niechęcią posyłają dzieci do szkoły; wszystko czego tylko do ubioru lub stroju potrzebują, sprzęty i narzędzia swoje, domy i łodzie budują sobie sami. Morze nazywają *śpiżarnią*; sami wyrabiają sukna i płótna, posiadają sztukę farbowania wełny i robienia wstążek. Materyą w której mężczyźni i kobiety chodzą, nazywają dotąd *drel* (drelich).

Kobiety noszą wysokie, baranie, śpiczate czapki, jak nasi huculy, albo właściwiej jeszcze powiedziawszy, czapki takie same jak bożyszcz pogańskich i bab kamiennych. Ubranie głowy u dziewcząt różni się tylko wstążkami upiętymi z tyłu u śpiczastych czapek od ubrania głowy niewiast. Włosy plotą na dwa warkocze i okręcają je nisko za uszema i niżej uszu. Gorsety czarne, na przodzie obłożone krzyczącą ponsową materją i wyszyte złotem; spodnice noszą fałdziste, czarne; opasane są fartuchem białym. Tu i owdzie widać kurteczkę, kroju naszej płótnianki, z futerka foki. Mieszkańcy wyspy mówią o nich, że rybacy nie kupią niczego, prócz garnka i soli.

Chaty ich są niskie, okna niewielkie, piec piekarski z kuchnią razem, wieczne ognisko przed piecem. W oknie jednem świeci się kaganek od strony morza, przed drugim krosna stoją, przed trzecim warsztat do robienia płótna lub sukna.

Tańce wyprawiają w wielkiem kole nad brzegiem morza, pospołu mężczyźni z niewiastami — i kanzania słuchają nad brzegiem morza pod gołem niebem, mianowicie zaś czasu wielkiego połowu śledzi i polowania na foki. Osobną mają modlitwę, w której codziennie proszą „o błogosławiony brzeg i szczęśliwy połów;“ *błogosławiony brzeg*, to rozbiecie okrętu lub statku, który się na ten wypadek ich zdobyczą staje, podług odwiecznego prawa brzegowego; *szczęśliwy połów*, to połów śledzi i sardeli, które się w okolicy półwyspu w wielkie ławy zbijać zwykły, gdy czas ich ciągu nadchodzi.

Rybacy ci są bardzo pieniężni, ale chowają tylko złoto i srebro i nie wydają go nigdy, sprzedając prawie wszystko, a nie kupując nic prawie.

Jest na wyspie o tych rybakach tradycya, że kiedy Waldemar duński wyspę zdobywał, siadł cały ród na łodzie, ze starcami, niewiastami i dziećmi, i spaliwszy chaty, zostawił półwysep pusty. Duńczycy tedy nie mieli się gdzie przytknąć, a rybacy tułali się na łódkach po morskich wybrzeżach i po skalistych przylądkach, paląc ogień tylko w nocy po pieczarach, póki czasy pierwszego prześladowania nie przeszły. Gdy mnichy zamek i kaplicę zbudowali później, potrzebowali i ryby; więc rybacy dostarczali im jej i osiedli cały półwysep Mnichowa jak dawniej, nie puszczając obcych ludzi ani na Perekop ani do rybołówstwa.

Dziś mówią oni tē samē narzeczem co ludność całej wyspy, zachowawszy tylko kilkanaście wyrazów, jak reba, morie, żywot, ziemia, niebo, chmara, drel, mleko, kęs (chleb), tata, mać, dziewa, perekop, Bóg, chata, piorun, woda i t. d.

Uczony nasz pastor był wielce uszczęśliwiony z tego, gdyśmy mu wytłumaczyli znaczenie tych wyrazów, których źródłosłowu aż dotąd szukał w starej niemczyźnie i w skandynawskich językach.

Jakoż gdyśmy pominęli pasmo lesiste Granicy i Perekop przejechali, owiał nas jakiś inszy duch — i wszystko było nam tu znajome i zrozumiałe.

Mała karczma bez zajazdu, z podsieniem drewnianem, stała przy drodze. Za nią pasła się para koni małych i zupełnie podobnych do naszych koni

chłopskich, jakich już na całej wyspie nie widać, przez trzecią nogę powrózkiem do siebie spętanych.

Kilka małych chatek poszytych słomą było zawieszonych nad przepaścią morza. Echo pralnika rozlegało się pomiędzy okołami... bo niewiasty prały chusty na odmiale morskim. Ku nim spuszczała się krętą ścieżką trzecia niewiasta, z tobołem na plecach.

Jeszcześmy w żadnej chacie nie byli, jeszcześmy żadnej twarzy nie widzieli, a już świadczyło wszystko, że starym składem i obyczajem idą tu rzeczy.

Na przysbie przed chatami wygrzewały się dzieci do słońca, a psy podawały głos jeden drugiemu, że jacyś obcy przybyli...

Wzdłuż morza przeciągał się wązki rękaw ziemi, wrzosem i jałowcami przerosły, zasiany tu i owdzie wielkimi bryłami granitu.

Szum jakiś dziwny, jakiś żałosny poświst pościagał od wrzosowej pusty... Niepodobny był ten szmer i poświst ani do szumu sosnowego lasu, ani do bicia fali kłosów, ani do poświstu oczeretów, ani do szumu stepowych bodiaków, a jednak przypomniał nam to wszystko — i zadumani usiedliśmy na granicy — i słuchaliśmy echa pralnika, które kilka skał podawało sobie...

O kilkadziesiąt kroków pasło się siedm kóz pomiędzy urwiskami. Na jednem z nich siedział młody chłopak zadumany i patrzył daleko gdzieś w morze...

Tu ozwała się fujarka... Dziwna rzecz! pomiędzy pięcią tonami snuła się prosta nuta z wielką tęsknotą i czułością sielską, tak że kilka kóz paść się przestało, wpatrywało się w pastuszkę i przysłuchiwało

granitu... Nuta i przygrywki i pieśni były nam tak dziwnie znajome, choć niby po raz pierwszy słyszane, że Karolowi stanęły łzy w oczach!... Przykląkł koło granitu, dobył album i począł szkicować tę grupę kóz, z pasterzem siedzącym na głazie z fujarką i patrzącym w dalekie morze, jak gdyby nie słyszał głosu swego grania...

Pies jego, który go był gdzieś odbiegł daleko, myszkując między jałowcami, powrócił teraz, znać także na odgłos tej piosnki — i począł bardzo trwożliwie na nas ujadać... Chłopak się porwał ze swych marzeń — rzucił się zrazu ku nam — wstrzymał się potem i nagle czerwieniejąc się bardzo, zdjął kapelusz nieśmiało, położył go na kamieniu obok siebie, a zatknąwszy fujarkę za pas, wziął do ręki robotę.

Zbliżyliśmy się do niego, bo szkicu nie można było dokończyć — już obraz był nowy: chłopak plótł w rękę tasiemkę ze słomy do słomianego kapelusza.

Trudno nam się było rozmówić z chłopcem, bo był jakiś rozmarzony, gdyśmy go niespodzianie naszli, a przestraszył się gdy nas ujrzał. Kozy patrzyły na nas zdziwione, przekrzywiając głowy, a starsze tupwały nogami.

W znaczném oddaleniu pasło się kilka wielkich stad gęsi nad brzegiem lądowego jeziora; kilkanaścioro dzieci snuło się pomiędzy temi stadami, i co chwila biegły wszystkie w jedną stronę, łapiąc coś po ziemi i w powietrzu... Zdziwiło nas to bardzo, ale nie mogliśmy pojąć o co tym dzieciom chodzi. Gdyśmy bliżej podeszli, zrozumieliśmy dopiero, że im chodziło o każde najmniejsze piórko uronione, o każdy puszek gęsi, którym wiatr przeganiał... Każda też

dziewczynka miała torbeczkę u boku, w której pierze chowała, — bo jest zwyczaj taki u tych rybaków, że matka nie pozwala iść w taniec dziewczynie póki sobie na pościel nie uezbiera pierza.

Weszliśmy do chaty. Hoża kobieta powitała nas wesoło na progu, trzymając tłuściutkie dziecie na ręku. Posadziła je na ziemi i sadowiła nas za wielkim stołem w rogu chaty. Po chwili nadszedł rybak i skłonił nam się do kolan. I to pono nasz obyczaj stary. Gospodyni starła stół fartuszkami, choć był bardzo czysty, nakryła go białym, wązkim obrusem, który miał czerwone frenzle po dwóch węższych końcach i podała nam świeże podpłomyki na misie z pod pieca, a drugą misę studzonej ryby. Łyżki były drewniane — gospodarz przepił do nas jałowcówkę z jednego kieliszka, wypijając na raz kieliszek, jak myśmy pić zwykli. Gdyśmy tak samo wypili wódkę jak on pił do nas, spojrział z zadziwieniem na żonę, a ona rzekła:

— To chyba nasi panowie.

I odtąd dopiero poczęła się prawdziwa gościna.

W pieczarze kredowej, w skale koło chaty, mieli swoją piwnicę i spiżarnię. Do niej zbiegła gospodyni i przyniosła w cebrzyczku w morskiej wodzie świeże ryby. Były to młode śledzie, które u nas pocztowami nazywają; usmażyła je na maśle, i po pierwszy raz w życiu jedliśmy świeże śledzie, które są wyborne.

Ztąd poszła rozmowa o śledziach i o połowie ich na jesieni.

— Teraz dopiero, mówił rybak, poczynają się młode gromadami zbierać i szukać po szerokiem morzu, bo ta każda gromadka wylęga się osobno, jedno

odszukuje drugie, zbijają się w coraz większe kupy, aż w końcu całemi potokami i ławami płyną. Kiedy na jesieni ciąg śledzi następuje, to już ztąd z wysokiego brzegu widać pas niebieskawy, i odmienny koloryt i ruch ma morze na całej tej linii, którą ława śledzi ciągnie.

Oświadczyliśmy rybakowi, że chcemy z nim popłynąć na łów.

— Dobrze — rzekł uśmiechając się, ale my rybacy płyniemy tylko na noc. Prześpijcie się panowie jaką godzinę po obiedzie, a po zachodzie słońca ruszymy na wysokie morze. Ja zbiorę ze dwadzieścia łódek; jeżeli będzie spokojnie, będziemy brać rybę na światło i ość — jeżeli mętna fala stanie, wyrzucimy sieci.

Spokojnie i uroczco zapadło słońce na morzu. Cała wioska poprowadziła rybaków do brzegu, a że morze było zupełnie spokojne, opłynawszy przylądek wpłynęliśmy na zatokę, która głęboko w łady wchodziła...

Cicho stały niezmarszczone wody, a gdy się ściemniło, rozpalili rybacy nocne kagańce i łódki ciągnęły rozjazdem, opiawszy w półkole w pewnych odstępach zatokę.

Kagańce gorzały jasno, na dzióbie łodzi zawieszzone na długiej tyce — i pięknie łamały i odbijały się te światła czerwone smolnego łuczywa na wodach...

Ryba ma to do siebie, iż idzie na światło — same tedy podchodziły pod łodzie, które stały w miejscu nieruchome, i dziwiły się światłu, stojąc bez ruchu pod powierzchnią wody.

Otóż to chwila gdzie rybak ością uderza w rybę ale tak żeby cień osęki nie padł jej w oczy. Ość jest to oszczep z dwoma ostremi końcami, w kształcie małych widełek; ryba ugodzona silnie, rzuca się zrazu i idzie w głąb, ale wypływa po chwili już nieżywa na płask, a wówczas bierze ją rybak podrywkową siatką.

Było już około drugiej godziny z północy, gdy się podniosły fale na wysokiem morzu i łodzie poczęły się ściągać do małej, zacisznej przystani pomiędzy skałami. Powoli dogorywały tu i gasły kagańce...

Przebywszy całą noc na morzu, nie wiedzieliśmy właściwie zkądemy do tej zatoki przybyli i gdzie obecnie jesteśmy, a zdało nam się, żeśmy bardzo daleko od owego brzegu odbili, gdzieśmy z wieczora na łódki wsiedli.

W tém ozwało się wesoło pianie kurów, niby gdzieś tuż nad nami na wysokim brzegu — ochoczo podawały sobie głos z pobliza i zdała po całej wsi. Rybacy zasnęli po łodziach... Jutrzenka podbiegła na wschodzie, a po chwili pobladło i niebo — i brzask świtu przesunął się po wespółnych skałach...

Gwiazdo morza, raz tylko w życiu widziałem cię wychodzącą z kąpieli morskich!

— Hop, hop! hop, hop! odezwał się głos jakiś od lądu...

— Kilku rybaków ocknęło się na to wołanie — odhuknęli w powrót — i łodzie poczęły przybijać do brzegu — a wesołe głosy niewiast spuszczały się ze skalistej ściany ku nam... Zanim jeszcze doszły do brzegu, oświtło nagle.... patrzymy, aż wioska nasza

nad nami i jak gniazda jaskółcze czepiają się chaty po skale.

Niewiasty śmiejąc się, niosły na drogach wielkie cebry. Śledziły one w czasie nocy światła kagańców po cichej zatoce i wiedziały że łódki nie wyszły na wysokie morze i że się niewiele na ości obierze; ztąd wyniosły na przekorę największe cebry, zwołały się z całej wioski i śmiejąc się z rybaków, narzekały, że się żdźwigają pod rybą, kiedy ledwie dno cebrów nią się pokryło.

— Wartoż było nie spać i świecić noc całą? To z tego polówki nie będzie dla dzieci!

Ten wesoły poranny gwar niewiast obudził nas na dzień cały — i jeszcze dzień jeden przebyliśmy na wyspie, a nocą odwiozła nas łódź pocziwych rykaków na statek parowy, który stał u przystani w Podbórze...

V.

NA BESKIDZIE.



ługo się mieniają i zmieniają widoki, zanim się pewnej okolicy na oryginalny typ rysów uzbiera. Tak też zmieniają i góry fizyognomią swoją, zanim noga w końcu na Beskid wstąpi.

Wszędzie jest człowiek na tle natury wielką prawdą i tak zgodnym tonem w jej całym akordzie, iż zdjęty z tego tła i przeniesiony o kilkanaście mil, a czasem nawet o mil kilka tylko, nie przypada już do całości widoku, sam w sobie jakiś niepewny, obcy dla wszystkiego co go otacza, wydaje się przybłądą, choć nie z daleka przyszedł, i obcym, choć tym samym mówi językiem.

Tego rodzaju myśli i wrażenia nastęrczały mi się mimowolnie i niesformułowane jeszcze, w pierwszych latach naukowych moich podróży.

Nazwa *Karpat* jest właściwie nieznaną w całym naszym kraju i należałoby ją zarzucić, bo jest zanadto ogólną, zamało odznaczającą rzecz, a może być użytą chyba tylko jako zbiorowe nazwisko, kiedy

się mówi o wszystkich częściach, które ten wielki systemat gór składają, jako o całości.

Lud w równinach osiadły, nazywa wszystkie góry, które spłynęły ku jego nizinom, *górami* po prostu, bo nie zna innych, a Górale nazywają sam grzbiet graniczny, od źródeł Wisły do źródeł Świcy dnie-strowej — *Beskidem*.

Dalej na wschodzie południowym nie mają góry wspólnego nazwiska. Od źródeł Świcy aż po graniczne rozdziele *Rozrogu*, przybierają pojedyncze pasma na znacznej przestrzeni nazwy miejscowe. Z razu mieniają się wzdłuż Pokucia ze słowiańskimi nazwy wołoskie, a następnie na Bukowinie już wszystkie góry nazywane są z wołoska. Pasma *Pietrosów*, położone na górnym obszarze Świcy, a właściwie już po prawym jej brzegu, stanowi to przejście.

Beskid poczyna się na zachodzie od gór *Bielaw*, nad ktoremi panuje czubałek *Łyséj Góry*, a właściwiej jeszcze od przecznicy *górn Jabłonek*. Na północnym zachodzie oddziela go od Sudetów wielka wklęsłość kraju, która się zowie *Łęgiem Morawskim*, a linia pociągnięta na karcie od szląskiego Skoczowa nad Wisłą, na ujście Olszy odrzańskiej do Hranicy nad Beczwą Morawską, stanowi na tej przestrzeni granicę Beskidu od północy. Ztąd tedy wznosi się grzbiet jego w kilku podłużnych działach, z których środkowy zwykle najwyższym bywa.

Kierunek główny tych działów jest od zachodu na wschód, aż po wyłom Dunajca, który grzbiet ich przerwał na przestrzeni od Sącza do Wojnicza w poprzek. Obszar ten górzysty możnaby nazwać wyłącznie *Beskidem zachodnim*. Najwyżej wzniosły się na

nim cypliska *Babięj Góry* naprzeciwko Tatrów, a właściwie pod południkiem zachodniego ich krańca, kiedy się europejski dział wodny przebiera od Beskidu ku Tatom, pograniczem Orawskiej i Nowotargskiej doliny.

Na wschodzie *Babięj Góry* zatracą się wprawdzie nazwa Beskidu, a to głównie dla tego, że przestaje być działem wód i państwa zarazem; to nie zmienia jednak istoty rzeczy i góry nie tracą tego charakteru lesistych działów, który jest główną cechą Beskidu. Góry te skręcają od prawego brzegu dunajcowego wyłomu nagle ku południowi i przechodzą pomiędzy prawym brzegiem najprzód Dunajca, następnie Popradu, a lewym brzegiem Dunajcowej Białej na dział Grybowski, w okolicę Moszyny. Tu przypada na grzbiet graniczny znowu dział wodny, i odtąd pogranicze między Węgrami a prowincją naszą znowu nazywają Beskidem. Na przestrzeni od państwa Moszyny aż do źródeł rzeki Świecy, kierunek jego jest południowo-wschodni.

Cały ten łuk gór, od źródeł Świecy do źródeł Bystrzycy Złotej, zajmuje na długość około 80 mil i jest łagodnie ku północnemu wschodowi podany, a ku południowemu wschodowi szeroko otwarty.

Po obu ostatecznych końcach jego wzniosły się na zachodzie i wschodzie góry najwyżej: na zachodzie naprzeciwko Tatrów, a na wschodzie naprzeciw hal Rodneńskich, czyli pasma gór *Inieu*, które już leży w Siedmiogrodzkiej Ziemi. Oba te powyższe gniazda gór, geologicznie od sarmackiego pasma różne, leży jak dwa graniczniki na ostatecznych końcach tego wielkiego łuku od południa.

Środkiem, na górnym obszarze Wisłoki, spada dział Beskidu najniżej — i ten wielki łęg podnosi się na zachodzie dopiero na lewym brzegu dunajcowego wylomu, a od wschodu na górnym obszarze Sanu. Lud nazywa go tutaj *Nizkim Beskidem*, a wschodnie zakończenie jego, na obszarze górnym Świecy, *Beskidem Szerokim*.

Południowa zbocz całego sarmackiego pasma jest krótsza, podniesienie nagłe; północne stoki są łagodniejsze i sięgają szerzej w kraj. Kędy się całe pasmo wyżej wznosi, tam też osadzone jest na węższym trzonie, a najszerszej rozlały się góry naprzeciw *Nizkiego Beskidu* pośrodku.

Podstawą onych jest na całej przestrzeni tak zwany *piaskowiec karpacki*. Granica jego kładzie na północy zarazem kres gór: z poziomu dolin wznosi on się jak stare brzegowisko, a u stóp jego wylała się nizina, która jest odchodziskiem morskiem.

Na zachodzie tedy wzniosły się pokłady karpackiego piaskowca przeszło na 5000', środkiem osiadły do 3000', a na południowym wschodzie, gdzie miejscami pionowo sterczą, podniosły się znowu do wysokości 6000' przeszło nad powierzchnię morza.

Średnia szerokość tych pokładów zajmuje 10 do 15 mil, największa szerokość, razem z podgórzem, mil 30. •

Ta różnica wysokości gór i rozłożenia onych do poziomu, wpływa także i na kształt zewnętrzny: tutaj tedy wypada rozróżnić najprzód sam grzbiet graniczny od ościennych, pobocznych pasem i łańcuchów, a powtóre pochyłość bałtycką od czarnomorskiej. Na grzbiet bowiem Beskidu przypada europejski dział

wodny od źródeł Wisły do źródeł Sanu — i do Wisły płynie ze znaczniejszych rzek: Soła, Skawa, Raba, Dunajec (z Popradem), Wisłoka i San (z Wisłokiem); do Dniestru wpada: Stryj (z Oporem), Świeca, Łomnica i Bystrzyce obie.

Z rzek wypływających z głębi gór Prut zabiera obadwa Czeremosze, a Seret Suczawę, Mołdawę i Bystrzycę Złotą.

Sam grzbiet Beskidu jest wszędzie lesisty. Na zachodzie wystrzeliły jedne tylko cypliska Babiej Góry nad górną granicę lasów, w krainę hal. *Nizki Beskid* ciągnie się wszędzie krainą bukowin lub jaworzyn; dopiero w ziemi Sanockiej, na górnym obszarze Sanu, a mianowicie na dorzeczu sanowej Wetlinki, poczynają się *Połoniny* od wsi Smereka.

Są to *Podhalskie pasze*, które zaległy grzbiety lub czubałki gór najwyższych, w sposobie wysp oddzielnych, powyżej górnej granicy lasów.

Za pokład roślinności służy tu gruba skorupa mchów, którą się z wieki pokrył skalisty pokład, a zbocze i ostre szczyty Połonin okrywa niekiedy luźne rumowisko piaskowca karpackiego.

Od Smereka tedy poczyną się kraina tych Połonin i ciągnie się dalej ku południowemu wschodowi aż po graniczne rozdziele, wierzchem dwóch, a niekiedy i trzech ościennych pasem, po naszej i węgierskiej stronie.

Sam Beskid nie ma właściwie Połonin i jest niższym w ogólności od ościennych pasem już tam, gdzie się poczynają Połoniny (lubo się na nim wody dzielą), a Połoniny stykają się z nim raczej tylko ostremi przypory.

Równolegle, jak się w ziemi sanockiej podnoszą pierwsze Połoniny, podnoszą się jeszcze góry w ościenych pasmach po węgierskiej stronie, a najwyższe ich gniazdo wznosiło się ku krainie hał, w stolicy Marmoroskiej.

Na północnej stronie sięga kraina Połonin najszerszej w kraj na dorzeczu Stryja, bo tu leżą pierwsze Połoniny, już w drugim rzędzie gór od doliny Dniestru.

Od źródeł i prawego brzegu górnego Stryja, poczyna się tak zwany *Czarny-Las*, i ciągnie się nieprzerwanie górami, wzdłuż Szerokiego Beskidu i Pokucia, aż ku Bukowinie.

Na górnym obszarze Świecy, kończy się Szeroki Beskid. Pasmem Pietrosów poczyna się *kraina kosodrzewu* — i odtąd ciągnie się grzbiet graniczny gór krainą Połonin i kosodrzewu naprzemian, i strychuje tylko wyjątkowo górną granicę drzew wyniosłego pnia.

Nazwa Beskidu brzmi w uściach miejscowych mieszkańców na przestrzeni najmniej tysiąca mil kwadratowych, po tej i po tamtej stronie Karpat, na Górnym Szlązku i w Dolinie Orawy i Wagi, w niższych i wyższych Tatrach, w dolinie Soły, Skawy i Raby, w dolinie Popradu i Dunajca, na obszarze górnej Wisłoki, Wisłoka i Sanu, na obszarze w końcu górnym Dniestru, w krainie „*wierzchowiny Dniestrowej*“, w której się obszar Stryja rozłożył i w tak zwanej „*Krainie*“ po tamtej stronie gór, po której się rozłożył obszar Cisy.

Beskid, Bieszczad — to graniczny dział *Kiciny* i *Czaciny*, bo kiciną i czaciną nazywa lud choinę szy-

szkowych lasów, przez które się przeprawiać przychodzi z jednego połcia gór na drugi, z Polski do Węgier.

O *Beskidzie zielonym* mówi na całej przestrzeni, od źródeł Wisły do źródeł Dniestrowej Świecy, pieśń gminna.

Nieurodzaj i głód wygania górala za Beskid. Za Beskidem kupuje się na Węgrzech bydło, za Beskid sprzedaje się konie i trzodę chlewną.

Na Beskid ciągnie pasterza żyzna pasza i tęsknota, by spojrzeć w kraj ciepły i żyzny, co gdzieś aż do Dunaju płynie...

Za Beskid płyną chmury — będzie pogoda; Beskid pobielał od śniegu — to i chłodno na świecie, Beskid zielony — to i wszędzie zielono i ciepło. Na Beskidzie swoboda, szalasy i bezkarna swawola opryszków — na Beskidzie leżą skarby zakopane.... słowem *Beskid zielony, w trzy rzędy sadzony*, jak gra ważną rolę w pojęciach natury, tak też gra ją w życiu, w obyczajach i tradycjach całej góralszczyzny, tak po naszej, jak i po węgierskiej stronie.

. Było 1843 roku.

Czerwcowy, przesłiczny wieczór palił się na smereków szczycie, i uroczysta cisza była w powietrzu... Długie cienie drzew i gór łamały się po przepaściach, a w szmaragdowej zieloności połyskiwały leśne polany i zarąbki ku słońcu, tam gdzie się przerzedzały starodrzewne lasy...

Było to na samym grzbiecie szląskiego Beskidu, który Górny Szląsk od obszaru Soły i Żywieckiej Doliny odgranicza — a my wracaliśmy od źródeł Wisły.

Na przewale samego działu stanęły konie i wytchnęły, a chwila ta miała coś tak uroczystego w sobie, że nas zatrzymała w miejscu.

Po jednej stronie opadała Barania góra czarnym werchem, kędy biją źródła Wisły — po drugiej stronie odkrywała się oczom prześliczna Żywiecka Dolina, jak ogród uprawna, budowna, zasiana wiankami wiosek, miasteczek, kościołów i dworów...

Bity gościniec przewijał się malowniczo wzdłuż doliny ku Żywcowi, na całe mile widny dla oka; jakiś głuchy i stłumiony szum dolatywał nas czasami od jazów i wodospadów Soły.

Towarzysz podróży mojej uściskał mnie — bo w tej jednej chwili skupiło się tyle wspomnień, tyle uczuć, że im się oprzeć nie można było.

Wracaliśmy od źródeł Wisły — i zdało nam się, że te wszystkie dumy, które u jej kolebki prześpiewały wieki, powtarzają się we wszystkich notach w naszej duszy.

Łzy stanęły nam w oczach — uściskaliśmy się powtórnie i Kanty Łobażewski rzekł do mnie:

Powinszujmy sobie, bo od źródeł Złotej Bystrzycy, aż do źródeł Wisły, widzieliśmy na własne oczy krynice wszystkich rzek naszych i przeszliśmy przez grzbiet całego Beskidu. Z dumą możemy to opowiedzieć Żywieckiej Dolinie, że na niej kończymy oględziny nasze i że niema prócz nas żywego człowieka, mówiącego tym językiem, coby odpytał i odszukał

był wszystkie źródła, od Odry i Wisły, aż do Bystrzycy Złotej — i przeszedł po granicznym dziale, od źródła do źródła, i opatrzył każdą dolinę tych dwudziestu kilku rzek. Powinszujemy sobie — a teraz tylko o to prosić Boga, aby pozwolił streścić to, cośmy nie z książek wzięli, lecz na własne oglądali oczy.

Rażno parskały konie po prześlicznym żwirowym gościńcu, który się do Żywca spuszczał — a my przypominaliśmy sobie pojedyncze widoki licznych gór i dolin, zwiedzanych w przeciągu lat kilku, bo teraz układał się już obraz całych północnych Karpat przed nami, gdyśmy nareszcie dotarli do wielkiego ołtarza tej ziemi — do źródeł Wisły.

W tym przeglądzie widoków i wrażeń zatrzymywały nas na chwilę te wielkie rysy natury śmiałą zakreślonej rzeźbą, to koloryt tych widoków, to w końcu żywa rzesza tych rodów, które się przed nami przesnuły po dolinach i górskich ścieżkach, po wsiach i gościńcach, po odpustach i targach.

Rodowość ludu nie występuje nigdzie w tak wybitnych rysach, jak w góralszczyźnie karpackiej, Przechodziliśmy tedy z kolei wrażenia z odbytej podróży, i tak jak te obrazy przesuwały się koło nas, tak podaję je tu dzisiaj, dla pamiątki owej uroczystej chwili, gdyśmy od źródeł Wisły wracali.

...Najruchawsi są górale zachodniego skrzydła Karpat — gęsto nasiadła ludność potrzebuje postronnie szukać zarobku, bo ziemia uboga, a przemysł

który się na niej oprzeć może, jest albo niedostatecznie jeszcze rozwinięty, aby mógł dać ludowi zajęcie i chleb, albo znajduje drogi odbytu dla siebie, dla sprzedaży i pracy, tylko za obrębem gór; ztąd też ma każda okolica karpackiej góralszczyzny zachodniej niejako swoje powołanie oddzielne i drogi lub zajęcia postronne.

W powszechności możnaby powiedzieć, że góral jest zubożałym pasterzem i rolnikiem biednie uposażonym. Powszechne powołanie całego narodu, które w każdej ziemi i okolicy naszego kraju za punkt wyjścia i oparcia wskazało rolnictwo — to wyznawstwo pługa, że się tak wyrażę, jest i u górali bardzo żywe: rolę, lubo biedną, uważa on za rzecz główną, uprawia ją starannie, tworząc takie masy nawozu z liścia, z leśnej ziemi, z torfowisk, z darnin i pustaci, iż nieraz, patrząc na warstwy tych kompostów, sądziłby można że to zapas nawozu dla całego folwarku, który się przy małej stajence mieści, gdzie ledwo parę sztuk bydła, jeden lub para koni i dziesiątek owiec, czasem jeszcze kóz para, jest całym dobytkiem tego skrzętnego rolnika.

Kiedy ziemia nareszcie obeschnie po górach i polanach, po twardej zimie i zimnej wiosnie, powstaje wielki ruch między ludem.

— Jar! jar! jar idzie!

Tak mówią sobie ludzie i niema górala, coby na ten czas nie powrócił do wioski, kiedy się jare w polu rozpoczynają roboty, niema takiego, coby w tym czasie w drogę się puścił, choćby mu ta droga największe dawała zarobki.

— Jar! Jar!

Więc trzeba się rozstać z bydłem i strzyżkami, trzeba oddać dobytek na paszę, trzeba zasiać polany, wygrabić i zatyczyć łąki, zasadzić ogrody, podgrodzić obejścia. Więc gospodarze sprzęgają się z sobą, gotują ziarno, pługi i brony, do sadzenia ziemniaki i ogrodowe nasiona, a gospodynie przyrządzają zapasy żywności dla domowników, którzy w pole ruszą, i dla czeladzi, którą na czas jaru przynajęć potrzeba, bo gospodyni skąpi przez zimę, aby miała co dać gdy jarować przyjdzie.

Co wszędzie, powtarza się i tutaj, że około złej ziemi człowiek najstaranniej pracuje, i górski rolnik będzie wszędzie dobrym rolnikiem i z bogaci się gdy na dobrej roli siędzie, ale góral nie opuści gór swoich... Głuchą nazywa się dla niego ziemia bez echa, bez szumu wód i pasterskiego hukania, i tego grania na ligawkach i fujarkach, które co roku nanowo się budzi na zielonym świecie.

Z rodów tatrzańskich tylko Podhalanie i Nowotarzanie mają pasze alpejskie, halami zwane w Tatrach; więc na Świątki Zielone ciągną na szalase letnie, zwoławszy wprzód wielką gromadę u jednego z sołtysów, na której wybierają juhasów i przełożonego nad nimi bacę.

„Wielka gromada“ są to „wiece“ starożytne i tu można się najlepiej przypatrzeć prawnym obrzędom gminowładnych rządów.

„Mała gromada,“ to zebranie wioski na wspólną radę; „Wielka gromada,“ to zebranie całej okolicy, całego rodu na wiece.

Na znak że się Wielka-gromada zbiera, obsyła się buława od chaty do chaty i od wsi do wsi. Soł-

tys, u którego ta buława jest przechowana, wysyła ją do sąsiada, oznaczając miejsce zboru Wielkiej-gromady, bo każdym razem zbiera się w innem miejscu, oznacza sołtysa u którego się zbiera i dzień zboru. Goniec z buławą leci pędem co tchu, wpada do najbliższej chaty, uderza trzy razy w okno, następnie o odzwirek lub we drzwi, jeżeli zamknięte, i woła naprzykład:

— Wielka gromada! sołtys Chrzeptowski! w sobotę! i daje gospodarzowi czy gospodyni, parobkowi, dziewczynie lub dziecku buławę w rękę. Kto buławę przejął, leci z nią w tej chwili dalej, bez względu na to, jak i przy czem go zastała.

Widziałem matkę karmiącą dziecię; na uderzenie buławy porwała się z trwogą, posadziła dziecię na ziemi i porwawszy z rąk gońca buławę, biegła przez ogrody jak sarna... Goniec podjął dziecię z ziemi i wyszliśmy na obejście, patrząc za niewiastą. Za ogrodami na polu orał pług sąsiada: rzuciła buławę przed pługiem i wracała coprędzej do dziecka, a oracz porzucił pług i popędził polem dalej z buławą. Na kraju sąsiedniej wioski, spotkał przy pierwszej chacie dziewczynę, która z konewką wracała od stoku, wziął od niej konewkę, a wcisnął jej buławę do ręki i pobiegła do wsi krótszą drogą na przełazy i ścieżki...

W górach, gdzie rozrzucone szeroko bywają wsie, potoki wezbrane, przełazy i kładki, niezawsze łatwo podać tę buławę dalej, ale karność ludzi w rzeczach gromady jest tak wielka, że ani wiek, ani czas, ani pora roku, noc czy dzień, pogoda czy słońca, wody czy lody, nic nie może służyć za wymówkę:

buława nie może ani na chwilę stanąć w drodze. Jakoż i tym razem, lubo całe Podhale obeszła, powróciła po północy, w ciągu jednej doby, do sołtysa napowrót.

Stary sołtys Chrzeptowski opowiadał mi, że do jego dziada przyniósł był goniec buławę już dobrze wieczorem, ale nim jeszcze ludzie powrócili z pola. Starzec był już bardzo letni i tylko w czasie południa wychodził przed chatę; ale gdy mu goniec rzucił buławę na łożę, zwał się z niego, przyczołgał się przez ogród do dużej koliby która za ogrodem stała, wykrzesał ognia i podpalił ją... Jasnym płomieniem buchła koliba, a gdy się z chat najbliższych zbiegli ludzie do ognia, rzekł starzec:

— Podajcie buławę dalej, a mnie za trzy dni podacie do grobu. Zrobiłem com mógł, ale na mnie nie siadła buława i wam tak zawsze robić nakazuję.

Goniec popędził dalej z buławą, ale stary sołtys zmarł jeszcze tej nocy, tak się przestraszył i przesiłił w ostatniej posłudze oddanej gromadzie.

Wiece takie zbierają się zawsze przed północą. Wójci i sołtysi wszystkich wsi, z przysiężnymi i starszymi gromady, zbierają się na oznaczone miejsce przed północą. Wyznaczają zwykle na miejsce zboru dom możnego sołtysa lub gospodarza, który sobie to za wielki zaszczyt poczytuje, że do domu jego. Wielką-gromadę zwołano i gościnnie podejmuje przybyłych. Gospodarz domu nie ma jednak prawa należeć do rady, ani nie zabiera na niej głosu, zajmując się jedynie powitaniem i przyjęciem gości. Niewiasty, dzieci, luźna i biała czeladź ustępują z domu.

Dokoła miejsca zboru zataczają w znaczném odaleniu wielkie koło parobcy ci, co do rady nie należą jeszcze; tego koła ani dziecko, ani niewiasta, ani żaden człek obcy przejść nie może. Co kilka kroków stoi lub leży wartnik, czuwając noc całą, a koło jest w takiem promieniu założone, że najgwarniejsze nawet obrady z chaty i z obejścia nie dochodzą do niego.

Gdy się ludzie już powitają i pojrzą po sobie, sołtys buławny uderza buławą o stół i zapytuje:

— Kto zwołał gromadę?

Wolno jest bowiem już trzem gospodarzom osiadłym zwołać Wielką-gromadę, gdyby tego konieczną potrzebę widzieli, lub grożące niebezpieczeństwo dla gromady dostrzegli. Nikt się nie poważy zwołać Wielkiej-gromady napróżno, bo musiałby grosz karny każdemu przybyłemu zapłacić za drogę, stratę czasu i nocy, a nadto zażyć wstydu i hańby, gdyż taki jest już nazawsze odsądzony od prawa zwoływania gromady.

Jeden z tych, co obesłali buławę, wyklada całemu zgromadzeniu jasno i krótko rzecz o którą chodzi, a po chwili rozwagi, zabiierają z kolei najprzód najmłodszy głos: każdy musi oświadczyć swe zdanie i kiedy w końcu zapada uchwała, streszcza się ona w kilku słowach i nikt już przeciwko niej nie stoi. Wówczas dopiero przyzywa starszy sołtys pisarza i kilku starszych z gromady, a oni spisują i układają rzecz w osobnej izbie na piśmie. Po chwili odczytują gromadzie ostatni rezultat narady, poczem składają obecni pieniądze potrzebne na opę-

dzenie kosztów drogi dla pełnomocników, prowadzenie sprawy w sądach i t. d.

Muszę tu zrobić uwagę, że na każdym takim zebraniu jest kilku prawników biegłych, którzy zastępują sprawy gromad. Dzieje się to tak. Chłopak się dobrze uczy i dobrą po sobie daje nadzieję że: „mądry chłop będzie,“ jak to zwykli mówić górale; bywa na koscie gromady wysyłany do szkół wyższych, a zwykle do Podoleńca do ks. pijarów, pieczo wraca co rok na wakacje do wsi, musi się sprawić przed sołtysami i starszym z gromady, przed ks. proboszczem i we dworze z nauk odbytych i postępków szkolnych, musi się wykazać świadectwami, a odprawiwszy te urzędowe odwiedziny, musi wdziać napowrót na siebie guńkę góralską, paść kozy na szałaszu i pomagać rodzicom przy żniwie.

Z Podoleńca idą ci studenci zazwyczaj na Uniwersytet do Berna lub Wiednia, a ukończywszy studia prawne, powracają do wsi, żenią się i prowadzą sprawy gromady, odslugując koszt wyłożony na ich naukę. Ukończywszy szkoły w Podoleńcu, mówią płynnie po łacinie, ukończywszy studia w Bernie lub Wiedniu, powracają jako wyrobieni prawnicy, pisząc poprawnie po niemiecku, czytając Horacego, Krasickiego Bajki i „Żywoty“ Skargi.

Studenci ci na koscie gromady tak karnie są trzymani, iż niema prawie przypadku, żeby się który z nich zwłókl światem, nie udał, lub nie wrócił do wsi i nie służył gromadzie. Ztąd też natrafia się bardzo często wśród gminu na bardzo ukształconych i dobrze oświeconych ludzi, którzy pomimo

to nie różnią się w niczem co do obyczajów, stroju i zatrudnień od wszystkich innych górali.

„*Wielka gromada*“ znana jest tylko u Podhalan i Nowotarzan, bo tu mogło się najniezawisłej wyrobić gminowładne życie: o każdej sprawie ważniejszej radzi tu na wiecach zbiorowo gromada, a że do spraw ważnych należy i letnie pastwisko, ztąd wybierają tu juhasów dla każdej hali i jednego bacę, przełożonego nad wszystkimi halami i juhasami. Baca trzyma osobne sądy i póki bydło i pasterze są w szalasach, podlegają wszyscy w turniach i na halach sądom jego.

Każda wieś ma jakąś halę. Niektóre są własnością pojedynczych sołtysów, rozrodzonych dziś w liczne rodziny; wspólność tedy paszy jest tu prawem dla wsi lub całego sołtysiego rodu, który oni tam po swojemu „*pnakiem*“ nazywają, mówiąc: Ja z pnia królów, — ja z pnia Toporów, Chrzeptowskich, Nędzów, Tatarów.“

Że prawo do paszy jest wspólne, ztąd nie pasie właściwie sam nikt bydła, owiec ani kóz, ale oddaje je pod nadzór wspólny i baca i jego pomocnicy zajmują wspólne roczne szalaszce.

Prześliczny jest widok, kiedy w zielone góry po raz pierwszy ciągną z trzodami na lato pasterze. Całe wsie w Nowotargskiej Dolinie i na Podhalu wychodzą tu na drogę; witają więc i przeprowadzają juhasów, polecając się w łaskę bacy; oddaje każdy swój statek z płaczem, żegnają dzieci dojną krowkę, święconą palmą napędza do gromady biedna wdowa jedynaczkę owcę z jagnięciem, lub kozę z kozłędziem i z każdą chwilą powiększa się stado i gromada lu-

dzi. Około koni objuczonych baryłkami z wódką, kotłami i naczyniem drewnianem do nabiału, zapasami żywności i ciepłymi kocami, idą dziewczęta strojne, wyśpiewując wesoło, a tu i owdzie popisuje się niejedna, że i ona na koniu siedzieć umie. Kobzy z bacą na czele w stroju świątecznym, otwierają poczet; juhasy wywijają toporkami, a młodzi pasterze tańczą całą drogę, przysiadując często w tańcu do „hajduka“ — tak się nazywa góralski junacki taniec, w przysiadach i zuchwałych skokach z węgierska tańczony. Ludzie wynoszą chleb, sól i wódkę na drogę, przypijając do pasterzy ciągnących w hale i do zalotnych pasterek, a te przypijają do nich i szczególnie junacy tańczą z faszka wódkki w ręku i dodają sobie i światu ochoty.

Wolno posuwa się taki poczet, bo bydło, owce i kozy, z różnych stajenek świeżo spędzone, nie chcą iść sformie; więc tylko duże, białe psy kudłate, których główne gniazdo u owczarzy liptowskich, szykują gniewnie całe stado na przeprawach przez potoki, kiedy się ludzie na kładkach lub na szczydlach przeprowadzają przez wodę. Co chwila trwożą się owce, ciekawie odrywają się od hurtu swawolne kozy — i gdyby baca, juhas i pies liptowski nie mieli tu oka i rozumu za wielu, nie utarliby się ani ludzie, ani stado w tym pochodzie.

Zajmujące jest to gospodarstwo alpejskich pasterzy po halach, pełne codziennych drobnych przygód i ciągłej różności, pochodzącej tak ze sposobu życia, jak ze zmian powietrza.

Co dwa tygodnie gospodarze i właściciele stajki po halach przynoszą juhasom chleb, sól i wódkę,

leguminy i bieliznę. Goszczą u nich zazwyczaj do bę; ktoś z szałaszu lub z bacówki wychodzi przed nich, aby przybywających pokierować na krótsze ścieżki: ktoś zwykle podprowadza aż do regli lesistych, lub przez regle nawet, jeżeli się mroczy — i tak jest ciągły związek między halami a Podhalem i Nowotarską Doliną.

Zaledwo że pierwsze podoje odwarzono w kotłach, a już przybywają właściciele po bryndzę i oszcypki; w pięknych naczyniach drewnianych wiozą małe góralskie wózki pierwszy dar hal i składają go jako nowalią na targu Sukiennic krakowskich.

Zapobiegliwość, skrzętność i przemyślność górali zachodniego skrzydła Karpat jest tak wielką, iż całą okolicę przyległą sobie na Górnym Szlázku i górnych Węgrzech i całe Powiśle aż po rzekę Rabę zaopatrują drzewem zdatnem do budowy, stolarszczyzną, tokarszczyzną, naczyniem drewnianem i rzezanem wszelkiego rodzaju. Wisłą, Sołą i Skawą idzie spław drzewa, a na wszystkich targach, od Cieszyna do Bochni, snują się wzdłuż całego Podgórze jednokonne góralskie wózki, deskami, gontami i innemi wyrobami z drzewa ładowne.

Przemysłniejszego i bardziej rachunkowego kupca nad górala nie ma, ale zgoda z nim twarda. Rozgląda się po domu, sprzętach, gospodarstwie, roli, przypatruje się rodzinie i dzieciom, sługom i dobytкови, mówi szczególnie o tém co pochwały godne, żali się na ciężki przednówek i góralską biedę, a zładziwszy wózek lub tobolek napowrót do drogi,

zasiada dopiero i karmi konia z ręki, lub duma przy tobołku smutny.

— Co wam to, człowieku? co wam to, kobieto? co ci to, dziewczyno? pytają ludzie.

— Ot liczę, powiada, i widzę że zła sprzedaż. Tyle kosztuje mnie droga, tyle towar, tyle mil trzeba iść albo jechać do was; a jakie to góry, a jakie to wody! Kaj ja się podzieję, jak z tym groszem do domu powrócę? Co tam drobiazg powie na to, żem mu ani kukiełki nie przwiózł od Matki Boskiej z Krakowa, ani grudki soli z Bochni, ani wstążeczki dla dziewczęcia, ani guziczka dla chłopca?

Więc gospodarz każe dać koniowi obrok, a człowiekowi wódki, chleba i jaką łyżkę strawy; panienki wyszukają wstążeczki, chłopaczki świecące guziki, sługi nawet szklane paciorki. Biedota bierze to wszystko z wdzięcznością, ale kieliszek wódki stoi niewypity, strawę stawia na boku, woła z przed domu lub z targu jednego i drugiego górala, kobietę lub dziewczynę, co coś w putni na targ przyniosła, dzieląc się z niemi kieliszkiem wódki, kawałkiem chleba i łyżką strawy, nie biorąc nic sam dla siebie, ale dając im pierwszą rękę. A gdy spytają ludzie: „Pocóż tak robicie?“ powiada:

— Bo to jeszcze biedniejsi odemnie, a swoi ludzie.

Ludzkość ta rzeczywiście jest wielka. Ani gospodarz, ani mieszczanin, ani pan nie może znieść tego, żeby kto głodny od jego progu odchodził; więc zamiast jednego człowieka, pokarmi się kilkoro; a że to już taki zwyczaj, nikt przeto się temu

nie dziwi, ani nie ma tego za złe, bo każdy wie iż kupując od górali, trzeba odbyć najprzód targ długi i twardy a zakończyć sprawę gościna. Zabrali się w końcu z domu lub obejścia, ale wracają od drzwi lub bramy, bo jakże to na gołym wózku jechać tyle drogi.

— Dajcie mi garsteczkę słomy albo siana, bo dziewczę nie dosiedzi na gołych półdrabkach.

Więc dali i słomy i siana. Góral wymościł siedzenie i pokazuje lulkę; więc jeszcze i tytuniu trzeba mu dać na drogę, którym się znowu ze wszystkimi dzieli.

Możnaby myśleć, że się tem wszystkim naprzykrza. Gdzie tam, to znajomość zrobiona, i kiedy znowu na targ przybędzie, zachodzi do takiego domu jak w gościnę, wita się z dziećmi i sługami, pamięta jak się które nazywa, przyniesie jakąś fraszkę w podarunku: owczy serek, parę kwiczołów lub pięknie struganych łyżek, grzechotkę lub szklaneczkę dla dziecka; umie przemówić, wypowiedzieć, zabiawić, zaśpiewać i zatańczyć. Mężczyźni są bardzo grzeczni, kobiety bardzo sprytne i wygadane, i to wszystko razem idzie w rachunek handlowego obrotu. Góral nie wydaje grosza w drodze i liczy na gościnność równin. Umie on tak pochwalić i pochlebić jak nikt, umie się tak uzalić, że się serce kraje. Poważa dom gościnny i ludzkiego człowieka, ale boi się hojnego i nie wejdzie z nim do współki, a pogardza rozrzutnym i nie ma skrupułu obedrzyć go chociażby ze skóry.

Możnaby myśleć, że to niedostatek zmusza do tego wszystkiego: tymczasem czyni to zarówno gó-

ral można, i jest to u nich skutek znajomości świata, ludzi i wyrachowania, że tak sobie radzą w gościnie „na Lachach.“ Góral zna ubóstwo, ale nie zna nędzy, i jeżeli już sam pojedynczo umie sobie radzić, tem lepiej zabiega potrzebie w drużynie zebrany.

Wszystko co czynią, czynią gromadnie: razem niosą sukno do wybicia na folusz, razem płótno na blich, razem idą za kupnem owiec lub bydła, razem za kupnem lnu lub wełny, jako tkacze i sukiennicy, razem do lasu i huty, razem po wino i żelazo do Węgier, a ztamtąd na Szlązk i do Prus, razem na winobranie do winnic, na siankosy i żniwa na lato.

Gdy się drużyna zbierze, spojrzą po sobie i nie ma sporu o to, na kogo rząd i władzę w tej drużynie zdadzą. Nikomu tam nie pozwolą ni zmitrężyć, ni zaspać, ni wydać grosza darmo, upić się lub zaniedbać sprawy.

Każdy ma z sobą w torbie podróżnej chleb, ser i masło z jaszczykiem, a że to w górach i często-kroć na wietrze i słońcu, więc w każdej karczmie i gospodzie trzeba się zatrzymać na chwilę na znanych przystankach, któremi się droga mierzy. Przy każdej tedy karczmie stają, lecz nikt się nie upija, bo jeden tylko z drużyny płaci kieliszek, kwaterkę lub półkwaterek, którym każdy usta trochę zmacza, poczem kawałek chleba z serem przekąsi, i tak pokrzepiony, dalej za drugim rusza. Zdarza się tedy, że w większej drużynie przypadnie na pojedynczego człeka, idącego z Tatrów lub z Babiej-Góry, pierwszy przystanek w Krakowskiem albo w Sandomierskiem dopiero.

Malowniczo wyglądają te bandy koźbiarzy, z kosami obwinętymi w słomę przez ramię, gdy się z gór na podgórze i ku porzeccom Wisły spuszczaają i na zawiślu, w Krakowskie, Sandomierskie i Lubelskie rozchodzą.

Każda banda ciągnie inną drogą, na inne sioła i dwory, kobziarze i skoczki na czele, a za nimi wali się bandochów czerniawa; bo oni nazywają sami siebie koźbiarzami, ale w równinach zwą ich bandochami i w całym Krakowskim, Sandomierskim, nawet na Mazowszu liczą gospodarze na pomoc góralskiej kosa przy sprzęcie siana i na pomoc bandochów przy żniwie.

Wszędzie gdzie przychodzą, wnoszą z sobą wesolość, śpiew i taniec i tak rozbawią i rozgadają wszystkich, tak ucieszą śpiewkami i tańcami, że im nikt nie odmawia gościnnego przyjęcia, bez względu na to, czy się znajdzie dla nich robota już dziś, czy dopiero na jutro.

W każdej bandzie prowadzi rej starsza niewiasta *bandoszką* zwana. Zna ona wszystkie wsie i dwory, od Babiej-Góry aż do Krakowa, Sandomierza i Lublina, na przedwiślu i zawiślu, po Warszawę i Toruń, bo i z flisami chodzi na wodę, i z koźbiarzami na sianokosy, i z bandochami do żniwa, i z dziewczętami na winobrania węgierskie — więc od Wisły do Dunaju przejrzała świat wszystek, a że bieda i wędrówka uczy rozumu, ztąd też mądra baba ma gębę za dziesięciu, a rozum za stu chłopów.

Bandoszka wie, jakie gdzie państwo i dwory, ilu tu lub tam postawić kosarzy na łące, gdzie wcześniej łąki koszą, a gdzie później zboże dojrzewa.

Wię po czemu czego łokieć bywa, jak ludzie płacą i jak podzielić robotę; więc za jej przewodem i rozumem ciągną się bandy wzdłuż kraju i powracają dobrze odżywione jesienią do domu.

Co tam Bóg w domu zarodzi, to zbierze niewiasta z dziećmi, a bydła i strzyżek dopilnuje juhas, a chata dostoi w miejscu i krótsza ścieżka doprowadzi do niej.

Bandoszka zna się na lekach i ziołach. Jak kto z bandy zasłabnie, to ona lekarką; jak kto się zasmuci, to ona pocieszy; krzywdy nie da zrobić nikomu. Pod jej ręką fryce co pierwszy raz idą na kośbę, i dziewczęta co pierwszy raz idą na żniwa. Ona wróży po dworach i karczmach, przepowiada pogodę i słotę, złe i dobre roki; ona opowiada legendy świętych i historye mądre, a lubo sama do roboty nie staje, idzie za jej rządem robota.

Podziwiałem nieraz tych osobliwych ludzi, mających tyle znajomości serca ludzkiego, kraju i obyczajów, że na tysiącu milach kwadratowych nie było nic dla nich obcego. Więcej nieraz można powziąć od takiej bandoszki wiadomości o kraju, niż z przeczytania wielu a wielu książek nieźle nawet pisanych. Sąd rozjemczy bandoszki jest wyrokiem dla całej drużyny, a jak kogo ukarać każe to go i obija.

Górale od Tatr i Babiej-Góry, do Żywca i Suchy, od Krościenka i Łącka, ciągną na Szlązk i ku Morawom, ku Węgrom i Galicyi, ale nie przechodzą Raby na wschód. Górale od Nowego-Sącza i Muszyny furmanią pomiędzy Węgrami a Galicyą, ale nie przechodzą Dunajca na wschód w równinach i docierają tylko do najbliższych miasteczek Podgó-

rza; bo jak człek, tak i koń musi się latem wyżywić na furmance, a tyle z niego pożytku dla domu, że nie trzeba najać pługą i brony, kiedy jar nastaje.

Od Muszyny wychodzą nadto drużyny dziewcząt, które z Węgier pierwsze przynoszą owoce. Poczyna się to od czerech węgierskich, od morel i brzoskwiń, a kończy na winogradzie.

W wielkie gromady zebrane dziewczęta, niosące putnie z owocami na plecach, przechodzą tu przestrzeń mil kilkudziesięciu czasem, tam i napowrót, zapędzając się aż do Krakowa i Bochni. Rozbiegają się one po wsiach, miasteczkach i dworach, wracają na noc do swoich wózków po świeże owoce, a odsyłają opróżnione wózki już z drogi napowrót do Węgier, po zakupno owoców świeżych. Tu znowu inny układ drużyny: parobczakom co wózkami jadą ani pokazywać, ani sprzedawać owoców niewolno nikomu. Wszystkie dziewczęta wracają do taboru na noc i nocują razem, a tabor posuwa się codziennie dalej i ku innej stronie. Do świtu nabiera każda dziewczyna owoce w putnie i musi je przez dzień rozprzedać, a wieczorem wróciwszy, wyrachować się z pieniędzy przed drugimi.

Wymuskane i ustrojone, przebrawszy się przy taborze, rozbiegają się rankiem w różne strony, a każdy co taką dziewczynę idącą w świat za zarobkiem zobaczy, pytając się z jak daleka idzie i dokąd dąży, podziwia odwagę dziewczęcia, które się tak samą w świat puszcza — więc i wchodzi w targ o owoce, i kupi, i daruje coś, i pożywi.

Nieraz pytałem: „Czemu się kryjecie, że macie wóz z owocami? Czemu nie chcecie pokazać owocu na wózkach?”

— A bo tak nas nauczyli, że ludzieby litości nad nami nie mieli, gdyby wiedzieli że mamy wózki z sobą i siła owoców. A potem, kiedy człowiek czego potrosze zobaczy, to i bardzo pragnie, a czego na wozach dosyć, to się ładajakiem widzi. Otóż nieraz, kiedy przyjdę do dworu, litują się ludzie nademną, że mi ciężko dzwigać, że już wieczór, a jam niewiele sprzedała, to i zmiłują się i zabiorą wszystkie owoce, i zapłacą, i pocieszą, i obdarzą...

VI.

Z Niskiego i Szerokiego Beskidu.

CZEŚĆ DRUGA.

Górale w Jasielskiem i w Sanockiem są już gospodarze rolni. Ziemia tu lepsza, góry równiejsze, żyźniejsze pasze, chów bydła głównem zajęciem i Wołowiec Góral nie bawi się ani drogą, ani włóczęgą, ani zarobkami po świecie, — spuszcza się tu tylko do najbliższych miasteczek do Podgórze i do Węgier, na praznik i kiermasz, a wielkie drogi jego prowadzą tylko ścieżkami, grzbietami samego Beskidu na Wschód, w Tucholszczyznę, za Czarny Las i do Czarnej Góry, gdzie co rok na wiosnę zakupuje owce, z którymi wzdłuż Beskidu powraca do domu. Tu też u Górali sanockich, którzy rodzajem bydła przywiązani do ziemi, raz tylko na rok za owcami idą w drogę, przechowały się stare podania i obyczaje, może jeszcze najwierniej. Tu śpiewają dotąd kolędy pogańskie, co do treści i formy swojej noszące cechę odległej starożytności i tutaj palą święte ognie sobótki, w wigilią Jana Kupały. Sanoccy Górale są oddziel-

nym rodem i bardzo pięknie wyraża się typ Karpackiej Góralszczyzny w kształtnych postaciach tego ludu.

Przeglądając erekcje wsi sanockich, można prawie wskazać początek wszystkich tych sadyb, a jednakowoż jest to ludność pierwotna, starożytna, wskazująca i obyczajem i językiem i pieśniami na daleko starożytniejsze pochodzenie. Widocznie poszło tu rozrodzenie całych okolic z niewielu pierwotnych sadyb, których początku nie znamy, bo i jakby się inaczej dały wytłumaczyć w nowosiedlinach z 14, 15 i 16 wieków obrzędy i pieśni pogańskie jak „darcie kotów przy umarłych“, jak „palenie sobótek“ i przechowanie kołęd pochodzących jeszcze z pogaństwa?

Obszar na którym palą sobótki w wigilią ś. Jana nie został dotąd oznaczony na karcie należycie: do niego cała Chrobacya z doliną Wagi i Morawy aż po Dunaj, należy do niego całe dorzecze Odry, gdzie na średnim jej biegu w okolicy Wrocławia wznosi się góra Sobota *), niegdyś temu bożyszczu poświęcona. Na całym Powiślu w Krakowskim i Sandomierskim

*) Świątynia Boga Soboty była na Szlaku na górze leżącej po lewym brzegu Odry niedaleko Wrocławia i mniemanie, że to na cześć tego miejscowego boga wyprawiano sobótki, zdaje się być prawdziwem. U górali w Sanockim znalazłem starą pogańską kolendę która zatem mówi. Do charakteru kolend należy to, że po każdej zwrotce jeden pewny wiersz lub jakaś zwrotka idzie w powtórzeniu, w kolendzie tedy o której tu mówię powtarza się po każdej zwrotce wiersz: Sobota! sobota! hora wysoka!

W innych znowu: Rym! Sobota! hora wysoka! Co się jednakowoż bardzo dopiero późnym dodatkiem być zdaje, już po unii kościoła w Polsce, gdzie niby Rzym i Sobotę równie wysoką chciano mieć górą w wyobrażeniach ludu na Rusi.

pałą sobótki i w Sobótce Jana Kochanowskiego przechowało się wiele rysów i wdzięków starożytnego obrzędu, co więcej nawet, w Zgorzelicach i na dolnej Łabie pałą sobótki, na Pomorzu i Pojezierzu Pomorskiem, gdzie dziś już Słowian niema, zachował się także ten obyczaj.

Miejsce sobótki zastępują w Opolach Ruskich ognie i pieśni Kupały na Podolu, Wołyniu i Ukrainie. Na Litwie odpowiada temu obrządek dziadów, lubo na inne czasy przypada. Wszakże i w Krakowie pałą dorocznie dwa razy sobótki, ale to tylko w Krakowskiem, pospolicie zaś pałą ognie sobótki i Kupały w wigilią św. Jana, ztąd też bywają św. Jańskimi Ogniami zwane.

Mówią o Stachowiczu, że nie umiał ani rysować ani malować, po nim wszakże pozostał najwierniejszy obraz Krakowskiej sobótki — i on blednie chyba tylko przy obrazie Tatrzańskiej sobótki Goszczyńskiego, który równem okiem i równem uczuciem umiał się dopatrzeć wdzięków w uroczych ogniach Kupały i świętych ogniach sobótki.

- „Zachód mdlej coraz śniegi hal pozłaca —
 „Ostatni odblask z cichych wód ucieka,
 „Spada na ziemię wieczoru powieka,
 „Ale na Wyżni rośnie gwar i praca:
 „Pnie się ku górze święty stos wspaniały:
 „Dwanaście jodeł z gałęzi odartych,
 „Zetkniętych wierzchem, spodem rozpostartych
 „Śpiczastą wieżą ku niebu powstały.
 „We wnętrzu jego jeży się chróst suchy —
 „Czterech Górali głównię rozżarzyli,

- „Rozkołysali, chróstem upowili,
 „Podęli razem silnemi podmuchy...
 „Grają płomyki, jak żądła węzowe —
 „Wyrzują co chwila z ogniska paszczęki,
 „Nagle rozjadły ogień wznosi głowę —
 „Rzuca się błyskiem na sterczące sęki,
 „Na niższych zrazu czepia serc sztandary,
 „Oblała kłody, wyziera przez szpary,
 „A jad pod korą zapuszcza tymczasem —
 „Aż gdy zranione drzewa zapiszczały
 „I w jasnych gwiazdach smolną krew polały...
 „Ogień wzdłuż stosu posunął z hałasem,
 „Chwyta się szczytu, siada na stolicy,
 „Wyrzuca na świat setne dymu kręgi,
 „Potrząsa w niebo płomieniste wstęgi,
 „I już panuje całej okolicy“...
 „Radośna wrzawa i huczne oklaski
 „Przyjęły zewsząd pierwsze ognia blaski —
 „Na bór, daleko, spadła ómów zasłona,
 „Młodzież góralska, od płomieni prędsza,
 „Stoi już, w koła tańczące spleciona,
 „Jak obraz w cieniu urodzony wnętrza.
 „Dziewice w kwiatach, chłopcy z długim włosiem
 „Gęśle i kobzy, fujarki i dudki, —
 „Wszystko to naraz uderzyło głosem
 „I grzmotnym krokiem do tańca sobótki!
 „Zalśniły widzom źrenice ciekawsze,
 „Ciekawszy Janosz wychylił się z cienia, —
 „Westchnął, podumał, i rzecze z westchnienia:
 „Hej! hej! dla czegoż ja nie ten sam zawsze?

„Ażebym dzisiaj o moja rodzinę!

„I ja ze swoją wystąpił piosenką!!“

Nie raz już i w różnych miejscach widziałem sobótkę paloną, a zawsze się odbyła w podobny sposób ta uroczystość ludu naszego. Po raz pierwszy widziałem ją odprawianą w Sanockiem, u Górali pod Beskidem.

Znacznie przed wieczorem, w dniu wigilii św. Jana, powstał ruch między dziećmi wiejskimi i pastuchami wioski; zaczęli bowiem, jak to się wyrażać zwykli „ściągać sobótkę“, t. j. znosić suche gałęzie jałowcu i łomy jodeł, świerków z lasu i jeli je składać na bitym gościńcu, na drodze wiodącej z Sanoka do Humennego, w miejscu, gdzie się prawie wszystkie wygony bydła z lasów i z pól przed wioską zbiegały, w pięknej dolinie Oślawy. Przeszło dwie godziny trwała tu robota, a odprawiała się gorliwie wśród radośnych okrzyków dzieci i na wielką pocięchę pastuchów. Wszystkie trzody wioski spędzono razem i zatrzymano na stronie a pomiędzy niemi a wioską wznosił się stos, który całą szerokość drogi zajmował, a środkiem wysoko był wystryszony. Gdy zmierzch już padał, zaczęły ciągnąć od wioski starsze niewiasty i dziewczki, a za niemi szli, gwarzący, paląc lulki gazdowie, i obstąpili stos do koła, a niewiasty zasiadłszy brzeg nad drogą wyniesiony i poczęły pieśnią. Ściemniło się w końcu — czas był spokojny a noc ciepła, czerwcową. Zdala szumiała po jazach Oślawa. Roje świętojańskich muszek pełzały do koła...

Zapalono sobótkę. Z trzaskiem objął ogień w jednej chwili stos cały; skacząc i klaszcząc w ręce cieszyły się dzieci. Tu nadjechali Węgrowie z za Beskidu, wioząc bryki winem ładowne, stanęli na drodze i przystąpili do ognia; nie mogąc jechać dalej gwarzyli z Góralami o sobótkce, a dziwnie odbijały ich ostre, ogniem oświecone twarze, przy łagodnych twarzach naszych Górali. Ogień wzmagając się co raz wyżej, oświecił całą okolicę, a ryk bydła przerażonego ogniem, odgłos tysiąc-letnich pieśni, śmiech niewiast, radość dzieci, ten gwar nakoniec poważnych gazdów — to wszystko razem odbijało cudownie przy tej świeżej zieloności czerwcowej, czerwoną luną oświeconej i przy tym spokoju nocnym, w którym się ciemne świerkowe góry nad Osławą wznosiły!... Gdy stos na wpół opadł, zaczęto na gwałt pędzić bydło w ogień, i z rykiem skakało bydło przez gorejące jeszcze ognisko... Za niem i przed niem skakali tam i sam chłopaki po wiele razy, hałas wielki czyniąc.

Okoliczność ta rzuca światło na cały ten obrzęd pogański. Mitologia Słowian jestto co do pojęcia swego „*Cześć ognia*“, Sobótkka zaś zamierza „oczyszczenie“ ludzi i bydła „przez ogień“ i zachowanie, go tym sposobem od zarazy i uroków, czyli złych oczu. To przekonanie ludu trwa po dziś dzień, bo kiedy w przeciągu roku bydło padnie lub zachoruje, winią o to pastucha, mówiąc, że je źle przez sobótkę pędził; jest nawet to samo przekonanie i o ludziach, bo pieśń mówi wyraźnie:

Kto na sobótkce nie będzie,
Główka go boleć wciąż będzie.

U Górali jest sobótka dotąd jeszcze świętem pasterzy. Jakoż pędząc bydło na gwałt w ogień, roznosili chłopcy i tego wieczora gorejące jeszcze głównie, po drogach i wygonach, gasząc je o ziemię i szerść bydłą. Wiadomo zaś jest powszechnie, iż na całej Rusi, węgle gaszone przeciw urokowi są używane. Gdy stos przygasał, poczęli się zwolna rozchodzić gazdowie... Niewiasty wracały z pieśnią do wioski... Górska ligawka, trąba nocnej straży, ozwała się od cerkwi i dworu... a z po za ciemnej świerkowej góry, podniósł się zwolna miesiąc i patrzył spokojnie w nurty Osławy a oświecił dym sobótki, który się błękitnawym pasem przewlekł po dolinie...

Ośm różnych pieśni śpiewano na jedną nutę tego wieczora. W pierwszej zwołują lud na sobótkę i jest wspomnienie o kocie:

Pokit horyszniane pozbihoły
Doliszniane kitku rozirwoły.

W drugiej zasługuje na uwagę bóg Kupała i od niego pochyna się pieśń:

„Na Kupała na Kupała!
„Diwońka sia zalapała“ i t. d.

W trzeciej jest wspomniony bóg Rumer, a że właśnie na rym przypada, nie można sądzić żeby nazwisko było przekręcone:

„Prosyła sy Boha Rumer
„Coby jej toj stary umer!“

Jakoż ma słowo „Rumer“ w narzeczu Kurta-ków pod Beskidem dotąd swe znaczenie, tak nazywają polny rumianek ziele, a zatem znaczy Boh Rumer, Bóg Rumian.

W piątej pieśni jest wspomnienie o pani, która zbiera fijołki na wianki do sobótki:

„Zbierała sej fijałońki

„Na sobitku, na winońki!“ i t. d.

Pieśń ta rzuca wielkie światło na obrzęd sobótki, bo rozciąga ją do różnych stanów i do różnych rodzajów zatrudnień. W górach jest ona świętem pasterzy, w równiach polskich świętem rolników, na rzekach wielu świętem rybaków. Znane jest święto wianków na Wiśle pod Krakowem, Sandomierzem i Warszawą, które właśnie na dzień wigilii św. Jana przypada. W wielu miejscach w Krakowskiem i Sandomierskiem, rzucają dziewczęta na dniu tym pod wieczór, wianki z mostów na rzeki, albo puszczają je łuczywem palącym oświecone, z brzegu na wodę i wróżą ztąd sobie. Rybacy puszczają się na łodziach za wiankami a złapany wianek wykupuje dziewczyna. Podług tego zaś, jak wianek utonie, albo popłynie, czy go złapią, czy nie, czy się dwa wianki razem rzucone zejdu na wodzie, czy je prąd z osobna uniesie albo potopi, czynią sobie złą lub dobrą wróżbę. Święcenie tedy wianków zda się, że należy do obrzędu, sobótki.

Inaczej zupełnie obchodzą św. sobótki na Szlązku, w Krakowskiem i Sandomierskiem. Tu gorą pojedyncze małe ogniska po polach i górach na dniu

wigilii św. Jana, albo ludzie roznoszą ogień. Dzieje się to nietylko na dniu wigilii św. Jana ale i w wigilią świąt Zielonych. Kiedy więc p. Wojski sandomierski w sob. swojej powiadał:

Gdy słońce raka zagrzewa,
I słowik więcej nie śpiewa,
Sobótkę, jako czas niesie
Zapalono w czarnym lesie —
Tak to matki nam podały
Same także z drugich miały,
Ze na dzień św. Jana
Zawzdy sobótką palana.

Dziwić się przychodzi, z kąd lud w Krakowskiem sobótkę także na wigilią Zielonych świąt pali i twardo przytem obstaje, jakoby ognie te palono na pamiątkę Zesłania Ducha św. — Śliczny to jest widok, kiedy te mnogie ognie wieczorem zapłoną, a nie ma może punktu, z kądby się tak malowniczo przedstawiały, jak patrząc na dolinę Wisły z wysokości Wawelu. Tutaj piętrzą się od Krzemionek i od Wyzrelca na Zakrzówku połogie podgórze aż ku Lanckronie i ku Babiej górze. W noc Zielonych Świąt, poczynają się już od wieczora po tym obszarze rozległym migać błędne światła, które w miarę oddalenia, większe lub mniejsze, żywsze lub słabsze, po tem ciemnym tle się przesuwają, goreją i gasną na przemian w różnej wysokości i w różnej dali. Na wysokie tyki bowiem, nabijają chłopaki i parobcy snopy i lecą z niemi pomiędzy zboża w niebogłosy wołając: Maju! Raju! Raju! Maju!. Kiedy snop dogorywa, gaszą go o zielone

jeszcze zboża na łanie, lub wyprawiając pustoty smagają siebie nawzajem płomieniem, a gdy jeden snop spłonie, zakładają drugi na tykę. Piękny to widok! mniejsze i bledsze ognie, są podobne do błędnych światełek moglił — a bliżej i jeszcze bliżej lecące pochodnie, niewiedzieć czyją ręką powietrzem niesione, i te głosy jak płomień w niebo się pnące, błagające dla ziemi maja dla siebie raja (czy może raj u od Maji) są najprawdziwszém obrazem pogańskiego świata. Kiedy snop płonący z takiej tyki runie i dokoła ogniem sypnie w ówczas oświeca na chwilę migające się po ziemi postacie, które znowu nikną; gdy się w innej stronie na ciemnym tle tego obrazu, nowa roztrzępi pochodnia. Uczta ta zwykła trwać do późna, gdy pogoda sprzyja przez oba święta, a wołanie „Maju! Raju!“ jest bez wątpienia resztką starożytniej pieśni.

U Górali sanockich są pogańskie kolędy najstarożytniejszemi zabytkami poezyj, na jaką mi się natrafić zdarzyło w uściech ludu. Są one śpiewane w czasie godów przed i po nowym lecie. Zbierałem je w różnych okolicach i komunikowałem, w czasie swoim, zbiory moje Wójcickiemu, Paulemu i Turowskiemu — i różnemi wariantami pomnożone wyszły one w zbiorach pieśni gminnych. Zwracam tu na nie uwagę badaczy starożytności i języka, bo zostały ogłoszone, ale nie zostały dotąd ocenione. Nie rytmowe kolędy zdają się sięgać bardzo odległej starożytności. Rytmiczna ich budowa ma coś bardzo pierwotnego w sobie, również myśli i poetyczne obrazy, które się w tych kolędach snują, należą i duchem i czasem do zupełnie innej ery. Górale sanoccy nie

mówią dziś językiem kolęd, a jednakowoż śpiewają kolędy i rozumieją je doskonale. Pierwsza z kolęd opisuje Genezę świata w sposób bardzo oryginalny: „Duch Boży unosi się tu nad sinem morzem, a z morza wyrasta zielony jawor, a w gałęziach tego jaworu jest orle gniazdo. Bohaterowie tych kolęd „wiczierzami“ zwani, trudnią się łowami, siostry dają im łuki i strzały, gdy się wyprawiają na łowy na siwe jelenie lub dzikiego zwierza; kiedy z łowów wracają odbiera siostra szczęśliwe strzały i zawiesza je nad drzwiami do izby wchodowej, aby tu świadczyły o dzielności jej braci, i aby się mogła pocieszać ich widokiem gdy braci nie będzie. Pieśni te mają coś Osjanowskiego w sobie, zawsze jednak nie w Skandynawskim ale w Słowiańskim duchu poczęte, wskazują one na pokrewieństwo duchowe ze starymi Serbskimi pieśniarzami. Jakoż ciągnie tęsknota Górala na Beskid i za Beskid, i na wierzchowinie Sanowej Osławy leży po za Beskidem Monaster księży Bazylianów, do którego w uroczyste święta pielgrzymują Górale sanoccy.

„Do Monasteru! do Monasteru! za Beskid! za Beskid!“ Tak mówiono sobie już od dwóch tygodni: z każdej wsi, zwłaszcza bliżej Beskidu leżącej, zmarwiały się wielkie gromady do Monasteru na odpust.

Było to święto Matki Boskiej Jagodnej. Prześliczna sprzyjała pogoda, i w wilią święta Matki Bożej wyruszyliśmy gromadnie od dworu ku Beskidowi, gdy pierwsze promienie słońca zaledwo szczyty najwyższych oświeciły gór... Co było koni we dworze, wszystkie poszły pod siodło; softys jechał przodem i prowadził na ścieżki i działy. Wielkie gromady

świętecznie strojnego ludu ciągnęły wszystkimi ścieżkami i dolinami na Beskid!... Gdyśmy się na działą wybili, leżały pod nami głęboko w dolinach po jednej i po drugiej stronie wsie i dwory — i całe góry roiły się żywą rzeszą — wszędy wesołe ruchy i głosy, swobodne twarze i uśmiech na twarzy. Wszystko płynęło ku Beskidowi w górę potokami i żłobami, następnie na krótsze ścieżki i działą — ale coraz wolniej, bo coraz naglej podnosił się Beskid. Czém bliżej Beskidu, tém częstsze przestanki, tém głośniejsze hukania, grania na ligawkach i fujarkach, tém łączniejsze chóry:

Beskidzie zielony!

W trzy rzędy sadzony . . .

Otóż to poezya życia! — pomyślałem sobie, gdyśmy w końcu na grzbiecie Beskidu stanęli, i oddychałem całą pierśią tém życiem wielkiej rzeszy ciągnącej za Beskid! — Sołtys kazał wyciąć smukłego świerka i kazał go nieść smukłemu parobkowi, jak chorągiew przed sobą...

Grzbietem zielonego Beskidu doszliśmy po niejkiej chwili do bitego gościeńca, który tu brał przewał ku Węgrom. U stóp naszych leżała słoneczna kraina na południowej zboczy, i cały widok zmieniał się tu dorazu, nasze czarne świerkowe lasy przechodziły w cieniste buczyny i grabowe gaje, wiatr ciepły pociągał od Dunaju — a łany zbóż w oddaleniu były już płowe, kiedy u nas stały jeszcze jak ruta zielone. Spadek gór ku Węgrom był bardzo nagły, ale sztuczny gościeniec był bardzo łagodnym spadkiem prowadzony kilkaset sążni za Be-

skidem stała wielka węgierska gospoda obmurowana z całym obejściem i zamknięta jak kasztel.

— Inszy kraj, inszy obyczaj — mówił do mnie sołtys, pokazując na gospodę. Tu panie trzeba nam zebrać ludzi naszych do gromady.

I kazał w znaczném oddaleniu na czystej polanie naprzeciw gospody zabić świerk. Wszyscy co nas było jezdnych zebraliśmy się w kilkanaście koni około tego świerka, sołtys wypalił na wiatr ze strzelby — za jego przykładem wystrzelaliśmy ładunki ze wszystkich strzelb i pistoletów, poczem się ludzie nasi poczeli ściągać i obsiadać całą polanę do koła świerka... W przeciągu godziny może dochodziły coraz nowe gromady i jak daleko okiem zasięgnąć było można, po las, dokoła gospody i wzdłuż drogi obsiedli ludzie cały Beskid zielony.

Cóż to za widok — tej rzeszy jednego rodu, jednego stroju, ubranej świątecznie, poruszającej się wielkimi falami na takim tle natury!

Konie nasze były już wychłudy — i po godzinie, gdy ludzie z naszych wsi już wyszli byli na Beskid i ściągnęli się do gromady pod świerkiem, można już było ruszyć dalej, ale sołtys mówił mi że tutaj przebędziem obiad i południe, i że do Monasteru pociągniemy dopiero na nieszpór.

Przed wielką gospodą stały zastawione stoły z jadłem i napojem, były także kramy z odpustowymi towarami, a wszystko to było już zupełnie inne jak u nas i towary i ludzie i rodzaj targu. Zdziwiło mię to, że nikt z naszej gromady nie zbliżał się do gospody; sołtys mówił mi, że póki ja się nie zbliżę do gospody, to ludzie nie śmia. „Dobry to ten

stary Węgier, Joszka, stary nasz przyjaciel i dziwi mię że dotąd nie zaprosił Pana. Wystrzeliliśmy broń to i nieprzyjaźni nie ma, ale z konia panu zsiadać nie wypada i czy co zieść czy wypić to trzeba na koniu.“ Gdyśmy z sołtysem i jeszcze dwoma góralami ruszyli stępo ku gospodarzowi, wybiegł gospodarz Węgier na w pół drogi przeciw nam i witał serdecznie i ścisnął za kolana. Podjechaliśmy do stołów przed gospodą stojących — gospodarz krzyknął „elien!” — i wypił do mnie śliwowicy. Na wielkiej cynowej misce leżała kupa węgierskiego tytoniu drobno krajanego, kieliszek poszedł kolejno, a gospodarz odbierał kulki z rąk naszych, przetykał je szwajcą którą na łańcuszku u pasa jego wisiała, nakładał każdą starannie i pokładając na każdej kawałek zapalonego czyru, podawał na koń z grzecznością mówiąc: „Niech raczą użyć naszego węgierskiego Duchanu!“ W tej chwili zaturkotała bryczka spuszczająca się drogą od Beskidu ku gospodarzowi...

Patrzę — kto taki? a to nasza stara młynarka z podedworu, której pozwoliłem koni i bryczki, bo się staruszka także chciała dostać za Beskid. Ujrzawszy nas przed stołami, kazała wprost jechać przed gospodę. Zabawny był to ekwipaż: cztery dobrze dobranych małych góralskich koni było w poręcz zaprzężonych, 14 letni góralik powoził niemi, a w bryczce siedziała nisko stara młynarka, a dokoła niej 12 małych dziewczątek ubranych w kwiaty i strojnych świątecznie; było też to raczej do jakiegoś gniazda podobne, bo te małe duszyczki kuczały w koło kwocki niby.

Była to niespodzianka. Stara młynarka uprosiwszy sobie u mnie koni i bryczki, nie nie mówiła, że za Beskid jedzie. Lecz gdyśmy już ze wsi ruszyli, pozbierała dziewczątka, postroiła je w kwiaty, obsadziła się niemi dokoła i odpędziła nas na Beskidzie, gdy ledwo południe było. Radość była powszechną, gdy nasi ludzie bryczkę z starą młynarką i dziećmi ujrzeni: matki poznając swoje dzieci odrywały się od gromady i każda podtykała swojemu dziecku to kukielkę, to jagódki; ale stara młynarka odpędziła matki od półdrabków, i powiadała: „Kiedyście porzuciły dzieci, to dzieci moje, zabierajcie się jedna z drugą, już ja im z głodu nie dam umrzeć kiedyś je zabrała.“ Gospodarz Joszka poznał młynarkę, i witał w kolana, a ona mu powiada: „Nie witaj nie witaj! ale wyjmij z woza i daj co do gęby, bo to dzieci jak kurczęta trzeba co chwila trochę pokarmić.“ Gospodarz podał stołek, wziął na ręce jak dziecko staruszkę i posadził ją na stołku, pocałował się z nią w twarz, a potem wyjmował dzieci, to po jednym, to po dwoje z bryczki i obstawiał niemi dokoła niby wianuszkami młynarkę. Na stołach stało mnóstwo owoców, postawił tedy kosz z czerechami węgierskimi u stóp młynarki, a ona rozdawała dzieciom po garsteczce czerech rwanych z szypułkami. „Nie walać mi ani fartuszków ani rąk ani pysia, bo was tu za Beskidem dziad będzie mył w potoku mietlą!“ Z prawdziwą pociechą patrzyliśmy na ten sztab młynarki, a Joszka powiada do niej: „A oni, pani matko, czy się mi napiją śliwowicy?—„O! o! ja bym Ci za Beskidem śliwowicę piła! a wina to nie macie w Węgrzech? Dasz mi dobrego mocnego czerwonego wina.“

to ja się tu z Tobą i z Panem napiję. — Dobrze, dobrze — mówił uradowany Joszka, i pobiegł do piwnicy, a wróciwszy, dobył trybuszon, dobył butelkę, nalał lampuszki z gęsiorka, podając pierwszą mnie, drugą młynarce, trzecią sołtysowi, a czwartą biorąc sobie. Młynarka wypła lampeczkę do razu; — bryczka odjechała do gospody, zostawiwszy parę koszy około młynarki, i my zsiadliśmy też z koni, bo czas było je popaść. Młynarka dobyła z kosza coś w nową jedwabną chusteczkę zawiniętego: był to gościeniec dla Joszki, piękna drewniana lulka, dobrze okuta, z okazałemi kutasami u cybuszka, oddając mu rzekła uprzejmie: „Widzicie, że i za Beskidem o was ludzie pamiętają! Co to za wino coś mi dał?“ pytała młynarka. — To samo, rzekł Joszka, co zawsze pijecie. „A kiedy lepsze — rzekła młynarka. Węgier począł się śmiać: „Bo o trzy lat starsze, a was tu u mnie trzy lata nie było. To dajże mi go jeszcze!“ Joszka nalał, lampeczkę i postawił gęsiorek przed nami; obsiedliśmy róg stołu, a Joszka nałożył sobie nową lulkę, przypatrywał się z wielkiem upodobaniem jej okazałości i puszczał wielkie kłęby błękitnego dymu.. Teraz też poczęli się i ludzie przysuwać do stołu, kupując chleb, bułki, pijąc śliwovicę i wino, a zajądając węgierską wędlinę ze studzonymi nogami. Co było owoców, wszystkie rozkupiono w parę godzin, z południa były stoły próżne i kramy rozebrane. Joszka chwalił sobie targ i gościnę, kilkunastu domowników wystarczało zaledwo na usłużenie tak wielkiej liczbie ludzi; każdy też płacił biorąc na stronę jadło lub napoje a naczynie i szkło odbierali domownicy dopiero na końcu od każdej gromady.

Okolo czwartej godziny z południa ruszyliśmy z Beskidu, młynarka ze sztabem swoim ruszyła na przód — dalej za nią ci wszyscy, co jechali konno, a rzesza ludu ciągnęła zajmując całą szerokość gościńca. Gdy już nie daleko Monasteru było, dobyły bractwa chorągwie z pokrowców — czekało też i kilku księży już tutaj na ludzi. Młynarka ziechała na stronę, myśmy zsiadli z koni i w okazałej procesyi z rozwiniętymi chorągwiami, śpiewając pieśni do Matki Bożej, ściągnęliśmy do Monasteru na nieszpór. Przeszło 30.000 ludzi było tu zgromadzonych, a prócz dzieci przystępywali wszyscy nazajutrz do Sakramentów. Wszystko nocowało pod gołym niebem, albo w poblizszych wsiach, u starych znajomych. Dnia trzeciego, po mszy wyruszyliśmy z powrotem, ale uderzającą była cisza i spokojność powracającej rzeszy... Podochocał wprawdzie Joszka na Beskidzie i z powrotem, ale każdy używał już bardzo miernie jadła i napoju. Jak radość była powszechną idąc za Beskid, tak spokojność i pewna powaga, gdy się ta rzesza po odpuście spuszczała do domu. Zdało się że ubyło ludzi, a to ubyło tylko wesołości, ale przybyło bydła.

Handel bydłem na Beskidzie jest bardzo żywy: dają bydło na lepszą paszę sobie w zamian — i dziwić się przychodzi, że nieraz przez jedną wiosnę i lato przybędzie cielęcica lub wołu drugie tyle lub więcej. Lepiej odchowują się cielęta na Węgrzech, ale od roku wyrastają wołki i woły lepiej na chłodnych i bujnych paszach, z tej strony Beskidu. Ztąd ciągle związki Górali naszych z węgierskimi, i ztąd poszło zmieszanie rasy i to, że Karpaty nie wydały osobnej

rasy bydła. Wielkie równiny obległy olbrzymi łuk Karpat i trzy rasy stepowego bydła, węgierskiego, włoskiego i podolskiego wołu, zetknęły się na Beskidzie, a odrębny rodzaj paszy wydał tak zwane werchowyskie woły. Ani wół z kampanii rzymskiej nie jest okazalszy: rogi i kształt biorą od węgierskich wołów, ale wagę, budowę kości i ogrom biorą od podolskiego wołu. Gdy spojrzeć na stado takich werchowyskich wołów, zdaje się jak gdyby z suchego lasu wychodziły, tak ogromne sterczą ponad stadem rogi, przytęm ma to bydło wielkie zalety, bo z ręki przez długą zimę chowane jest łagodne, uczne, nakłada się łatwo do jarzma, jest w orce spore, bo ma krok bardzo duży, nie bodzie i nie ma narowów. Nieraz z zadziwieniem patrzyłem na małego chłopczynę lub małą dziewczynkę jak sześć i ośm takich rogaczy prowadziła do wody, z jaką powolnością szły za nią, lub wracały przed nią od wody, oglądając się co chwila i porykując z cicha, jak gdyby się bały, żeby im dziecko nie zginęło, które niemi rządzi.

Przypatrywałem się takiemu stadu werchowyskich wołów w Siankach na Beskidzie, siedząc w cieniu starego buka, z pod którego korzeni San srebrnym wypływał potokiem... Tu u źródeł Sanu w tym uroczysku ziemi były pokoszone łąki dokoła i wonnem sianem pachniał cały Beskid, — a myśl biegła z szumnym potokiem w równiny o mil kilkadziesiąt, gdzie pod wysokim brzegowiskiem starego Sandomierza San domierzył Wisły!. Ostatnie to wody górskie, które Wisła z sobą zabiera — i jak: Grysikob, dział, który rozgranicza dolinę sandecką od doliny

Ropy i Wisłoki, zamyka obszar Góralszczyzny Karpackiej zachodniej, tak środkową etnograficzną grupę, na ruskim Beskidzie, zamykają od wschodu połoniny sanockie.

Beskid opada najniżej na wierzchowinie Wisłoki, około Dukli i Barwinka: na ten też łąk ciągnęła w czasie wędrówki narodów jedna część nawały wędrowniej rzeszy, z północy na południe. Sanoccy i jasielscy Górale tedy osiedli na wielkim szlaku pierwotnych dziejów, i to wpłynęło zapewne nie mało na ich rodowe związki i stosunki z wielką doliną Dunaju. Na wierzchowinie dniestrowej poza połoninami sanockimi, na wschodzie, tam, kędy już wody przewał biorą do Dniestru, zmieniają się zupełnie rodowe stosunki Górali Karpackich.

Ród Bojków i Tucholców z obszaru górnego Dniestru, Stryja i Oporu, z obszaru *Czarnego Lasu*, i Hucuły od *Czarnej Góry*, są głównie pasterzami ale nie są rolnikami, ztąd też nie mają tych cech ogłady obyczajowej, jakie daje powołanie rolnika.

Podłużne ornó lub pasznicze działy sanockiej ziemi, przechodzą w nagle kopczaste góry na wierzchowinie dniestrowej. Formacja dolin niknie tu zupełnie, ciasne tylko debry i żłoby oddzielają ten świat rozkopczony, góry są suche, i bardzo nisko biją źródła. Olchowych potoków niema, ztąd są góry bardzo sposobne do chowania owiec; jakoż zakupują tu owce corocznie Górale zachodniego skrzydła Karpat i Niskiego Beskidu. Góry porastają tu wielkimi pierwotnymi lasami na wierzchowinie dniestrowej od źródeł Dniestru, na całym obszarze Stryja, Opóru, Świecy, Łomnicy i obódwu Bystrzyc, a jeszcze dzik-

szy i nieprzystępniejszy jest obszar Czarnego Lasu i Czarnej Góry na wierzchowinie Prutu i obódwu Czeremoszów. Ztąd też jest i lud tu dziki, bez religijnych wyobrażeń i obyczajów, — rozwiązy, rozpuście wszelkiej oddany i skłonny do rozboju i mordów. Cała ta etnograficzna grupa, ma cechę nie utartego ludu. Dwory, kościoły i cerkwie, są tu bardzo rzadkie; miasteczek niema wcale, lub dopiero na Podgórzu, — kraj prócz głównych bitych gościńców, nie przystępny; obszary wsi bardzo wielkie, lasy nie przecięte dotąd, a ponad górną granicą lasów, wznoszą się pasma połonin, tak rozległe, iż można robić kilkodniowe podróże i nie ujrzyć ani dachu, ani wznoszącego się ogniska z nad lasu.

Cyfry dają tu najlepsze objaśnienie, wieś np. Żabie na Hucułach, liczy dwa tysiące gospodarzy, a posiada 15 mil kwadratowych obszaru. Jaka zaś różnica zachodzi w stanie wód między obszarem Dunajca, Wisłoki, Sanu, gdzie lasy są przecięte, a pod pług góry wzięte, jaka różnica mówię — zachodzi pomiędzy stanem wód górskich Wisły, a wód górskich wierzchowiny dniestrowej, dowodzą tego powódzie górskie. Wody Wisły podnoszą się w jej dolinie do 22ch stóp, a wody górskie wierzchowiny dniestrowej na ujściu Stryja, tylko na stóp 9 nad zwykły stan wody. Przecięcia niebaczne lasów na górskim obszarze Wisły, stanowią o tej różnicy stanu wód i powodzi.

Góry tedy na wierzchowinie dniestrowej są sposobne do chowu owiec i chowu bydła: dzikie pasterstwo jest też głównie powołaniem tego wschodniego skrzydła Karpat.

Już od połonin sanockich zmieniają się obyczaje, pieśni i podania gminne. Do pieśni przybywają „*Poloninki*,” do tańców góralskich przybywa huculska kołomyjka, a i pieśni i podania mówią tylko o słynnych rozbójnikach, którzy w ciągu 17—18, a w części i 19go wieku rozbijali w górach Pokucia, Bukowiny i na Podgórzu Karpackiem. Rozbójnicy ci pod nazwą *opryszków* znani, spuszczaali się z gór, rabowali dwory, cerkwie i kościoły, oblegali podgórskie miasteczka i wybierali w żupach solnych haracze — a dwory i starostwa musiały utrzymywać zbrojnych hajduków, którzy te najazdy odpierali. Były nawet wypadki, że polni hetmani i wojewodowie wysyłaali oddziały wojska na ich poskromienie.

Góry Pokucia i Bukowiny leżą na pograniczu, a w tej stronie nawet, na samem rozgraniczu sadyb sławiańskich: tu tedy zbierała się hołota zbiegów z kilku narodów, i organizowała z miejscowego ludu bandy *opryszków*. Rząd austriacki trzymał przez pół wieku prawie te góry pod doraźnym sądem, uzbroił kilka razy całą ludność miejscową, i jeżeli można powiedzieć, że dzisij właściwie opryszków już niema na tem pograniczu, to nie można za to zaręczyć, żeby się bandy opryszków nie potworzyły jutro—tak żywą jest tradycya mżboju w całym ludzie, że tylko w tych wybrykach sołecznych upatruje on dzielność swego rodu!

Gdy tatarskie i tureckie najazdy od wschodu ustały, poczęły się oganizować bandy opryszków. Huculy najmowali pase na pograniczu Pokucia i Roi Chocimskiej, od chochńskiego baszy. Konie ich pasły się razem ze stadami koni tureckich, i ztąd to

utworzyła się rasa *huculków*, dotąd bardzo jeszcze cenionych.

W tym stosunku do chocimskiego baszy, wyrobiła się niezawisłość Huculów, bo na pusto-paszach nie podlegali właściwie nikomu, więc najdogodniej było wziąć się do rozbojów. Łatwość była wielka dostania broni ze wschodu, a Pokucianie i Hucule mówią dotąd, że pod tureczczyzną siedzą. Równie jak nam musieli te opryszki dokuczać i Multanom, bo po włosku oznacza hucul: *rozbójnik* czyli *zbójca*.

Hucule paśli stada blisko ormieńskiego Jazłowca i Buczacza na szlaku, który od Suczawy przechodził na Podole, dzieląc się, do Kamieńca, rabowali karawany kupczących Ormian i Żydów, napadali dwory, łupili monastery i klasztory, i zapędzali się wzdłuż miasteczek Podgórze aż do Delatyna i Drohobyczy, wybierając haracz od żupników, paląc dwory, wsie i miasta. Spadali zwykle w czasie targów na bezbronną ludność, ale często zapowiadali przybycie swoje, przysyłając przez posłów kartę, na której był oznaczony haracz. Karta taka była na czterech rogach opaloną na znak, że dwór, wieś lub miasto tak spłonie, jeżeli zgodnie haraczowi opryszkom nie złoży.

Matecznikiem opryszków była Huculszczyzna, ale i Tucholce i Bojki łączyli się z nimi, by mieć udział w rabunku.

Bojki są osadą pochodzącą z Bełzkiego. Oszadzano tu tę ludność aby się trudniła dostawą soli z żup Karpackich. Okolica synowódzka trudni się od wieków rozwożeniem soli warzonki po Pokuciu i Podolu, a właściwie po całej Czerwonej Rusi. I w Bełzkiem i na Bojkach przechowało się podanie, że Bojki

są osadą bełzką: więc przesiedlenie to trzeba odnieść w bardzo odległe wieki, bo Bojki mają dziś wszelkie cechy górskiego rodu, a tabory ich podrózne są takie same, jak za czasów herodotowych.

Na równej Rusi nazywają ich solarzami, są to Czumacy górscy. Wołowe maże ładowne solą tworzą te tabory, które wszędzie na równej Rusi spotykać można. — Wszystko jest tu przyrządzone do wielkiej drogi: dobre woły, jarzma okryte ostrzeżkiem, żeby w czasie słoty woły nie odparzyły karku, cały wóz nakryty dobrą słomianą budą na wzdłuż, aby ani sól nie zwilgła, ani człek nie zmókł; maże łubem wyszyte, jednej miary, przy każdym wozie zapaśne osie i dwa nowe koła, drągi jedne przywiązane jak stopnie do luszni, drugie obok kozłów do dźwigania i smarowania wozów, gdy zapadną w błoto lub w głęboką kolej. Pod budą na ciepłych kocach leży w całej drodze Bojek i pocmokuje na woły. Zuchwały i zaczepny, nie ustąpi nikomu z drogi — porywczy jest do kłótni i bójki — a hardy bo sól wiezie, bo ma piękne woły i zawsze grosz w kalicie. Bojki mają swoje solne szlaki, swoje targowiska i gospody. Mazią ciągnie się tabor solarzy po drodze, ale pięknie wygląda kiedy stanie w czystym polu lub opodal karczmy, bojąc się bowiem ognia, trzymają się tabory solarzy zdała od strzech. Bardzo wczesnie stają na nocleg upatrując paszę dla wołów i płacąc za nią solą. Staczają tabor w wielki kwadrat; mający tylko jedną bramę, podobną zupełnie do dawnych wojennych taborów. W pobliżu taboru pasą się stadem wyprężone woły, a gdy paść się przestają, zapędzają je w środek taboru, i tu układa się spokojnie drożny

wół i drzemie lub odżuwa paszę. Bramę zamykają wówczas, zataczając ją dwoma wozami — i po kilku godzinach spoczynku, wyruszają przed świtem w drogę.

Ledwo że przed wieczorem tabor stoczą, rozkładają przed bramą taboru ognisko, dobywają kotłów i warzą wieczerzę. Z poblizkiej wsi lub miasteczka wychodzą ludzie za kupnem soli i mały targ zawiązuje się przy jednym wozie, ludzie przynoszą jaja, ser, masło, krupy, drób, kiełbasy i słoninę, i mienią za sól.

Trzeba tu przyznać, że w tych małych targach łatwo o zgodę. Bojek bywa tu i mowny, i ludzki, i hojny, bo lubi dobrze żyć w drodze, i nie żałuje sobie niczego. Zwykle gdy się taki targ zakończy, nadciągnie szlakiem dziad z lirą idący z odpustu lub od wsi, i pozdrowi podróżnych zdaleka, solarze zapraszają go do ogniska na wieczerzę, dziad rozповіда co słyhać po świecie, a po wieczerzy gra na lirze i śpiewa im pieśni... Nie raz przesiedziałem noc przy takim taborze, i starałem się poznać obyczaje tych solarzskich taborów. Póki się woły pasą, trzymają się hurtu — i tym co je pasą, nie wolno przysiąść ani się położyć na łące. Wozy taboru są tak stoczone, że pomiędzy wozami nie przecisnie się złodziej, wierzchem taboru nic nie weźmie, bo wozy nakryte budami, nie przejdzie go też wierzchem, bo maże trzeszczą, gdyby kto laźł przez wozy; nie przejdzie go też spodem pomiędzy kołami, bo tu na kocu leży Bojek z drągiem, a dziad przy ognisku co spać nie może, ostrzega solarzy gdy się co zbliża do taboru lub koło wozów trzeszczy. Mają też zawsze solarze i koguta w drodze z sobą, który czujnie na

budzie nad taborem siedzi i do świtu budzi — a tak zna się i człowiek pod wozem leżący bezpiecznie, i wół w taborze zamknięty bezpieczny od złodzieja i wilka, i towar na mażach. Gdy taki tabor przed świtem w dalszą drogę znowu ruszy, słyhać skrzyp taboru długo jeszcze wśród nocnej ciszy... a z całego nocnego gospodarstwa solarzy pozostaje jeszcze tylko dziad przy gasnącem ognisku, błogosławi w drogę solarzom, dopiekając reszty ziemniaków przy ogniu.

Szlaki solarzkie ciągną się tak daleko na wschód i zachód, póki się na zachodzie nie spotkają z kamienną solą Wieliczki, a na wschodzie z czumacką solą Limanów. Topki warzonki soli są od wieków herbem Piławy znaczone. Chciano to odmienić, ale lud przestał kupować sól, i powrócono topkom Piławę.

Wspomniałem o osobnej rasie dzielnych huculskich koni. — Jakoż są Hucuły konnym rodem: — na koniu jeździ tu od dziecka każdy, bo drogi są skaliste, góry bardzo strome, przestrzenie wielkie. Na koniu jedzie dziewczyna z konewką po wodę, na koniu jadąc karmi matka dziecię, na wieczornicę jedzie z kądziałą na koniu niewiasta i przedzie kądział, do karczmy jadą na koniu, do miasteczek i na targi wyruszają całemi wsiami — i koń za koniem idąc wspina się stromemi ścieżkami po skałach, spuszcza się z nich ostrożnie, i przechodzi brody szumiących potoków i rzek. Bez konia nikt tu nie ruszy z chaty, czy to do lasu, czy do szałaszu na połoniny, czy do miasteczka.

Cały naród Huculów jest bardzo strojny, i strój świąteczny hucula jest drogi. Są też oni rzeczywiście bogaci: chodując wielkie stada owiec i koni mają dostatek paszy i lasów, sprzedają owce i konie a żyją

przez rok cały prawie zakupnem ziarnem na równym Pokuciu i Bukowinie, mianowicie zaś jagłami i kukurudzą. Huculi są widocznie kaukazkim rodem, który się ciągnął za taborem słowiańskich Ratai, i o wiele wieków później osiadł w górach Pokucia i Bukowiny. Wszystko jest tu wschodnie — cały ród konny i zbrojny w zbroje orientalne. Mężczyźni umią sami robić broń; niewiasta robi dywany i posiada sekreta farbowania wełny o bardzo żywych kolorach. Wzory tych dywanów są perskie, perską jest czapka huculska, a pas czyli raczej szkarłat, który na kurtach noszą, błękitne spodnie, żółty safian, żywy seledyn, i kolor pomarańczowy przypomina jeszcze w Huculach uczucie gry kolorów wschodnich. Obyczajem kaukazkim chodzą tu koło nabiału, — a wszystkie przybory na konia są upięte u siodła i przyrządzone do podróży karawan. Często idzie koń bez uzdy lub nie kielznany przynajmniej, ale zawsze ma na sobie terlicę. Konie są bardzo rozumne, znają dobrze ludzi i górskie ścieżki i we dnie i w nocy, pilnują się same od zwierza i trzymają się człowieka, a przywiązują się do domowników i dzieci, ale pamiętają bardzo długo psotę wyrządzoną sobie, a są tak z ręki chowane, że idą na głos za ludźmi w drodze, i że wracają z połoniny same do domu na znane sobie wołanie.

W moich naukowych podróżach brałem konie pod siodło, zajmując je tylko od miejsca do miejsca, raz, że milej na świeżym koniu jechać, to znowu, że Hucul miejscowy zna najlepiej ścieżki okolicy własnej. W istocie często trzeba się tu spuszczać na konia, na rozum i nogi jego. Ztąd też bezpieczniej jest da-

leko w przepaścistych górach nie kierować konia, a pewną jest rzeczą, że koń tam nawet przejdzie, gdzieby człowiek pieszo a nawet na czworaku nie przeszedł. Kto widoku przepaści znieść nie może, temu bezpieczniej oczy zawiązać, a koń go przeniesie bez szkody. Na czoło karawany, która się po skałach i górach wspina, dają najmądrzejsze, najuczeńsze i najstarsze konie—i wszystko idzie dobrze, póki karawany nie zaskoczy burza: wówczas kładą się konie na ziemi, ludzie przylegają do nich, i pomiędzy skałami lub w lesie przypada cała karawana z trwogą, dopóki burza nie minie. A dziwne bywają te burze, poczynające się ulewnym, ciepłym deszczem, a kończące się gradem lub zamiecią śnieżną. W środku gorącego lata, pobieleje nie raz *Czarna Góra* na kilka godzin, a nie raz na kilka dni śniegiem. Po śnieżnicy podnoszą się konie, otrząsają się ze śniegu i próbują same drogi, ale jeżeli się ze śniegu nabój tworzy pod pęciną, wracają do legowiska i nie ruszą z miejsca, dopóki śnieg albo nie zrzednie albo nie stopnieje. Raz przybyliśmy do wielkiej huculskiej chaty, leżącej już bardzo wysoko, bo w jaworzynach u górnej granicy lasu. W chacie tej wypadało przebyć południe i nająć konie do dalszej podróży. Wszedłszy do chaty, widzieliśmy, że gospodarz był zamożny, cała jedna ściana była kosztowną bronią okryta, dźwirowane gwintówki i janczarki — tureckie noże i kindżały, srebrem, słoniową kością i perłową macicą wykładane, — pistolety, myśliwskie rogi i bukłaki na wódkę i mleko. Wszystko to było na dywanie, który całą ścianę okrywał, ozdobnie rozwieszone. O zamożności takiego Hucula stanowi ilość dywanów, które poskładane

na wzdłuż, ale dobrą stroną do wierzchu, wiszą rzędem na długiej żyrdzi jak opona przed łóżem. Dywanami temi możnaby nie raz kilka chat obić, które poskładane, przed jednem łóżem wiszą. Pomimo to, nie łatwo tu nabyć dywan, strzelbę lub konia — gospodyni nie chce sprzedać dywana, bo mu tak pięknie w chacie wisieć — parobczak nie chce przystać na sprzedanie janczarki, bo powiada, że sobie już dawno u ojca lub dziada upatrzył, a gdyby ją sprzedano — to co weźmie jak pójdzie w opryszki? O kupno konia dochodził już targ — w tym przypada nie widziana dotąd w drużynie dziewczyna, wyskakuje na konia, i pyta co się dzieje? powiadają jej, że koń ma się sprzedać, a ona śmieje się z tego: — A na czym że ja bym jeździła? ja go sprzedać nie dam! — pocisnęła koniem i tyleś ją widział... Stary Hucuł śmieje się.—Widzicie Panie, u nas ludzie się w pieniądzech nie kochają — i dobywa opryszkowski kapelusz ze skrzyni, gdzie cała przepaska kapelusza jest sztukami złota dokoła obszyta. Wszakże, gdzie chata bogata w dywany, w broń, w konie i owce, gdzie dużo dzieci i czeladzi, kraty i okiennice u okien, tam i nocleg i gospoda bezpieczna, bo taki gazda nie trzyma z opryszkami, — a chaty są tak zbudowane, iż zamknąwszy się w nich, można się z dachu bronić i są zwykle postrzelane kulami, wszakże, gdzie ściany chaty gołe, broń schowana w lesie, pieniądze zakopane w ziemi pod korzeniami starego buka, tam albo siedzi opryszek — albo zachodzą na noc opryszki. Najczęściej też w podróżach moich brałem eskortę granicznych strzelców, a popołudniu lub wieczorem, strzelaliśmy z Hucułami do celu, lubią oni bardzo tę zabawkę, i kto celnie

strzela, dla tego mają zupełnie inne poważanie, a nawet ci, co od czasu do czasu jako opryszki prywatyzują po wsiach obcych, zawierają z dobrym strzelcem sojusz.

Żywność i wódkę mieliśmy z sobą, i wkrótce zeszło się wiele ludzi do chaty w jaworzynach. Gospodarz pytał wieleby nam koni potrzeba, a gdy mu rzekłem że 18cie koni — powiada: — Ta to i nas kilku musi z wami jechać,—a dziewczynie kazał zwabić konie. Dowódzca strzelców straży pogranicznej wezwał mnie, abyśmy się przypatrzyli jak dziewczyna konie zwabiać będzie. Dziewczyna wzięła wielką misę z cedrowego drzewa, wsyłała do niej parę garnicy owsa i kilka garści soli, wymięszała tę ponętę z uśmiechem i wyskoczyła na dach chlewu, my stanęliśmy na płocie. Na północnej stronie połoniny pasło się stado koni, ale w tak wielkiem oddaleniu, żeśmy je wziął za owce. Po tej stronie połoniny, która się od obejścia chaty łagodnie podnosiła aż do skalistych szczytów, leżały zielone pasze w rosie.

— Cioś... cio...! cioś... cio...! cioś... cio...! wołała przeciągłym głosem dziewczyna z nad dachu ku połoninie — i ogromny przeciągły głos płynął po rosie, ginał po dwakroć i powracał znowu kędyś od skały... — Cioś... cio...! cioś... cio...! cioś... cio...! wołała dziewczyna i biła dużym gontem na płask o dranicę dachu.

Po kilku przestankach ozwało się z połoniny rżenie kilku koni, zaledwo posłyszane przez nas.

Dziewczyna ponowiła wołanie, a konie dawały odzew coraz głośniejszemu, coraz bliższemu rżeniu.

Jeszcze przed chwilą zdawały nam się bardzo dalekie, ale rosły widocznie w oczach, rżenie coraz

głośniejsze, stado coraz większe, aż już nareszcie zadudniała połonina, a konie lecą co wyskok.... Jak potoki rozpuszczone grzywy, kędziele puszczone na wiatr: widocznie wzięły już dziewczynę na oko, i kierują się wprost na wołanie: Cioś cio! cioś cio! cioś cio! Spuściła się z dachu, skoczyła przez płot i podnosząc miskę w górę, biegła naprzeciwko rżących koni...

Struchlałem, bo zdało mi się, że ją na kopytach rozniosą, ziemia drżała od tętętu, powietrze drżało od rżawy!....

Konie docierając ostro, osadziły się nagle przed dziewczyną, i poczęły się wspinać dęba jak świece, rżąc krótko ale coraz straszniej — szalały dokoła dziewczyny, ale żaden nie tknął jej. Trzymała ona misę z owsem ponad głową i groziła gontem. Po chwili ustatkowały się konie — za klaczami przybyły źrebięta, biały ogier obegnał stado, i spuściwszy łeb, spokojnie włożył go do miski z owsem. Tu wybiegli parobcy z chaty, i zapędzili 46 koni na obejście, a gazda wydawał rozkazy jak którego konia kulbaczyć i które konie dać pod ludzi, a które pod juki.

Do rycerskich zabaw Hucułów, należy rzucanie toporem do celu, i w dniu świąteczne zabawiają się oni tem, z południa, około karczmy. Każdy ma za pasem topór czyli raczej szeroki berdysz na krótkim toporzysku osadzony, — kształtem są te berdysze podobne do starych rzymskich siekier, a rzucają oni niemi tak zręcznie do celu, iż o kilkadziesiąt kroków rzucony topór, świszcząc w powietrzu i przewracając kozły, dzwoni jak kosa, gdy ustrzęgnie w drzewie, które za cel służy. O zakład obcinają wierzchołki świerków rzuconym toporem — o zakład ozna-

czoną gałązkę na drzewie, a jeżeli są zręczni w rzu-
caniu toporem, to umieją się także uchylić od rzu-
conego toporu, i uczą się tego tak dobrze jak rzu-
cania.

Dopóki o zabawę chodzi, jest to w istocie zaj-
mująca gra, ale biada, gdy w gniewie powietrzem
zafurczą topory! Ci, co nie ufają sobie, nie zbliżają
się w lesie ku sobie na rzut topora, dopóki nie sta-
nie przymierze. Jest u Hucułów sposób mówienia
oznaczający nie wielką przestrzeń: „Jak toporem prze-
rzucił.“ — Łatwo się z nimi przymierzyć, ale nigdy
nie można mieć bezpieczeństwa przymierza. Wszyst-
kie też ich pieśni *Połoninkami* zwane, opisują zdrady
i morderstwa. Nie znam poezyj duchowo tak mo-
ralnie skażonej, w którejby rozbójnik był bohaterem
a zdrada i okrucieństwo przymiotami jego. Ten sam
temat powtarza się na różne nuty. Hajduki czyli
watażki robią wyprawę na opryszków, kochanka zdra-
dza herszta przekupiona. Zdradą otoczeni lub więci
opryszki, bronią się z szaloną odwagą, herszta porą-
banego wynoszą Mołojcy w Sine góry, w Czarne La-
sy, gdzie na toporkach ich kona; zabijają kochanki
co ich zdradziły, wydobywają skarby zakopane i roz-
chodzą się po świecie. Ztąd też o skarbach zakopa-
nych, wydobytych i niewydobytych, dotąd jest pełno
powieści i pieśni.

W tej górskiej puszczy „Czarnego Lasu“ i „Czar-
nej Góry“ nie ma zadatków do innego życia — i do-
piero zmiana stosunków społecznych zaczyna wpły-
wać na przekształcenie tych trzech rodów: Bojków,
Tuholców, Hucułów.

Cywilizatorem jest tu pług, i po zmianie zaszczej stosunków włościańskich, po podniesieniu gospodarstwa na równej Bukowinie i równym Pokuciu, szuka ludność góraska zarobków w pracy około roli i cywilizuje się, a postęp ten jest bardzo znaczny dla tego, co go śledzi. Inną była ta góraska ludność, kiedy poczęła przybywać na żniwa na Bukowinę, Podole i Pokucie, a zupełnie inną jest dziś. Obyczajami rolniczymi przejmuje się łatwo na wpół dziki pastuch, a Bojki ogładzają się kupcząc od lat kilkudziesięciu pomiędzy Lwowem a Węgrami, — mają nawet we Lwowie własne targi, i sprzedają przez rok cały suszone i świeże węgierskie owoce, kasztany, bryndzę i winograd.

VII.

Z KRAIN STEPOWYCH.

Cicho a cicho leży ziemia matka —
 Choć tyle razy kopyty zorana —
 Niemo a niemo stoi jak zagadka
 Stara mogiła w stepach usypana...

Jakiemże różnem a różnem obliczem
 Ku niebu patrzy z tego wyniesienia?
 Jakimże głosem dziwnie tajemniczym
 Do żyjącego mówi pokolenia?...



ypem odrębnym w naturze są krainy stepowe
 z należą do nich nietylko stepy właściwe, które
 są już najwyższym wyrazem kontynentalnego klimatu,
 ale i wszystkie krainy zajęte jeszcze panowaniem
 wschodnich wiatrów w ciągu roku wiejących, które
 niby klinem wchodzą w krainy oceanowego klimatu,
 i zajmują całą przestrzeń od stepów Kaukazkich, aż
 do podnóża Karpat.

Charakterystyczną cechą tych krain, zostających
 pod wpływem stepowego klimatu, jest głównie uby-
 tek roczny wilgoci w powietrzu w miarę tego, jak

się od owej linii posuniemy na wschód i ku południowi, od owej linii, na której się jak na wielkiem pograniczu klimatycznem styka klimat morski z kontynentalnym, znajdziemy ubytek wilgoci tak znaczny, że na przestrzeni od ujścia Wiaru do Sanu aż po Dniepr zmienia się w pięciu dzielnicach roślinność, z których każda coraz więcej cechuje roślinność stepową; a kiedy roślinność u podnóża Karpat należy jeszcze do roślinności środkowej Europy, zapowiada już brzeg Dnieprowy częścią na średnim i na dolnym Dnieprze roślinność kaukazką.

Pośrodku między temi granicami panuje odrębna dzielnica roślinności, którą Andrzejowski *Podolska* nazwał: podając pierwszy o niej dokładną wiadomość i oznaczając po części jej granice i przechodnie ogniwa, wyświecił on po raz pierwszy ten fakt, że pomiędzy roślinnością środkowej Europy, a Kaukazką pośrodku, odrębnem jest zjawiskiem roślinność Podola, i owszem, że jest najwyższym wyrazem krain stepowych, zajętych w przeciągu roku panowaniem wschodnich wiatrów.

Prócz ubytku wilgoci jest znamieniem krain stepowych zimna i częstokroć późna wiosna, spiekle i suche lato, długa pogodna jesień, twarda, ztąd i śnieżna, zawiejna zima; urodzajność wielka ziemi w latach dogodnych, zupełny nieurodzaj i niedobór w latach pochybnych, to jest w latach posuchy.

Jak w miarę posunięcia się od zachodu na wschód ubywa wilgoci w powietrzu, niktą także źródła i lasy, tak, iż w końcu natrafiamy tylko na bezleśny i bezwodny step, który nareszcie w słone stepy przechodzi.

Andrzejowski śledząc roślinność Podola na obszarze Dniestru i Bohu, oznaczył cztery dzielnice charakterystyczne, a mianowicie: od okolic Lwowa po Zbrucz pierwszą, od Zbrucza po rzekę Morachwę drugą, od Morachwy po Siniuchę czyli Siną-Wodę trzecią, a od Sinej-Wody po Dniepr czwartą stepową, która stanowi owe przejście do roślinności kaukazkiej, wyrażające się bezlesiem, roślinami morskimi i roślinami słonych jezior.

Za granicę tedy flory podolskiej na południu położył Andrzejowski w ten sposób Dniestr, na wschodzie Dniepr, ale nie odznaczył krain stepowych ani od północy, ani od zachodu, a właśnie na tej linii styka się klimat morski z kontynentalnym klimatem krain stepowych. Krótko tedy powiemy, iż linia ta wychodzi od Czarnej-Hory, górującej na wschodnim skrzydle północnych stoków Karpat, przypada później na dolinę Dniestru u podnóża gór około Żurawna, przechodzi ztąd na obszar i ujście Sanowego Wiaru, a ztąd dalej w Lubelskie, zajmując całą pagórkowatą krainę Lubelskiego i Hrubieszowskiego aż po Wieprz; wykreca się następnie ku Wołyńowi, ciągnie się krańcem wołyńskiego i kijowskiego Polesia i przypiera do Dniepru poniżej Wasilkowskiego powiatu. Południową granicę borów szpilkowych od czarnych czyli listnych lasów można na tej przestrzeni Wołyńskiego i Kijowskiego Polesia uważać za to pogranicze: zapowiada to pogranicze borów linija ostatnich futorów, która się równolegle prawie wytyczyć daje od Dniepru aż w Lubelskie do linii Hut, Rud i Majdanów, należących już do Krainy Borów.

W ostępie tak odgraniczzonego obszaru pomiędzy Dniestrem, Wiarem, Sanem, Wieprzem, pomiędzy Wołyńskiem i Kijowskiem Polesiem a Dnieprem — są prawie wszystkie pomniejsze rzeki na stawy wzięte.

Gospodarstwo rolne starało się tu wynagrodzić brak wilgoci w powietrzu, zwierciadłami stawów, i wód powstrzymanych groblami.

Wszystkie rzeki, płynące z tego obszaru krain stepowych ku Prypeci i Dnieprowi do Bohu i Dniestru płyną na rzędy stawów, które są tutaj nie tylko warunkiem urodzajności krajowej, ale nawet warunkiem osiedlenia, pasterstwa i rolnictwa. Sztukę sypania grobel i tworzenia sztucznych wodozbiórów wypada tu odnieść do tak odległej starożytności, że historia z niej sprawy nie zdaje. Stawy te są charakterystyczną cechą krainy, dają odrębną fizyognomię każdej prawie wsi i należą do największych wodozbiórów sztucznych w Europie. „Sta w nēm Opolem“ nazywa lud ten cały obszar należący do krain stepowych, a „Zborną Wierzchowiną“ nazywa okolice źródłowiska, z kąd jedne wody ku Dnieprowi i Dniestrowi na południe płyną, drugie na północ ku Prypeci, trzecie ku wschodowi i na wschód południowy ku Dnieprowi.

Cały ten obszar jest wysoczyzną, która głównie się pochyła, ku północy na kotlinę Pińską, ku południowi na dolinę Bohu i Dniestru, ztąd też mają tu i okolice świata odrębne nazwy.

„Na „Opaku“ leży Wołyń pochyłony ku północy, tudzież Wołyńskie i Kijowskie Polesie; w „Słonecznym“ leży Podole i Pobereże, pochyłone ku południowi. W „Trawnym“ leży w końcu Wierz-

chowina Zborna, na której się roztaczają wody ku różnym okolicom świata, bo do właściwości tych krain należy, że najwyższe stanowiska jego nie są lasami, ale trawnymi łąkami pokryte, z których wody początek swój biorą. W zwierciadła tedy wód wspartych i powstrzymanych groblami idą po sobie wschodami spuszczać się do głębi jarów, któremi rzeki płyną. Ten charakter głębokich jarów jest tedy znamieniem kraju — i cała malowniczość widoków przypada na jary pomniejszych a wyłomy powiększonych rzek. Z głębi jarów wydaje się kraj górzystym, skalistym niekiedy, ożywiony źródłami, zwierciadłami stawów i wód bieżących, okryty sadami, po zbożach i ściankach dolin okrytych gdzieś lasami i krzewami, na wysokości zaś wysoczyzny wydaje się równym kraj lub lekką falistą powierzchnią bezleśną zupełnie, która tem więcej jest stepowej natury, czem dalej od zachodniego krańca Wołynia posuniemy się na wschód i południe.

Do różnaitości, która znamionuje roślinność krain stepowych, należy w głębi jarów „roślinność wodna“ na wysokości otwartych pól i stepów „roślinność“ „futorów“, które są tem na stepie trawnym, czem oazy na pustyni, to jest ogniskami skupionej roślinności wyniosłego pnia, znamionującej już w całej pełni naturę krain stepowych.

Po mili i więcej można nieraz czółnem lub saniami jechać w szerszą, wzdłuż tych ogromnych stawów przerosłych oczeretami, a są stawy, które dwu i trzy milową przestrzeń zajmują od wierzchowiny do grobli. Osobny to tedy świat, co się tą roślinnością wodną okrył i na wpół z wód wychyla. Wie-

ków potrzeba było na to, aby się z korzeni roślin wodnych utworzyły wyspy i ostrowy, osobne prądy rzek, wśród wód stojących, które nieporastają trzciną ale się lasem niby tylko przewijają kręto, dzieląc wielkie oczerety na międzyrzecza i kępy, na las nieprzebyty, lub odlewając wielkie zatoki odkryte, które *halawami* nazywają. Do najosobliwszych zjawisk i widoków należą tak zwane *splawy* na tych stawach. Są to pływające wyspy i ostrowy, które się już lasem rozrosłych dębów i olch pokryły, niekiedy tak wielkie, że na nich się stada bydła i koni pasą. Widziałem, że na pomniejszych splawach przewożono jak na tratwach ludzi, bydło z jednego brzegu stawu na drugi, popychając się kulami, po dnie stawu; największe też ostrowy, a nawet takie co drzewami porosły, popędza wiatr po zwierciadle wód, i ztąd wróżą na pogodę, lub na słotę, kiedy pływająca wyspa od tego lub owego brzegu odbiła lub przybiła do grobli. Odmienia to całą fizyognomią stawów i okolic i takie *plywające wyspy*, są to rzeczy nigdzie indziej niewidziane.

Siadłszy w łódkę można jak w wielkiej puszczy jeździć i błądzić po całych dniach w tym lesie oczeretów, w których swobodnie żyją i gnieźdzą się nieprzeliczone stada wodnego, błotnego i trzcinnego ptactwa... Na rzędy też tych stawów przypadają wielkie i małe ciągi ptactwa, a zachodni kraniec Podola i Wołynia jest wielkim pogranicznym szlakiem różnych dzielnic wędrownego ptactwa, które stadami w przelocie, zpuszcza się na zwierciadła wód i w każdej prawie porze roku na tych stawach żer, i bezpieczną znajduje gospodę. Pożary oczeretów na głu-

chej jesieni lub zimą należą do osobliwszych zjawisk tych krain. W lesie oczeretów, gdy je opuści ptactwo, snują się wilki i lisy, podchodząc nieraz ku wsiom i zagrodom; gdy się stawy lodem pokryją, — i do osobnego rodzaju łowów należą polowania po trzcinach.

Formacya kred i wapieni otwiera tu mnogie źródła po ściankach jarów i u dna dolin. — Rzeki mianowicie niektóre, płynące skalistym korytem mają spadek znaczny, obfitość wód, i pozór na wpół górskich rzek, które z szumem i wodospadami uchodząc ożywiają kraj, lub zpadając z wysokości grobel, wielkie odchodziska tworzą, żyźnemi łąkami pokryte.

Środkiem prawie tego obszaru, gdzie wysoczyzna Wołynia, Podola i Ukrainy góruje, legła płyta *stepowego granitu*, która w okolicy brodów i źródeł Bugu na zachodzie po raz pierwszy swe szczyłby wychyla, a następnie jednostajnym pomostem całą przestrzeń aż do południowego Uralu zalega.

Rzeki płynące od wierzchowiny zbornej Podola i Wołynia, tudzież od wysoczyzny Machnowieckiej, lub w końcu od grzbietu podolskiego, który dorzecze Bohu od dorzecza Dniepru oddziela, rzeki mówię te, zpuszczając się do jarów, odkrywają miejscami na znacznej przestrzeni tę płytę stepowego granitu, tworząc szypoty i wodospady, a na rzekach większych, jak na Dnieprze Bohu i Dniestrze, porohy.

Na linii, gdzie się płyta stepowego granitu styka z formacyami kred i wapieni, tryszczą mnogie źródła, które zasilają potoki i rzeki. Tej okoliczności zawdzięcza kraj nawodnienie swoje, a nawet jeszcze

na obszarze krain stepowych z tej strony Dniepru to, że się osnuł stosunkowo dosyć gęsto siecią wodną.

Cały ten obszar jest paszniczy i orny, lasami ocieniony na opaku, w głębi jarów i na linii podolskiego grzbietu, który ztąd Andrzejowski *Podolskim*, nazwał *Polisiem*.

Zresztą charakteryzują niewielkie dąbrowy i czarnoleskie gaje, zrzadka po tym obszarze rozrzucone, fizyognomię kraju.

Rzeki płynące z tego obszaru ku północy, ku południowi i na wschód, płyną w dosyć równoległym kierunku do siebie i uderzają prawie zawsze pod prostym kątem na dolinę lub wyłomy rzek głównych, niezmieniając swego kierunku, bo płyną w głębokich jarach łożem skalistym.

Z przyczyny braku wilgoci w powietrzu nie są tu znane powodzie tak znaczne, jak na obszarze Wisły lub Niemna. Rzeki ku Bałtykowi płynące są daleko dłużej na ujściu swoim lodem pokryte. Wody te, które naprzód na górnym biegu kry znoszą, natrafiają na dolnym biegu tych rzek na niezłamane jeszcze lody i zrzadzają wylewy. Na obszarze krain stepowych ma się ta rzecz inaczej. Dniestr poniżej Dubosar, Boh poniżej Olwiopola, a Dniepr poniżej Kudaka, nie okrywa się lodami, któreby wodom opór stawić mogły, ale inny jest tu fakt. Na porohach dniewprowych zparte wody występują w górze aż w kotlinie Pińskiej, i zrzadzają tam wylewy; w czasie znacznej powodzi idzie około 460 mil kradratowych pod zatop wód, tworząc wielkie śródziemne jezioro, a na wyłomie dniestrowym zparte wody gorzkie zrzadzają wylewy na podnóżu Karpat poniżej

Sambora i Koniuszek, w dolinach Dniestru, Strwiąża, Świecy i Stryja, a 20 kilka mil kwadr. idzie tu pod zatop w czasie powodzi. Z tych samych tedy przyczyn ponawiają się w dwóch, tak odległych od siebie okolicach, leżących na krańcu krain stepowych, te same zjawiska to jest w Samborskiem i w Pińszczyźnie. Fakta te trzeba z sobą połączyć, bo dają one właściwe pojęcie krainy to jest, że tak Dniepr jak Dniestr i Boh stepowy, jest zasilony wodami z górnego biegu— i gdyby tych trzech rzek niezasilały te wody, to nie płytkie limany, ale bagna zalegałyby krainę ich ujścia.

Już od Nizniowa w dół, przybiera Dniestr pozór rzeki stepowej, i płynie głębokim wyłomem bardzo kręto pomiędzy malowniczymi brzegami, na całej przestrzeni biegu swojego, aż do Dubosar. Wyłom ten należy do najpiękniejszych okolic w Europie, i odsłania także mnóstwo coraz świeższych i nowych widoków, tak niespodzianie na zakrętach rzeki, iż tylko żałować tego przychodzi, że nikt o tém nie pisze, że nikt tego nie zwiedza, nie podziwia, nie rozśławia, lubo ani wyłom Renu, ani wyłom Dunaju nie może iść w porównanie z pięknosciami Dniestrowego wyłomu. Wszystko tu się zbiegło na podniesienie piękności widoków natury: bujna i arcy-rozmaita roślinność, odkryte skały, wielka urodzajność ziemi, pyszny widok rzeki, grody, dwory i zamki nad jej brzegami zawieszane, źródłowe wody spadające w potokach szumnych. po zboczach i skalistych ściankach wyłomu, do zacisznego jaru, a nadewszystko koloryt tych skalistych formacyj i roślinności rozmaite tworzy co chwila krajobrazy, nowym uderzające urokiem, wielkością, i tak niepowszedniem zebraniem różno-

rodnym wrażeń, iż płynąc Dniestrem tym wyłomem zaledwo wytrwać można widokom, które co chwila inaczej porywają duszę!..

Kiedy susza i jednostajność nuży oko na wysokości odkrytych pól i stepów, to cały kraj ożywia się do razu, w miarę tego gdy się zbliżamy do głębokich jarów lub wyłomów rzek — osobna to dzielnica roślinna i metereologiczna. Wody utrzymują tu wilgoć wzdłuż tych jarów i wyłomów, poranne i wieczorne mgły przysłaniają na krótko piękności widoku. Gra tej mgły ożywia całą roślinność. Inaczej oddycha się w tych dolinach powietrzem odświeżonym rosą i wonią roślin które bujno idą od rozrosłego czarnoleskiego dębu począwszy i klonu drobniolistnego, który tu wielkości dębu dorasta, aż do kasztana, który się pokrywa szerokim liściem, dyni i kawonów, bujną trzciną kukurudzy i kwitnącemi łąkami tytoniu. Formacje naddniestrowe zmieniają się w odkrytych pokładach, uderzają też oko żywym kolorytem szarych, różowych, seledynowych, białych i czarnych skał naprzemian, po których lasy, winnice ogrody, łąki i potoki, i kwitnącemi krzewami obrosłe ścianki spuszczaają się do wód. Ostrowy też wysokie i orne kępy wśród Dniestru, przyczyniają się także niemało do nadania różnaitości tym widokom, które w jednym kierunku nie raz dwa a nawet trzy zakręty Dniestru odkrywają oku. Już samo koryto Dniestrowe, które jest niby rzędem podłużnych jezior, oddzielonych od siebie podwodnemi groblami, sprawia, że ten sam Dniestr staje się co chwila inną rzeką, bo cicho, jak zwierciadło stoi jego powierzchnia, gdy na jezioro płynie, a tam, kędy na pod-

wodnych groblach wody przewał biorą, staje się do-
razu niby górską rzeką, i tu uchodzi z szumem two-
rząc wiry i prądy, szypoty i wodospady, uderza w ca-
łym pędzie o skałę i odwraca się od niej nagle, od-
słaniając znowu widok jaru na milowej przestrzeni
szeroko...

Jak zparte na tych zakrętach dniestrowych wo-
dy zrzadzają wylewy na górnym Dniestrze, tak też
wspiera się na nich kra, gdy ją wody znoszą na
wiosnę.

Na całą noc wyruszyliśmy z Kamieńca Podol-
skiego, chcąc się przypatrzeć temu, jak kra idzie na
Dniestrze, bo dano nam znać, że lada chwila kra
ruszy. Noc była ciepła—cichy deszczyk opuścił się
z wieczora, zapowiadający już wiosnę; — bardzo na-
gle tajało i droga była z każdą chwilą gorsza; we
wsiach garnęły już osie rozkal wiosenną, — było to
po twardej, ciężkiej i długotrwałej zimie, i choć jar
Dniestrowy jest cieplejszy od całego Podola, trzymał
się jeszcze lód na Dniestrze, lubo się już wody na
lód dostawały. Niewielka to przestrzeń z Podolskie-
go Kamieńca do Dniestru, a jednak jechaliśmy noc
całą, i gdyśmy rankiem do dworu nad brzegiem Dnie-
stru przybyli, zaturbował się niemało gospodarz, jak
nas do Dniestru dostawi, bo rozkal już była tak wiel-
ką, iż nie wiedzieć było jak i czem wyruszyć ze
dworu. Wierzchowe konie zapadały po kolana w błó-
to, wózki i bryczki garnęły błoto osiami. — Zaprzę-
żono tedy woły do wielkich sań i wlokąc się przez
godzinę w poprzek zagonów, gdzie jeszcze zamróż
trzymał, dobiliśmy się w końcu do Dniestru, który

od dworu niedaleko wprawdzie płynął, lecz przedzielony był wzgórkami od niego.

Osobliwy widok uderzył nas, gdyśmy z góry w dolinę Dniestru spojrzeli! Nagłą ścianą skalistą zpadał tu brzeg aż do głębi jaru, a cała powierzchnia Dniestru była wysoko najeżona styrmami szarej kry: dwie znaczniejsze skały tych lodów wznosiły się tuż pod nami, poniżej nich była już powierzchnia wody z kry oczyszczona, powyżej nich cała krą pokryta, jak daleko oko sięgło — nasuwały się co raz nowe całuny kry, i zdało się, że lada chwila podniesie się woda i zaleje jar cały, bo kry posuwały się natarczywie, wydając to jakiś gwizd przykry, trąc się jedne o drugie—to głuchy jakiś huk, ale silniejszy od grzmotu dział, którym echo dawało rozgłos po skałach.... Był to jakiś dziki i straszny widok zniszczenia i walki żywiołów! — Ze styrmów kry, zpadała woda w szumiących potokach, a zator kry, który się utworzył na podwodnej grobli, sterczał potężnie i groźnie — sam do skały podobien, okrytej górskimi potokami.

Nie można się było obronić od pewnego rodzaju przerażenia, chociaż na bezpiecznym lądzie nic nam nie groziło, ale to przerażenie wzrosło, gdyśmy się rozpatrzyli po dnie jaru.

Na odmiale nad samym Dniestrem leżała zagroda, a całe obejście było już krami zasute — z pomiędzy olbrzymich płyt lodu sterczała tylko jedna strona tego dworku, którego już nie było widać z pod kry.

Gospodarz załamał ręce!—Co się z biednym weteranem moim stało?! rzekł zadumiawszy się sam do

siebie i patrzył nieruchomo w groźną przepaść jaru; po chwili odszukał ktoś inny, tuż pod nami na skale kilka postaci, które się zrazu zaledwie ruszać zdały, gdyśmy parę wystrzałów dali, odhukał głos mężki na wołanie nasze, i teraz dopiero odszedłszy nieco z miejsca, mogliśmy się z boku dokładnie przypatrzyć tym postaciom. — O sto sążni może niżej od nas, stał na łomie skały, do którego już kra przypierała, jakiś człowiek i trzymał krowę za rogi — obok niego siedziała niewiasta z dziecięciem na ręku, i tuliło się troje owiec wraz z psem domowym. — Miejsce na łomie skały było tak małe, że się to wszystko razem ledwie ruszyć mogło — skałę dokoła otaczała kra, a nad nią wznosiła się pionowa ściana tak przykro, że się trudno było zbliżyć do brzegu tej przepaści.

— Jak tu ratować tych ludzi? rzekł zakłopotany gospodarz. — Gdyby nawet powiązane drabiny co mam we dworze wystarczyły—to jak je tu przywieźć, i o co je oprzeć? Samą drabiną możemy pozabijać ludzi, bo to się widzi blisko, a jest najmniej do stu sążni — więc ruszać mi, i przywieźć ze wsi wszystkie łyżaki i liny — bo lada chwila może się podnieść ten zator kry i zmiele tych ludzi.

Każdy, ilu nas było, przemyślał nad sposobem ratunku — i już od tej chwili nie było dla nas widoku kry, — lecz tylko niebezpieczeństwo, które biednym istotom na tej skale groziło, wprawiało wszystkich w coraz większy niepokój.

Gospodarz przewidując, że z wycieczki nie tak prędko powrócimy, nabrał z sobą prowiantu. Radzi

bylibyśmy się podzielić teraz tym posiłkiem z tymi, co tam pewno pod skałą łaknęli, ale jakże to podać? Kilka lekkich rzuconych przedmiotów jak gałki z siana i słomy, nie trafiały nigdy na skałę, lecz odbiwszy się od pionowej ściany, przenosiły ją i padały na kry.

Słońce już było podbiegło wysoko, gdy nareszcie ze wsi przystawiono zwoje łyczaków i lin, pęki postronków i kilka lepszych drabin.

Człowiek na skale, było właściciel dworku okrytego krami — weteran, który po wielkich wojnach francuzkich przybył ze starościcem Opinogórskim — bo był z tych stron rodem i osiadł w zagrodzie, na której jeszcze zastał matkę. Wszyscy w okolicy poważali go, więc zaturbowanie było nie małe, — gdy w owym człowieku pod skałą poznano weterana, którego dworek kry były już zasuly.

Hukanie dochodziło wprawdzie od nas do skały i od skały do nas — ale ani rozmówić ani zrozumieć nie można się było, bo huk kry i wody przygłuszał nawet wystrzały. — Spuszczono naprzód tedy powróż z kartką papieru i ołówkiem, owiniętych gałką siana; — godzinę może trwało, zanim odgadnąć można było długość sznuru i naprowadzić go w prostym kierunku na skałę, choć się to zrazu tak łatwą rzeczą wydało, bo wiatr sznur odnosił, to zaczepiał się na skale, na krzakach i drzewach! — Jak was ratować? — zapytał gospodarz; — a gdyśmy wpowrót sznur wyciągnęli, stała na nim taka odpowiedź: „dobę już tak stoimy tu — kry się podnoszą — niema ratunku, jeżeli zginiem, krzyż tu postawić.“

Rozpacz ogarnęła nas wszystkich — spuściliśmy grubsze liny i łyczaki po ścianie, a uwiązawszy do

dołu wielki kosz splowy w którym była żywność — spuścił się szczęśliwie tuż obok skały tak, że weteran mógł jeszcze ręką sięgnąć do kosza — wyjął tedy żywność z niego i zrozumieliśmy że włożył do kosza dzieci, ale on ostrożniejszy od nas — włożył jedną owcę do niego.

Z ostrożnością największą ciągnęliśmy kosz w górę — uderzał o skałę, kołysał się jak wahadło w powietrzu. — Gdyśmy kosz wystawili na brzeg, nie żyła już owca z uderzeń o skałę, które nam się nieznanymi wydały a były tak silne, że pokrwawiły owcę, która się niespokojnie rzucała i z kosza wychylała głowę. Nie było tedy ratunku — i zrozumieliśmy to, że weteran ani żony, ani dziecka, ani siebie w tym koszu ratować nie zechce. Spuściliśmy tedy kosz napowrót, aby w ostatnim razie trzymać go na linach w powietrzu powyżej skały, gdyby się kra podniosła, lubośmybardzo wątpili, czy się to na co zda.

Słońce tymczasem stało na południu i przygrzewało tak mocno, że w koło nas, coraz większe szumiały potoki. Po godzinie może, poczęły się dymić kry i mgła waliła się bałwanami wzdłuż jaru i zakryła w mgnieniu oka prawie i dolinę i cały widok kry spartej i skały po obydwu brzegach i nieszczęśliwych na skale oczom naszym...

Strasznie tylko huczały i szumiały wody pod tą powodzią mgły gęstej, i echo roznosiło huk pękających lodów i chrzęst trącej się kry.

Zwątpieni, osiedliśmy ognisko, czekając jak się to rozwiąże. Około czwartej z południa, ozwał się huk grzmotu tak silny, jak gdyby z całych baterii dawano salwy. Mgła się poczęła bałwanić niespokoj-

nie, widocznie podrywana spodem, prądem zimnego powietrza i poczęła ustępować z góry naprzód, z kądem kry niosło, — a gdy cały znowu odsłonił się jar, zniosły były wody już krę.

Lodowe styrmę opadły i Dniestr tylko bałwanął się wielkimi falami, które płyty lodu druzgotały. — Spojrzeliśmy na skałę, licząc niespokojnie, czy czego nie braknie. — Krowy nie było — a weteran siedział obok żony, która na skale leżała. Wąwóz skalisty, który prowadził do zagrody weterana od wioski na wysokiem brzegowisku leżącej, był już im teraz przystępnym, lubo jeszcze cały zawalony krami. Wziąwszy tedy więcej ludzi ze wsi, udaliśmy się tym wąwozem skacząc z kry na krę wzdłuż dniestrowego brzegu, by ponieść ratunek weteranowi, który się u skały dotąd ani ruszył. W opłakanym znaleźliśmy ich stanie, uchodząc przed nagłym najściem kry z domu, byli lekko ubrani i prawie więcej doby bez żywności, pomiędzy owcami leżało dziecię, które ocalenie swoje ich ciepłu tylko zawdzięczało. Śmiertelna bladeść okrywała twarz weterana, który się dopiero podniósł, gdyśmy się już na skałę wspinali. Wyczerpanie sił tak moralnych jak fizycznych było znaczne, bo straszne rzeczy przeszedł od doby — drżąc o życie dziecka i żony, która bez sił, w omgleniu prawie leżała na skale. Na noszach wyścielonych kocami, zabraliśmy chorą z dzieckiem. — Weteran posiliwszy się nieco, utykał z naszą pomocą po krach, wesoło tylko biegło owiec dwoje obok domowego psa, który uszczęśliwiony ratunkiem swych państwa, z radością oszczekiwał wszystkich i biejąc przodem, prowadził. Mozolny to był pochód — co chwila ważyły

się lub łamały kry pod nami, któremi był pokryty cały brzeg Dniestru, i dobrze było już ciemno, gdyśmy się w skalistym wąwozie do pierwszej dobili chaty. Tu zastaliśmy już pościel i żywność, którą ze dworu naprzeciw nas wysłano, domyślając się, że znękani nieszczęśliwi będą potrzebowali prędkiego spoczynku po takich trwogach i takim wyczerpaniu sił. Nocowaliśmy razem z nimi w tej chacie, świecąc przez noc całą. Dziecię było zdrowe, i gdy je pokarmiono, spało najszcześliwiej — ale matka usypiała tylko na chwilę od znużenia gorączkowym snem, i zrywała się co chwila z trwogą, bo się na nią kry nasuwały we śnie. Weteran był w kozuchu ubrany, gdy się na skałę schronili, ale zdjął kozuch i ubrał w niego żonę, którąby była przez ciąg doby od zimna skostniała. — Przeziąbł tedy mocno i rozgrzewał się przez noc gorącym krupnikiem przy ognisku paląc lulkę, za którą bardzo zatęsknił. Gdy się mgła do jaru spuściła i zakryła go oczom naszym, w tejże samej chwili podniosły się kry tak wysoko, że najbliższa uderzając o skałę, zmiotła z niej krowę. To uderzenie krowy zważyło go z nóg, bo trzymał krowę za rogi, poczem słyszał huk straszny pod sobą i nad sobą — a kiedy z odurzenia przyszedł do siebie, nie było już mgły ani kry na wodzie. Tu dopiero widząc że jest uratowanym, opadł ze sił, i dopiero nasze wołania ocuciły go na nowo.

Powieść o tym osobliwym wypadku rozeszła się po okolicy i gdy drogi otężały, odwiedzali wszyscy weterana w jego zagrodzie, obdarzając i ciesząc się z nim razem, iż cudem prawie uratowanym został.

Gdyśmy gō już w zagrodzie jego odwiedzili, była pierwsza wiosna w pełni, wiosennemi kwiatami okrywały się ścianki dniestrowe, derenie stały w pełnym kwiecie. Gospodarza nie zastaliśmy już w domu.

— Gdzież mąż?

— Stawia krzyż na skale.

Stary wachmistrz ociosał własną ręką pień młodego dębu, odłożył topór widząc, że się ku niemu zbliżamy, powrócił więc z nami do gościnnej chaty którąśmy po raz pierwszy ujrzeli byli przywaloną krami, a w której dziś wesołość zagościła z dostatkiem.

Nic bardziej zajmującego jak wielka warcabnica uprawnych ról i łąnów w krainach stepowych, mianowicie zaś w czasie, kiedy każdy rodzaj zboża inny przybiera koloryt, a łąny hreczki kwitnącej, wydają się z daleka do wielkich jezior lub stawów podobne: szmaragdowa zieloność ozimych posiewów, émi i mieni się po czarnych rolach tak bujno, że, kiedy stado gawronów na zaruniony łąn spada, ginie rozbita chmura ptactwa w tym runie, jakby cudem do razu, i zaledwo pojąć można, jak i na czém się ta chmura rozbiła. Rosy też obfite, które nawet pod najsuchszą porę ożywiają roślinność, dodają nie mało uroku tej ziemi. Już słońce nieraz podbiegło wysoko, a tu stoją jeszcze całe kielichy kwiatów, i zwoje bużanów napełnione wodą tak, że się z nich nietylko ptaszek, nietylko zwierzątko, ale i człowiek wody napić może; na roślinach też szerokiego liścia, i na wszystkich tykwowych rozłożystego liścia, skrapla się rosa, jak gdyby w talerzach.

Gdzie człowiek gospodarzy pługiem, tam wypuszcza natura z opieki i gospodarstwa swojego te ziemie stepowe; ale gdzie człowiek w odłóg puszcza step, tam rozpoczyna stepowy płodozmian na nowo gospodarstwo swoje.

Stepowy, mówię płodozmian — który z kolei zawsze po sobie następuje. I tak: po zbiorze oziminy, rodzą się nie raz jeszcze w następnym roku padaliczne zboża, które nie gorsze bywają od sianych, zazwyczaj daleko lepsze, a to głównie dla tego, bo zboże ledwo z kłosa opadłe, kielkuje już pod wpływem bogatej rosy i zarunia ziemię i nie dozwala się podnieść chwastom, na których czas kielkowania dopiero na wiosnę przypada. Po padalicznym roku, jeżeli stepowe ziemie w ugor idą, schodzi gęsto na całym łanie zaraz z wiosny dziewanna, i pędzi w górę tak silnie na sześć do ośmiu stóp, iż kiedy do kwiatu dochodzi, to staje się lasem. Aksamitne, mszyste, bujne liście dziewanny, rozkładają się szerokim wieńcem na ziemi, a z tego wieńca wystrzela smukła kolumna, która się dokoła złotym okrywa kwiatem. W stepie, gdzie brak dodatnich kolorów, świeci złocisty las dziewanny, zdaleka patrząc na niego, i wiedząc o tem, co to nasienia z jednej takiej wytryśnie kolumny, sądzićby można, że cała okolica z tego posiewu zarośnie dziewanną, ale gdzietam! — Wiatr zimowy i śnieg połamał smukłe kolumny, zwierzały na burzy, wyschły i znikły na wietrze, a tam, gdzie jeszcze tak rok był las dziewanny, ani jednego jej krzaczka nie znajdziesz, i ani jedno ziarnko z całego jej posiewu nie kielkuje.

Po roku dziewanny idzie rok bylicy (*Arthemisia*). Siwawo srebrna, a później szara zieloność okrywa tu te odłogi gęstemi zaroślami bylicy. Inszy jest poziom wiatru, kiedy szumi w lesie dziewanny, któremu się opierają silne, wysmukłe kolumny, a inszy wśród zarośli bylicy, której wątle i soczyste latorośle, nie dają wiatrom odporu.

Gdy dwa lata pogospodarzył wiatr na tym ugorze i naniósł puchy bodiaków, które nieraz w całej runa zwija, pędząc niemi stepem, następują po roku bylicy, roki bodiaków, i cały step okrywa się ostrym listowiem, ozdobnych liści naprzód, następnie różowym, czerwonym i białym kwiatem, a w końcu srebrnym puchem; -- nasion kilkunastu rodzaju ostów, które znowu swoją kolej mają.

Dzika roślinność stepu, zdaje się być tutaj w pełnej sile. Panowanie ostów trwa po bylicach dwa a nawet trzy lata, i ani dziewanna ani bylica nie dochodzi tej siły i wielkości, co oset; ztąd też może tu być mowa o lesie bodiaków, w którym się i zwierz, koń i człowiek przechowa pod ochroną tego lasu.— Dopiero poczyna się okrywać ziemia pasznistemi trawami, naprzód rocznymi tylko, a następnie już i zimotrwałymi, i w miarę jak się runo traw zrasta i okrywa ziemię, niknie zwolna las bodiaków.

Paszniste stopy koszą się jak łąki,—dopóki step nie zdziczeje, to jest: dopóki słoneczne mchy nie przygłuszą traw pasznistych.

Stepy zdziczałe były ztąd *dzikimi polami* zwane; okrywają się one rudą, martwą zielonością, kępami kretowin porośniętych mchem, gniazdami susłów i chomiaków, i na nich składa szarańcza swe jaja.

Już od Pokucia i stepowej Bukowiny, na podnózu Karpat począwszy, aż do ujścia Dniestru—i pod Dniepr Dolny, powtarzają się te zjawiska dzikiej roślinności stepowej, dowodząc tylko tego, że w różnych głębokościach wierzchnego pokładu ziemi, leżą przysposobione nasiona, które w miarę przyjaznych dla siebie wpływów, okrywają jednostajną roślinnością ziemię, podług przyrodzonej kolei dzikiego płodozmiannu. Trudno zrozumieć naturę krain stepowych bez widoków postaci ludzkich przywiązanych do niego.

Dziad lirnik na tle mogiły, oto prawdziwa ilustracja tamtych okolic.

Ostatni Lirnik.

...Wiatr wielkim młyńcem po stepach się żeni —
 A na zachodzie słońce bez promieni
 Niby to kula czerwona się żarzy —
 Orzeł na niebie pogodnym się waży
 I w wielkich kołach okrąża pustkowie..
 Zdała huk jakiś idzie po dąbrowie —
 I gdy wiatr zmilknie, tylko z cicha szumi.
 Morze bodiaków — i białe ich puchy
 Jak srebrne runo do ziemi przypada —
 Grę tę mogiła dla siebie rozumie,
 I patrząc w stepy o niej opowiada —
 A radę dzielą te stepowe duchy...

Pomiędzy morzem bylic i dziewanny
 Przycicha nieco ten szum nieustanny —
 I tutaj usiadł starzec na mogile:
 Znać dziad wędrowny spoczął tu na chwilę,

Łaskawa koza legła mu przy boku,
I wsparł się na niej i zagrał na lirze —
Koza uszkami w step daleki strzyże,
A starzec widać światła nie ma w oku...
To ślepy lirnik. Czy mu przewodnikiem
W życiu tem koza? A i któż to zgadnie
Jakim do siebie mawiają językiem?
Lecz znać się zdają, bo legła układnie
I za lirnika patrzy koza w stepy
Mądrze i czujnie — i jest jemu okiem,
Bezpieczny zna się starzec pod jej bokiem,
I gra spokojnie, choć i sam i ślepy.

Stepowe susły lubią dziwnie granie,
Więc naprzód jeden podbiegł jak na szpiega,
A potem drugi i trzeci podbiega
I całe gniazdo susłów niemo stanie,
I graniu liry dziwi się zdumione,
I u stóp starca cmoka niestrwożone —
Wię o tem lirnik, bo się ku nim zwrócił
I garść okruchów z torby im wyrzucił —
Pierzchnęły z razu, lecz się znowu nęca
I co raz większem stadkiem w koło kręca,
I jak chowane idą na okruchy —
A starca cieszą te stepowe duchy,
A mądra koza co legła pod bokiem
Ani się ruszy, ani mrugnie okiem,
Aby nie spłoszyć takich gości miłych
Na ucztę dziada i liry przybyłych.

Słońce stanęło teraz na zachodzie —
Więc i ostatni promień tego słońca

Rozlał blask złoty po lirnika czole,
 Po siwych włosach i srebrzystej brodzie —
 I twarz poważna, miedzią ogorzała,
 Już sama jedna w stepie tylko pała
 Jakby złożona na złocistym kole...
 W tém, ktoś się zbliża przyspieszonym chodem —
 I pierzchły susły — starzec się ocucił,
 Więc i oblicze ku tej stronie zwrócił —
 Koza beknęła — koźle biegnie przodem,
 A za niem chłopak ze dzbanuszkim mléka —
 I starzec ściągnął rękę do napoju,
 A koza leży jak dotąd w spokoju
 A małe koźle z chłopakiem się tryka. —

.

Znałem w młodości mojej takiego lirnika, chodził on od wsi do wsi i był od wszystkich znany i lubiony, bo śpiewał pobożne i światowe pieśni, miał głos bardzo wyrobiony i przygrywał po mistrzowsku na lirze. Głęboka czułość i dobór pieśni które do każdej chwili dnia i nocy stosować umiał, skupiała koło niego gromady ludzi, wszędzie gdzie się tylko przysiadł — wszędzie gdzie się tylko ozwało granie jego liry. Dziwnie też umiał obierać miejsca spoczynku i chwilę, w której przybywał do dworu lub do wsi. Tu przysiadł się na okopie cmentarza, tam około bramy, około cerkwi lub kościoła, pod krzyżem wiejskiej drogi lub na mogile, a kiedy się lira jego ozwała w krótkich żalonych przygrywkach, biegły niewiasty i dzieci ku niemu, a ze dworu wy-

chodziła cała drużyna, by się przysłuchać graniu jego liry i pieśniom starego Panka.

Wszyscy znali go i witali jak znajomego; wiekowym ludziom przypominał on ich dzieciństwo, a kilka pokoleń przeszło za jego pamięci; nie żebrał też Pańko nigdy, nie zachodził do chat i dworców po jałmużnie; — dość było gdy się jego lira ozwała a już wszyscy pospieszali z datkiem, pokarmili i odziali starca, przytrzymali go we wsi, poczem znowu dalej odchodził zegnając starych przyjaciół.

Pamięć miał szczególną, choć od lat wielu bardzo, był zupełnie ciemny, poznawał go głósie ludzi w każdej wsi, i nie tylko ludzi ale nawet dzieci, dla których w torbie zawsze jabłka nosił, równie jak dla niewiast skaplerze i koronki, po które rok rocznie do Podkamienia i Poczajowa chodził.

W okolicach Szczerca i Komarna przebywał zwykle przez zimę, ale już z wiosną wyprawiał się w drogę na Podole i Pokucie zwiedzając miejsca odpustów, a powracał dopiero zazwyczaj jesienią po zbiorach w okolice Komarna, napowrót, gdzie w małym przysiółku w domu młodej gospodyni zimował. *Pazia* dbała o lirnika jak gdyby był jej blizkim krewnym i najbliższym sercu, miała to sobie poleczone od matki aby dbać o Pańka i zimować go w chacie to się błogosławieństwo będzie trzymać chaty; — tu tedy miał Pańko zimową izdebkę dla siebie i staranie Pazi, chociaż każdy radby go przezimował, ściągał się jesienią do Pazi i przynosił gościeńce dla wszystkich domowników i dzieci, a nieraz się zdarzało, że go dobrzy ludzie na wózku przywieźli, jeżeli go już w drodze jesienna zapadła ślota.

Po wsiach mówili sobie ludzie, że Pańko miał wielkie pieniądze i że je składał u Pazi, rzeczywiście trzymał się dostatek chaty, a Pańko był zawsze stosownie do pory roku ubranym ubogo ale czysto, bo Pazia dbała o niego, a wiedząc o tem gdzie i kiedy na odpuszcie będzie, odszukała go zawsze po lirze i przyniosła mu z sobą odzież i bieliznę, domowego pieczywa i owoców.

Wiem o tych szczegółach bardzo dobrze, bo my wszyscy cośmy zbierali gminne pieśni w młodości, znaleźmy go zblizka i pieśni które Pańko śpiewał były dla nas starożytnym kodeksem poezyi, i weszły dziś do zbiorów znanych już w literaturze gminnych pieśni. Pamięci tedy jego poświęcam to wspomnienie, które przyległo do ziemi i mogił, do pieśni i życia tak bardzo, że jednych od drugich odzielić nie umiem.

Pańko był niegdyś teorbanistą u starosty Szczecińskiego, gdy ociemniał zarzucił lirę na siebie i chodził w świat. Ale w chacie Pazi wisiał nad jego łóżem teorban i tu gdy jesienią powrócił można było z ust jego usłyszeć przy teorbanie dawno przebrzmiałe pieśni.

Pańko był ślepy, przewodnikiem w pielgrzymkach jego była koza, trzymając się jedną ręką obłącznej witki którą nosiła na szyi, szedł od wsi do wsi znając drogę tak dobrze, że przy pomocy kozy nie potrzebował przewodnika innego.

Była to mądra koza; kiedy sobie usiadł, ligiała pod bokiem jego, nieraz się zdrzymał oparłszy na niej głowę, kiedy szedł szła powoli przy nodze jego i lubo powolna jego ręce ostrzegała go o wszystkim, zatrzymując się przed każdym mostkiem, przed każdą lasą i każdym kołowrotem wioski, nie dopuściła aby

zeszedł ze szlaku albo wpadł do rowu lub wody. Kiedy psów się szczekanie ozwało, warował się Pańko puszczając po za sobą po ziemi drewnianą kulę po sznurze, a koza stawiała się psom tak zuchwale, iż po chwili oszczekując dziada zdaleka wracały na obejścia. Wówczas oznajmiał Pańko krótką przegrywką na lirze, że przybywa do wsi, a na głos ten wybiegały z chat dzieci naprzód i sadowiły go na bezpiecznym miejscu. Odkąd ludzie zapamiętali w okolicy całej, trzecia to już z kolei Pańka prowadziła koza. Czasami miewał i chłopaczka sierotę, ale gdy chłopca podchował oddawał go do Pazi lub do innych dobrych ludzi w służbę i póty tylko trzymał chłopca przy sobie, dopóki był chłopcu potrzebny, bo dla niego wystarczała koza. Pańko żył głównie jej mlekiem a koza żywiła się sama, kiedy ludzie jego pieśni słuchali.

Patrząc nieraz na życie i losy tego lirnika myślałem sobie, nad zrządzeniem Opatrzności, która przez usta ciemnego przymnaża chwały bożej i podaje tradycje w pieśni niespisanej od wieków ubiegłych żyjącemu pokoleniu.

Pańko pamiętał stare czasy i śpiewał pieśni stare. Przybywszy przed dziesiątkiem lat znowu w tamte strony w których niegdyś ślepy lirnik przebywał, pytałem starszych ludzi o niego, ale trzeba było aż przysiołek Pazi odszukać, aby z ust jej łzawe wieści otrzymać o naszej homerycznej postaci.

Pazia niegdyś młoda i piękna pochyliła się, dochowawszy się wnucząt i mieszkała już sama w tej izdebce, w której przez lat wiele Pańko zimował. Nad jej łóżem wisiał teorban bez stron zapyłony

i wisiała lira a w środku między niemi duży różanec lirnika przy którym były zawieszony medale i mały mosiężny składany ołtarzyk.

Pańko zmarł był już przed dwudziestu kilku laty. Ostatnich trzy lat nie chodził już po świecie, siadał tylko na okopie cmentarza, przegrywał na lirze i śpiewał prosząc Boga o śmierć szczęśliwą, ale za to też w dzień odpustu wioski gromadziła się wielka rzesza ludzi ponawiając z nim przyjaźń i prowadząc dzieci do błogosławieństwa jego. Usnął w Panu gdy na Anioł Pański dzwonili siedząc na okopie cmentarza złożywszy głowę na kozie, która pod bokiem jego leżała. Pochowano go uczciwie. W wigilię śmierci przekazał Pazi przez całe swoje życie zebrany grosz w starej gruszy pod miedzą zagrody; a dostatek i błogosławieństwo trzyma się chaty choć już trzecie idzie pokolenie, mają dostatek bydła, chleba i dzieci.

Rzewnie płakała Pazia gdym ją wypytywał o losy i ostatnie lata żywota lirnika.

Cóż się z kozą stało? Niechciała już wrocić do zagrody, lecz pasła się na cmentarzu w lecie, a zimą chodziła od chaty do chaty i każdy jej podał to kawałek chleba z solą, to garstkę siana, a dzieci bawiły się z Pańkową kozą, jak za życia Pańka. W trzy lata może po śmierci jego przejeżdżał jakiś młody pan drogą koło naszego cmentarza i poznał Pańka kozę pasącą się na okopie, to i odszukał naszą chatę i pytał się bardzo po ludzku co się z Pańkiem stało, a gdy się dowiedział że nie żyje to mi się kazał na grób Pańka zaprowadzić, i zadumał się bardzo nad grobem jego i odmawiał pacieź. Myśmy

Pankowi krzyż postawili, ale pan ów mówił, krzyż spadnie jak was niestanie, a Pankowi niech będzie pamięć wieczysta, i kazał mu na grobie kamień położyć. Zwiedziłem z Pazią grób Panka i znalazłem na nim dużą płytę kamienną, która była tak postawiona jak na okopiskach stawiają grobowe kamienie. Na tej płycie był niewprawną ręką jakiegoś wiejskiego kamieniarza u góry krzyż równoramienny wyryty, pod nim wyobrażenie liry, niżej nieco niekształtnymi literami napis: „*Pańko lirnik spoczywa tu w Bogu*“ a jeszcze niżej leżąca koza z obłączną wicię na szyi, wszystko razem raczej tylko wgłęb kamienia znaczone niż ryte, tłumaczyła mi Pazia ze łzami. Jak żywot tak zgon lirnika i nagrobek jego wydał mi się romantyczny prawdziwie. Pieśni jego poszły w świat, a dla mnie świadczyły o nim tylko łzy Pazi i ten kamień grobowy, na cmentarzu wiejskim pomiędzy drewnianymi krzyżami jedyny.

Po raz ostatni jadąc podolskim szlakiem spotkałem Pańka obok drogi siedzącego na mogile w okolicy Zborowa. Zdaleka już posłyszałem granie jego liry, kazałem tedy wstrzymać konie i z cicha podszedłem ku niemu. Bawił się ze stepowemi susłami, siedząc na mogile otoczony lasem bodiaków, a gdy zbliżenie się moje popłoszyło susły, zaśpiewał pieśń o Kamieńcu Podolskiem, którą spisałem, nieprzewidując wówczas iż go już nie ujrzę więcej. Pamięci jego niech będzie poświęconych tych kilka wierszy, któremi pragnę przekazać postać starego lirnika otoczonego tą admosferą krain stepowych, w której żył i do których pieśni jego i żywot jego należy.

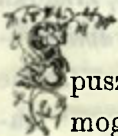
VIII.

ZE STEPŪ.

Wieje od mogił Ukrainy śpiewnój
Wicher stepowy, przeciągły i rzewny....
I pod mogiłą drzy biedna bylina —
Bo jój wróżyła złowroga ptaszyna:
Że lada chwila, wiatery nią pomiecie
I w cztery wiatry rozniesie po świecie....
A jak popędzi stepami na morze,
To i mogiły po drodze rozorze....

Nie drzyj bylino! spij mogiło sobie!
Już ja wam krzywdy podobno nie zrobię!
Ileż to razy jam w bylinach usnął,
Albo przeciągnął ponad niemi górą!
Ileż to razy jam mogiły musnął —
A czyliż może gdzie rozorał którą?!Co mi to trwożyć bylinę biedotę?
Co mi to smucić mogiłę sierotę?! —

Na tych tu stepach w dziedzictwie niemarném
Dwóch gospodarzy z Bożej woli gości — —
I ja posiewam uroczyska ziarnem,
A w ślady moje świat posiewa kości!
Chociaż zaszumią czasem koło ucha,
Jak zaszumiąta świata zawierucha —
Co wam do tego? — co to komu szkodzi?
Mogiła stoi — a bylina wschodzi....



puszczając się z gór Miodoborskich, od zbornych
mogił i z wyniosłych kopani Wołynia na wschód-

dem i jeszcze szczątkami odwiecznych pierwotnych lasów, a płacząca brzoza, która ich miejsce coraz więcej zajmuje, nie bywa nigdzie ani tak wielką, ani tak bujną, ani tak wdzięcznie rozwieszoną, jak tu. Las pokrywa zwykle wznioślejsze miejsca i północne zbocza, a kiedy indziej, albo stepowa jednostajność, albo nieprzerwana roślinność puszczy, jak na Litwie, kraj wyłącznie charakteryzuje, mieniają się tutaj leśne i stepowe obszary. Kędy las był, tam i wycięty porasta na nowo, ale step choć odłogiem leżący, nieporośnie lasem, bo młoda drzewina potrzebuje ochrony od wiatrów i spieki, a krom tego jest tu gleba i podłoga geologiczna znacznie odmienną pod lasami, a inną na stepach, ziemia zaś nie przechowuje nasion drzew i krzewów, więc i las nie ma tu przyszłości. Z tej różnicy gleby, podłogi i potoczności ziem falistych, wywiązała się różnorodność kraju, ztąd też ma każda okolica Ukrainy oddzielną cechę.

Zrazu wstępując na jej obszary „Czarnym Szlakiem“, uderza widok rozległych łąk i małych brzozowych i dębowych lasów, które wieńcami umajają wzgórze. Do Czarnego Szlaku przypiera wierzchołki rzek i ona to góruje tu w kształcie wysoczyzny małej w okolicy Machnówki, przeszło na 600 stóp nad powierzchnią morza. Na wszystkie strony wazą się ztąd wody, ale na pozór, wydaje się ten kraj jednostajnie równy. Wielką, szeroką smugą ciągną się tu od Czarnego Szlaku ku północy i wschodowi naprzód: Berdyczowskie, dalej Białopolskie a nareszcie Chodyrkowskie łąki, aż ku Brusilowskim lasom—i wszystkie dopływy prawie, które od prawe-

go brzegu Teterów zabięra, mają w nich swe źródła — a Karapsowskie, Pawołoćkie i Jaroszewskie łąki, otaczają dopływy górnej Rosi. Zrazu płyną rzeki Ukrainy *osoczystemi* łąkami, zazwyczaj na jeziora lub stawy, i w dalszym dopiero biegu, wjada się ich łoże głęboko w ziemistą caliznę lub w granit stepowy i pozostawia wyniosłe brzegowiska, po których wyższy lub niższy stan wody w piętrach poobmywał brzegi. Zresztą są koryta rzek stałe i niełatwo zwykły zmieniać swój kierunek. Posuwając się z tych szerokich łąk na wschód ku Dnieprowi, przerzucają się lasy w coraz większych płatach na dorzeczu Rosi. Miejscami widać tu i piaski, między Irpiniem a Rosią na wschód od Białocerkwi, a na północy od tak zwanych „*Żytnich Gór*“. — Po prawym brzegu rzeki Moszny leży kraj lesisty, zapadły i podmokły. Tutaj rozlało się kilka jezior, tu leży piękne jezioro Biełozór, a bagna i trzęsawiska Irdynia, trzcina, wielkimi olchami i łożą porośle, obchodzą szmat kraju, przypierając łukiem ku Dnieprowi. Lasy przechodzą na dorzeczu Taśminy w wyraźne puszcze i wszystkie jej dopływy są na wierzchołkach lasem otoczone. Tu łączy się puszcza Łebedin na północy z Orlim i Mławskim lasem, a ku wschodowi ciągnie się las Baudys, Nie-Rabaj i Modszyn aż ku Czehrynowi. Co zaś do samych brzegowisk Dniepru, podnosi się jego brzeg prawy jeszcze powyżej Kijowa coraz wyżej i wpada miejscami w jarach dziko poszarpanych ku wodom, a góruje na tej całej przestrzeni od ujścia Prypeci i Dzieszny aż do Porohów, poniżej Kudara.

Tam kędy płyta granitowa stok ma ku południowi, ciągną się zrazu od Czarnego Szlaku krótkie działy, szerokimi padolami przegradzane, w których rzeki ku Bohowi płyną. Tu i owdzie majaczeją dąbrowy, brzozone gaje i futory; wsie gdzieniegdzie sadami otoczone, ciągną się wzdłuż rzek, a kraj jest suchy i na oko równy. Dopiero w okolicy Humania okazują się znowu trzęsawiska i jeziora. Jezioro Jatrań jest tu największe, a na wierzchołkach Sinej-Wody czyli Siniuchy, przedostatniej znaczniejszej rzeki, która od lewego brzegu do Bohu wpada, porasta kraj znowu wielkimi lasami, a las Kryłowski, Wierbicz i Romczyn, łączy się znowu z małymi tylko przerwami z puszczą Łebedyn na wierzchołkach Taśminy.

Czem się dalej pomknąć ku Niżowi i za stokiem stepowego granitu i biegiem rzek na południe, tém więcej nikną lasy, a w całej okazałości występują tu *stepy bezwodne*. Od ujścia Siniuchy, posuwając się ku pełnemu wschodowi aż do Porohów na szumnym Dnieprze, leży naprzód: „*Step Umarłych*“ i „*Step Bohu*“ między Siniuchą a W. Ingułą, a sięga aż po lewy brzeg Bohu. Dalej rozkłada się między Ingułami obiedwoma aż ku Limanowi: „*Wielki step Inguły*“ a po lewym brzegu Inguły Małej, po „*Białe Jezioro*“, nad brzegami Dniepru po Nową Sicz po „*Słone jezioro*“ i „*Skok białego konia*“ sięga „*Step dniewy*.“

Dalej ciągnie się na północ od tej Sicy aż do „*Umarłego Jeziora*“ pasmo nieprzerwanych prawie lasów, a historyczny „*Las Czarny*“ był tu największy; a między nim i przestrzenią Porohów, wznoszą się,

w długości mil 12tu przeszło, nagie pagórki, kędy się wicher z piaskami ugania... Pagórki te ciągną się w znacznem oddaleniu wzdłuż Porohów Dnieprowych i zda się, że je Dniepr odsypał w czasie przerwania płyty granitowej, bo podobne piaski złożył także do poziomu i po lewym brzegu poniżej Porohów na Zadnieprskich stepach.

Na całej przestrzeni tych czterech walnych stepów, znajduje się jeden tylko las znaczniejszy: „*Las Sokoli*“ po lewym brzegu Inguły Wielkiej. Zresztą jest cała ich powierzchnia z drzew ogołocona.

Kędy się podniesienie płyty granitowej na południu kończy, spada kraj Niżem do poziomu na Liman—i ten spadek jest najwidoczniejszy na wyłomach rzek i oznaczony na nich progami. Dniestr spada z tego wyższego podniesienia kraju w okolicy Dubosar, Boh około Olchopola, Wielka Inguła jak Sokoli Las, Mała Inguła w tej samej wysokości jak Nowa Sicz leży, a Dniepr poniżej ostatniego Porohu.

Poniżej tych wyłomów na rzekach, leży dawne odchodzisko morskie do poziomu. Rzeki wolniej tu zupełnie w spadkach, dzielą się często na odnogi i odsypują płytkie, wielkimi trzciniami porośłe ostrowy, a przechodzą w końcu szerokimi gębami w mielizny Limanu. Często przerzucają się tutaj pomniejsze piaski i bagna, po których się jeziora rozlały. Niektóre rzeki, jak Ingulec, mają słoną wodę. Od słonych jezior uchodzą miejscami małe strugi, ku rzekom i na Liman. Te *niecieceze solne* (bo bywają i rybne niecieceze) stają się odtąd charakterystyczną cechą Zadnieprzańskich Stepów, i ciągną się na poprzek okolic średniego Donu, aż ku brzegom Wołgi

i Kaspjskiemu Jezioru. Na nich ścina się sól w tak potężne kryształy, iż staje się podobną do kamiennej soli i pokrywa w czasie upałów, jak gdyby lodem, powierzchnię słonych wód. Dokoła nich leży na znacznej przestrzeni *Słony Step* do poziomu, kędy wszelka roślinność ginie. Dopiero nad samym brzegiem Limanu, podnosi się brzeg morski, miejscami nieco wyżej, w potężnych pokładach lekkich konchowych wapieni, ale i tu jest przymorze z drzew ogołoczone; zapadłe miejsca porastają tu trzcina. Żyzności swej są sławne Oczakowskie pasze, z basztanów okolice Wozneseńska, a z połowu ryb ujścia Dniestru, Dniepru, Bohu i wybrzeża Limanów.

Na całej Ukrainie jest ziemia bardzo urodzajna, a właściwie można to powiedzieć, iż po egipskiej do najlepszych ziem na świecie należy. Czarnoziem wydaje tu niesłychane plony, a nawet przy mniej starannej uprawie. Jeden zasiew ozimy, daje częstokroć dwa zbiory rok po roku. Czasem przezimuje i jarzana po gradobicciu i rodzi się, jak gdyby była najstaranniej siana. Wypadki takie nie są rzadkie i świadczą najlepiej o rodzajnej sile ziemi.

Miejscami przerzuca się także po wyższych obszarach Ukrainy urodzajna glinka, tak zwany *grunt pszeniczny*.

W niewielkich płatach okazują się same piaski, zresztą zaś są one w małej bardzo tylko części i z rzadka do tłustych ziem przymieszane; tylko po wielkiej ulewie można się dopatrzeć po namuliskach i po brzdach wierzchem odrobiny spławionego piasku na łąkach lub po nad rzekami.

Potężne złogi urodzajnego czarnoziemu, pokrywają tu w grubości od trzech do pięciu, a nawet ośmiu ćwierci łokcia, pokłady martwicy i są niezawodnie zmiałem i pozostałościami tak wielkich warstw wymoczków, złożonych tu przed wieki. Dziwném wydaje się wszakże zdanie, dziś dosyć upowszechnione w Niemczech i we Francyi, jakoby ta warstwa urodzajnej ziemi, powstała była z lasów, ręką ludzką zniszczonych w erze historycznej. Na stepach nie było nigdy lasów, a jest czarnoziem—i powyższego zdania o wymoczkach dowodzą poszukiwania uczonych krajowych: popiera je także tak potężne, równe i jednostajne rozłożenie tych ziem na pływowych na kilku tysiącach mil kwadratowych, iż z lasów, i to jeszcze ręką ludzką zniszczonych, powstać nie mogły, ale przeciwnie, że utworzenie i spławienie onych w przedpotopowe czasy odnieść należy, a najpodobniej w te czasy, kiedy ta kraina po raz pierwszy z pod wód wyszła po przerwaniu Cieśniny Dardanelskiej.

Strefa jest na Ukrainie prawie dwojaka: na wysokości pól i stepów, kędy zwaliste śniegi ziemię pokrywają, i gdzie kraj jest wystawiony na grę wiatrów, jest powietrze niestałe, zmienne i zimne, — na południu zaś i ku zachodowi, kędy ciepłe wiatry od morza wieją, i podniesienie płyty granitowej kraj od północy i wschodu zasłania, jest powietrze łagodne, stałe i może być niejako uważane za przechód do krajów południowych. Tu też dojrzewają i południowe szlachetne owoce, a szczególnie jest to *kraina roślin tykwowych*, żyjących więcej powietrzem i oddechem liści rozłożystych, niż biorących pokarm za

pomocą korzeni: te melony i kawony są to roślinne źródła stepów, które na upałach letnich, brak wody zastępują w części.

Do charakterystyki tamecznych okolic, należą także szczególnie *futory*. — Są to oazy naszych trawnych pustyń, ogniska skupionej roślinności na niewielkiej przestrzeni, które zrazu lasami na wpół zasiewają obszar Ukrainy; w miarę tego, jak coraz więcej stepowy klimat na nim przeważa, niksą lasy ku południowi i na wschód zupełnie, a tylko *futory* stają się ogniskiem skupionej wśród stepów roślinności wyniosłego pnia.

Futory, są to małe zagrody, czasami wśród lasków sady, czasami pasieki, a niekiedy i basztany, w zaciszu uroczysk, padołów lub jarów leżące, które po ustroniach zdala majaczeją, przerywając jednostajność stepów... Co to za widok, kiedy wiosną zakwitną *futory*! Jak mlékiem oblane, bieleją się całe padoły—krajem rozrasta się krzewista czeremcha, najwyżej wystrzela czereśnia, najpotężniej grusza. Białą patokę, miód bodjakowy, składa pszczoła w małych ulach, basztan porasta rozłożystym liściem i okrywa się złotym kwiatem—a nad futorem wznosi się rankami i wieczorami dym błękitny z małego ogniska, nad którym się stary zadumał pasiecznik..... Bywa tu zwyle i woda, i przykmiota, i zacisz, i chłód: czasem bywają przy futorach i toki ze zbożem i stogi z sianem i koszary z bydłem pod gołem niebem. Czasem leży kilka, a nawet kilkanaście futorów w jednym lesie, pomiędzy rozłósłemi jarami—i przy każdym są sady, — a kiedy sadowina na wiosnę okwitnie, wyglądają mleczne płyty z pomiędzy majowej

zieloności lasów i już z daleka policzysz naówczas futury!

Co zaś do samych stepów Ukrainy, osobliwym jest ich widok! Nibyto biała karta w dziejach przyrodzenia—czy wielkie pobojuwisko tumanów!.... Świat otworem leżący, wietrzny, ruchomy i nieustalony.— Myśl zdaje się tutaj tęsknić za rozleglejszym widokiem,—a oko nie zdoła objąć tego, co widzi... Ztąd to rzewna tęsknota krainy, która się w ludzie i w dziejach jego i w jego pieśniach rozlała!... Nigdzie nie ujrzyć drzewa na właściwym stepie—i tylko szumną trawą porasta odlóg wieczysty... Jedyne wynioślejsze miejsca są liczne mogiły. Odmiany, jakie się tutaj zresztą spostrzegać dają, powstają z wklęsłości i zapadlisk ziemi. Są to albo wądoły, suche kotliny, albo małe jeziora *Balkami* zwane—czasem rzędem obok siebie leżące, czasami z osobna, bez własnej wody i widocznego odchodu. Brzegi tych jeziorek są zwykle trzcina, osoką i tatarskiem zielem porośnięte, lub ogromnemi kępami skrzypiu najeżone, a śniegi i deszcze zasilają ich kotliny wodą. Podobne kotliny i zapadliska, ale suchsze i płytsze czasami, ciągną się nieraz na milę wzdłuż stepów, i porastają całe lasem pierzastej trzciny. Są to tak zwane *oczerety*, po których, jak po kniejach całemi dniami polują i błędzą myśliwi... Szelest tych oczeretów wichrem zamąconych, wydaje gwar osobliwy, ani z szumem borów, ani z szumem wód nieporównany—ostry, szorstki, przykry, niekiedy przeciągły i rzewny, dziwnie zgodzony z widokiem tej ziemi i z ojczyzną mogił!...

W miejscach, gdzie się step widoczniej i naglej stacza lub ku rzekom przybliża, ciągną się tak zwa-

ne *wodomyje* czyli *wyrwy*, które są początkiem jarów i w jary częstokroć przechodzą. Tutaj urywa się ziemia i ciągną się głębokie chłodne doły, a nagle ożywia się kraj. Zbocza tych jarów, niekiedy nagie i skaliste, niekiedy ziemią zawieszoną, porastają rozkosznymi drzewami różnego rodzaju i zazwyczaj widać tu dęby i brzozy, jawory i brzozy, jesiony, lipy i klony czarne obok siebie rosnące, dereniami i leszczyną gęsto podszyte. — U dna, na wycięciu lub wklęsłości takich jarów, bije zwykle krynica i sączy się ruczaj niekiedy, a lud nazywa takie porosty mieszanego drzewa *Czaharami*, *Bajrakami*. Drzewa te są bujniejsze i większe niż gdziekolwiek, a ciemna zieloność liści, która o sile roślinności świadczy, trwa jednostajnie świeża do późnej jesieni.

Piękną jest roślinność stepów na wiosnę—dziki szparag, sen i tulipan polny wykwłują się z ziemi. W majowych trąbkach zwita pnie się trzcina do góry... Szumnie idzie burzan i łoboda, ostro idzie oset, a gdy później trawa huknie, to trawy w pas, burzan wyżej głowy, a w bodiakach uchowa się chłop na koniu i z dzidą, i jest do czego konia uwiązać. — W tej puszczy bodjaków—w tém morzu traw niezbrodzonych—przeżywia się mnóstwo niezpłoszonego zwierza i dzikiego ptactwa wszelkiego rodzaju!... Jak nad morzem, przeciągają nad stepem łańcuchy zórawi... Tabun dzikich koni przegania pustopasz... W trawach leżą woły stadami... Dropie gnieźdzą się w zbożach, a nocują na otwartych przyczółkach... Po jeziorach i haławach tłucze się dzikie ptactwo... Lis przemyka komesze... Wilk obywa w oczeretach... Czujnie strychuje wyżeł i chwyta wiatr z wysoka!... Tam burknę-

ła kić kuropatew — tu zerwał się z pod nogi zaspany puchacz stepowy!... Na wznak przewrócone zamrużwszy oczki, grzeją się pardwy do słońca, a na nie bije sokół z góry!... Susły i homiaki ryją grunt odłogi. Czasami przemknie dzika koza lub polna łasiczka i zginie w bodiakach... Z wierzchu stoga klekoce na źer mały orlik... Po zacisznych uroczyskach, staczają ptasze boje sporne bataliony... W stadach zbierają się stepowe kuliki i ciągną w żurawim szyku pustkowiec... Pod tarninką siedzi w miejscu gracz zając, a w wielkich kołach okrąża stopy orzeł zaporozki!...

Panujące wiatry są tu wschodnie, przeciągłe i ostre, okropne jesienią lub w czasie zimowych zadyemek! Rzadki dzień spokojny—tylko rankami i wieczorami ucisza się wiatr. I uroczą jest ta cisza wieczorna w powietrzu, po wietrznym i burzliwym dniu! W czasie upałów letnich, powiewa od wschodu wiatr spiekły. Aż na brzegach Wołgi i po słonych bezwodnych stepach, rozpalone powietrze wali się wschodnimi wiatry—niesione spiekłą powodzią na Dniepr, i cała noc niewystarcza nieraz na wychłodzenie tej spieki. Kiedy po zupełnem uciszeniu się wiatru, słychać tylko lekki szum trawy, a potem znowu nowe fale rozpalonego powietrza na zmysły uderzą—zda się, jak gdyby z gorejącego pieca, upał powionął... Zwierz szuka jamy—ptactwo sowieje—roztwiera dzioby i opuszcza skrzydła—a człowiek opada z sił i z myśli... Termometr wznosi się naówczas nieraz na 30° a nawet 34° ciepła w cieniu. Wówczas to także okazują się i tutaj błędne obrazy *majaków stepowych* (tak zwane *Fata morgana*). Te powszednie zjawiska, wiel-

kich, równych pustyń i stepów, nie przedstawiają tu widoku rozkosznej, palmami porosłej oazy, widoku grającego morza lub miast wschodnich—ale według miejscowości, szeroko rozłożone tabory koni i ludzi na stepach, widoki stogów, brogów, i stada bydła: na wpół tumanem kurzawy od dołu osłonięci, pomykają wówczas jezdni i niby zbrojni gęsiego po stepach—i giną w rozległych uroczyskach oku!... Dziwne zjawiska wyprawiają tu także i wiatry... Kiedy wałami z kurzawą lub śnieżnicą idą, bywają one *tumanami* zwane, lecz kiedy się młyncem kręcą, nazywa je lud *złym wichrem*. Nie raz zdarzy się widzieć, że się takie *trąby wietrzne* całemi godzinami ze stepu na step przenoszą, i całe pokosy trawy lub zboża z sobą w górę porywają. Wiatry te przyczyniają się początki nie mało także do urodzajności tych tęgich ziem. Ogromna masna skiba, którą pług sześciami lub ośmioma wołami ciągnięty za ledwo odwalić jest w stanie, połyska czarno na twardym ugorze, i jak ił nieużyty, leży calizna pokładu masno zlepiona, a przecież przejmują ją wiatr wschodni tak silnie, iż się twardy pokład skrusza i w popiół rozrabia. Kiedy po ulewach nagle posuchy chwycą, wówczas kamienie ziemia na wietrze i staje się podobną do zimowej grudy. Tenże sam wiatr wypala także na srokatem polu oziminy i niszczy rozkoszną roślinność stepów, a już na schyłku wiosny lub w połowie lata, smutnym jest ich widok.

Zzółkłą, rudą mietlicą, porastają trawy, lasy bodjaków wywędłe osypują puchy.... Oczerety spłowiwały... Na wypasionym stepie szeroko popękała zie-

nia. Widokrąg przybliży się oku. Pomniejsze wyschły jeziora. O milę i o dwie pędzą zpragnione stada do pojała... Niebo jak za mgłą... Czerwoną strężogą zadęte, bez jasności promiennej, stoi słońce samotnie na niebie—i step paszeje zgorzały—i odlegiem leżące ziemie jałowieją... W powietrzu cicho—tylko gdzieś w dali przegania tuman kurzawą—a gdy się młynćem zawinie, idzie słupem wysokim w niebiosa, rwąc pod się pokosy trawy i prochy ze stepu!... Należało to, kiedy spiekły wiatr jeszcze powieje, zda się, iż kropli wody nie ma w powietrzu, ani na ziemi, tylko po dolinach ściele się miejscami trawnik zielony, w małych płatkach. Są to zaskórne wody, które i pod tę porę podsycają trawy, a kopiąc w takich miejscach, napotyka się zawsze w pewnej głębokości na wodę, a niekiedy nawet na żywe podziemne źródło.

Piękną jest noc na stepie!... Czasami nad wieczorem uciszą się wiatry—i tak spokojnie w powietrzu—iż nawet gwarliwe milkną oczerety, a jak we dnie kierunek stepem na mogiły, tak nocą na gwiady.... Głęboko roztwiera się niebo—i jaśniej niż nad puszciami wyiskrza się mléczna droga... Koń chociażby znużony, rzeźwi się chłodem i dziczą, i strzyże czujnie uszyma, a głucho na milę tętni ziemia tabunami zbital!... Spokojnie pod mogiłą gore ogień nałożony z wyschłego burzanu.... Słychać lot dzikich kaczek wracających stadami z żeru na jeziora.... Szumnie wachlują lotkami wśród ciszy!... Za łupem lecą ziemne sowy i wrzasną czasami! Przepiórki wabią się w zbożach—bąk wodny huka po trzcinach!...

Równo i płasko, jak krąg czarny, leży świat stepowy—nizko, po krańcach tego kręgu, gasną ostatki zorzy zachodniej—a na krótkiej święto-jańskiej nocy, za ledwo zgasła na zachodzie, a już ciż świta od wschodu—i zda się, że się jej jasność tylko po krańcach ziemi przesunęła....

Mgły lekkie ślać się poczynają—gwiazdy blednieją—ognisko popieleje.... Koń grzebie pod sobą, śpiący step się trzeźwi—a gdy słońce podejdzie, zrywa się znowu wichur stepowy od wschodu!....

Inny wcale obraz, ale zupełnie odpowiedni szerokiemu oddechowi stepów, daje widok Porohów dniewprowych! Na pogodę zpuszczając się z wysokości piaszczystych pagórków ku nim, słyhać już szum tych wodospadów na milowej przestrzeni.... W miarę większej wody na Dnieprze, cichnie i szum w powietrzu, a zamienia się jakby w głucho drżenie i dudnienie ziemi—bo naówczas pokrywa woda łomy stepowego granitu i wali wierzchem spieniona, kręcąc się w wielkich wirach, silnym prądem poniżej Porohów.... Jeden tylko Nienaszyniec sterczy na ówczas z wód.

Brzegi Dnieprowe, przybierają na tej przestrzeni Porohów, pozór górzystego kraju:—lite skały, dziwnie poszarpane, wznoszą się nagle i potężnie od zwierciadła rzeki, i widok tak olbrzymiej masy wód, walącej się z wysokości Porohów, pomiędzy łomami granitu, przechodzi już nieco skalę europejskich wymiarów. Tu kładzie wśród spienionych wód ostrożny sokół swe gniazdo.—Tu lęgna się sowy i pelikany na Nienaszyncu.—Ze szczytu tych urwistych skał,

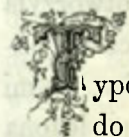
wyprawia się orzeł o świcie po pewnym noclegu za żerem na stepy. Ostrowy Dnieprowe indziej płytkie i piaszczyste, zjeżyły się tutaj granitem i porastają dzikiem winem, które się dowolnie po krzewach w spina i rozkosznie ku słońcu po skałach rozkłada. Natura występuje tutaj w wielkich potężnych zarysach, w całej dzikości pierwotnej, ale zarazem i w całej świeżości swych wdzięków pierwotnych.

Z DUBZY

IX.

Z BURZY.

Szczęśliwa chwilo co otwierasz oko
Na ten świat Boży jasno i szeroko,
I dajesz duszy przedtem niepojęte
Zadatki prawdy i wielkie i święte!
Do ciebie, chwilo wiecznie wracać trzeba
Z żalością serca i miłością nieba!
I w Tobie leżą na żywot nasiona:
Bo to coś dała, dobywa się z lona —
Po pracach wielu i po latach wielu,
Gdy już świadomie dążymy do celu,
I złożyć możemy i wielkie zadatki,
I wielkie chwile zawezwać na świadki,
By się złożyło to, co się ma złożyć,
I aby teńnęło, coby miało ożyć.
Z takiej to chwili, ja Wam sprawę zdaję,
A co przyniosła, niech przed wami staje.



ypowe okolice, pod względem natury, mają to do siebie, że wszystko na co okiem rzucić, jest tutaj odmienne i składa się na wyrażenie tego odrębnego typu—jestto krótko mówiąc klimatyczna odrębność, która do nas *niemo* przemawia zjawiskiem

całej roślinności, a *wymownie*, głosani natury i napowietrznymi zjawiskami.

W burzy dopiero występują te napowietrzne zjawiska w całej swojej potędze—i ile jest odrębnych typów natury, ile pór roku, tyle rodzajów coraz innych burz możnaby naliczyć, a każda z nich będzie miała zupełnie odrębny charakter w stosunku do człowieka, do którego ostatecznie wszystko odnieść wypada, co w naturze chcemy mieć zrozumiałem i wyświeconem pojętnie.

Inne będą burze w krajach górskich zimowe i letnie, inne na pasmach gór poniższych i wysoczyznach odkrytych, inne w krajach stepowych, a jeszcze inne, gdzie piorunne burze latem tylko bywać zwykły.

Niełatwe to zadanie, pochwycić właściwości każdego rodzaju z tych burz, bo jużciż na każdą burzę składają się te same żywioły i czynniki, i zaledwo pomiędzy zimowemi a letniemi burzami możnaby położyć stanowczą różnicę.

Od czasu, jak się już okiem badacza natury na świat zapatruję, przeciągnęło wiele burz nad tą ziemią i w naukowych moich podróżach, miałem nieraz sposobność studiowania tego wielkiego zjawiska natury; ale poczynam tu od opisu burzy pierwszej, bardzo pamiętnej dla mnie, bo mi ona otworzyła oczy na zjawiska natury — i od owego to czasu powziąłem zamiłowanie do tego rodzaju studiów, bo mi się wydało, jak gdyby nowa księga leżała rozłożoną przedemną, w której były tajemnice natury nieczytelnymi charakterami złożone.

Pierwsza, pamiętna dla mnie burza, była nauczycielem moim; widoki zniszczenia były temi głoskami, w których się rozpatrywałem, z których składałem słowa pojedyncze, lubo niezdolałem pojąć znaczenia pojedynczych wyrazów i wzajemnego ich stosunku.

Od tej burzy poczynam, i przeprosić z góry muszę was za to, że pamiętnikowym wstępem, muszę poprzedzić opis tej burzy. Od wewnętrznego bowiem usposobienia człowieka zawisło wrażenie, które od natury odbiera. Od tego usposobienia zawisło czy ma oko na zjawiska natury otwarte, czy zamknięte: w pierwszym razie przyjmuje i pojmuje zjawiska, w drugim razie przechodzą nad nim niepostrzeżone, uczute od całego tylko roślinnego świata, od ptactwa i zwierząt, które w naturze żyjąc czują jej oddechy.

Lato było suche i gorące—od samej wiosny na dęszcz się zbierało, codziennie wysuwały się chmury przy parocie nieznośnej, czasem nawet padło z tych chmur kilka kropli na rozpaloną ziemię, czasem nawet zagrzmiało, z jasnego nieba strzelił nieraz pojedynczy piorun, ziemia pasowała się z suszą, ale na dęszcz zebrać się nie chciało od trzech miesięcy prawie. Cała też postać świata zmieniła się bardzo, trawniki wypalone, po mokrych nawet łąkach popękała ziemia; już z początkiem sierpnia leciało wiele z żółkłych liści z drzewa, owoce na drzewach nie nara-

stały i nie dojrzewały, ale zapalały się chorowitą czerwonością i okrywały się siatką.

Śliwy szczególnie, nie tylko że nie narastały, ale robiły się coraz mniejsze, okrywały się zmarszczkami i wysychały na drzewie. Taki pozór miał mały sadek przed oknami naszymi, w którym naprzóżno było szukać cienia, bo go spieka ogołociła z liści.

Już około dziesiątej z rana, trudno się było wychylić z domu; pomiędzy dziesiątą a trzecią, sypał się żar z nieba, a z wioski sąsiedniej przyniosła nam do miasta nasza mlęczarka wiadomość, że wkrótce mleka nie będzie, bo z zbytniego skwaru choruje bydło na rogi, bo z zbytniego skwaru róg pęka od suszy, a rozkrwawione bydło ryczy straszliwie, bodzie się i krwawi, że już niewiedzieć jak temu dać radę, bo ani co paść, ani co dać bydłu, ani nie wiedzieć jak go uspokoić, bo trudno już i o wodę; stawki okoliczne wyschły, a rzeczka, co nie raz chaty niesie w czasie powodzi, tak zmaląła, że drób' się nie ma gdzie napoić, i musimy go ze studni polęwać wodą, żeby doczekał wieczora. Wrony nawet spadają z powietrza od pragnienia i skwaru, a psy wsiowe wyniosły się do lasu i ryją w ziemi jamy jak borsuki.

Takie wieści przynosiła codziennie nasza mlęczarka, i dziwna jakaś trwoga zawładnęła nami, gdyśmy jej utyskiwań na suszę słuchali...

Stara to sprawa, że na zimno człowiek sobie radzić umie, ale na wielkie gorąco i stałą suszę, niema u nas rady; cóż dopiero w wielkiem mieście, którego nie odświeża nawet nocna rosa; cóż dopiero na rozpalonym bruku i w izdebkach studenckich, kiedy

się tu do tego uczyć trzeba i zdawać egzamina jeden po drugim w przeciągu krótkiego czasu.

Gdyby kto był nalał wody do tego kotła, w którym Lwów leży, zawrzałyby kipiátkiem na rozpalonym bruku. Przez dzień tedy dyszeliliśmy od gorąca, chłodząc się wodą i mlekiem, a nocą dopiero zasiadaliśmy w pięciu do nauki, chociaż i noc cała nie wystarczała częstokroć na ochłodzenie dziennej spieki.

Co tydzień zdawaliśmy egzamin z jednego przedmiotu, ale, że to pięć takich obowiązkowych egzaminów było, ledwo że w szóstym tygodniu takiej nocnej pracy, miał ten lub ów tyle jeszcze siły, aby czytać przez część nocy dla drugich skrypta głośno, i obyczajem studenckim ciągnęliśmy węzélki, aby los rozstrzygał, ktoby czytać miał. Egzamin z piątego przedmiotu rozpoczynał się. Przedmiotem tym była historia powszechna, a profesorem naszym był wówczas w uniwersytecie, zacny profesor *Maus*, znany z genialnych napadów myśli swoich, z niepodległego charakteru i wielkiej miłości do młodzieży, którą przy każdej danej sposobności brał w opiekę. Egzamin tedy z przedmiotu profesora Maus'a nie był trudnym do złożenia, ale ambicya była tu bodźcem do pracy, bo ceniliśmy wysoce prawość jego charakteru. To też wielom zależało na tem, aby celować w przedmiocie profesora, który miał szacunek powszechny. Koło czwartej godziny z południa, zgromadziliśmy się w sali egzaminacyjnej, gdzie się miał rozpocząć egzamin z historii powszechnej; wprawdzie ten dzień mógł grozić tym panom tylko co na A, B i C się zaczęli, ale ciekawi jak to ten egzamin pójdzie, przybyliśmy do sali, bo profesor miał zwyczaj ograniczać

się corocznie na pewną ilość nowych kwestyj, do których zazwyczaj z kolei powracał. Więc wiele zależało na tem, aby się przysłuchać egzaminom w dniach pierwszych, i dowiedzieć, czego profesor tego roku zażąda po uczniach. Okna były otwarte i zachodnie słońce padało do sali, skwar był nieznośny, zwłaszcza, że się słońce co chwila niżej chyliło i całą oświecało salę. Profesor okazał się nagle we drzwiach i rzekł wesołym głosem: „*Witam Panów, ale na miłość Boską, podajcie mi szklankę wody, bo zginę!*“ Zdjął potem okulary i oglądając je rzekł: „*Szkoło zpotniało, jak tu człowiek ma wytrzymać; przy takim gorącu możnaby o dziejach całego świata zapomnieć!*“ I przetarłszy okulary chustką, napił się wody którą mu podano, a obejrzawszy się do koła po sali rzekł: „*Wyjdźmy panowie na korytarz, bo tam przecież chłodniej, a przechadzając się, rozpoczniemy egzamin. Metoda Perypatetyków była wyborną i ma wiele po sobie. Z przypadku znalazłem się na korytarzu tuż przy profesorskiej; spojrział na mnie z pewnym rodzajem zachęty i rzekł: „Daj mi Wać-Pan obraz krótki Historji Powszechniej.“*

Zmieszałem się, bo i kwestya niełatwa i ledwo za tydzień sądziłem, że na mnie kolej egzaminu przyjdzie. Znając wszakże profesora, że go nic tak nie ujmie, jak przytomność umysłu i decyzja, rzekłem: „Kiedy mi Pan Profesor ten zaszczyt czynisz, że ode mnie rozpoczynasz egzamin, to raczysz pozwolić na to, abym podziałem Historji Powszechniej na okresy odpowiedział na tę kwestyę. Zrobiłem tedy podział Historji Powszechniej na okresy, oznaczyłem wiek i lata każdego okresu, i na tym skończył się mój egzamin.

Czterech moich kolegów, z którymi się razem uczyłem, szło tuż obok mnie.

„*Eminentia cum honore!*“ rzekł profesor gdy skończył. — *Sequens!* — i wskazał na Stanisława Pilata: „*Powiedz mi Wać-Pan: Który charakter w Historii Greckiej zajmuje Cię najwięcej? Na to odpowiedział Pilat: „Charakter wielkiego greckiego ducha, który się odbił w dziejach, w literaturze i sztuce starożytnej Grecyi. — Brawo!* rzekł profesor — to prawdziwie akademicka odpowiedź! Dla nas nie ma w istocie ludzi greckich, ale pozostał wielki duch greckich dziejów. I znowu rzekł — *Sequens!* Kogo Wać-Pan masz za największego męża starożytnego Rzymu?

— Cezara— była odpowiedź.

— „Proszę to motywować.“ — Zapytany motywował wielkość Cezara, co nie było wielkiem zadaniem—i tak odbył się egzamin trzeci. Czwartego z nas zapytał: „Jaka jest największa postać całego starożytnego świata?

„Hannibal“ — odpowiedział zapytany.

— „*Brawo!*“ — rzekł profesor wpadając w zapał i w kilkunastu gienialnych i szerokich rysach zakreślił sam i postać i dzieje Hannibala, poczem rzekł do piątego z nas:

— „A jakaż będzie największa postać w świecie chrześcijańskim?“

— Bóg-Człowiek, Chrystus!“ była odpowiedź. Profesor zpoważniał i rzekł:

— „To niepowszednia odpowiedź!“ i skończyliśmy na dzisiaj egzamin.

— „Proszę Panów z sobą, bo w takie gorąco nie mogę się z ciężkim katalogiem nosić, a chcę

klasy panów zapisać z odbytego tak zaszczytnie egzaminu.“ Odprowadziliśmy tedy profesora do domu i po drodze zaprosił nas na lody, a gdyśmy z pomieszkania jego wyszli, uściskaliśmy się z radością nawzajem z tak niespodzianie i szczęśliwie odbytego egzaminu. Gdyśmy do naszych studenckich powrócili izdebek, leżały jeszcze od nocy skrypta Historji Powszechnej na stole rozłożone. Tytus Lewitowski zebrał je i rzucił na półkę.

— I na łańcuchu niktby mię tu dłużej w mieście nie zatrzymał! bądźcie zdrowi—ja dziś jeszcze na wieś uciekam; egzamina skończone, a z tego gorąca przecież się łatwiej na wsi i w lesie ochłodzić.“

— Stój! dokąd?—krzyknęliśmy razem.

— Mam ztąd o cztery mile dobrego znajomego w Wilczej Debrze, a jeżeliście nie mazgaje, to ruszajmy razem na całą noc: dom kawalerski, a gospodarz gościnny, rad nam będzie z całej duszy i nie ma co myśleć.“

O święta swobodo szczęśliwej młodości!— W godzinę później byliśmy już w drodze ku Zielonój Rogatce w pięciu, tak jak niespodzianie wszyscy pięciu zdaliśmy egzamin z Historji Powszechnej dnia tego. Słońce zapadało po-za Świętym Jurem—w czerwonych dymach leżał Lwów pod nogami naszemi—i z pewnym rodzajem rozkoszy patrzyliśmy na zapadające słońce, ciesząc się, że się jego panowanie na dziś kończy, i że nocnym chłodem odetchniemy na obszarze łąk i lasów....

Rzucając miasto przypomniałiśmy sobie, że nazajutrz zrana będzie nas szukała nasza mlęczarka i że znajdzie pomieszkanie puste.

Więc żal zrobiło się nam poczciwej kobiety, bo się jej należało parę reńskich od nas, więc postanowiliśmy nałożyć nieco drogi i odwiedzić jej chatę, która leżała po nad Cetnerówką. Fedorowa nasza siedziała na przyzbie przed chatą, a widząc, żeśmy w jakąś większą drogę wybrani, ucieszyła się bardzo i tём, żeśmy tak niespodziewanie zdali egzamin, i tём żeśmy tak pamiętali o niej wychodząc na wakacye i nieodeszli bez pożegnania. Zastawiła nam tedy przed domem sutą misę wybornego podśmięta-nia jedną, a drugą z hreczaną kaszą, do tego podała oselkę świeżego masła i plaskankę sera z kminkiem.— Po tej wieczerzy, ruszyliśmy żwawo w dalszą drogę, i gdyśmy do *Sichowa* przybyli, było już zupełnie ciemno. Tu opodal od karczmy na pastwisku, stał tabór solarzy. Wozy były ztoczone w kwadrat, a między krzakami na błoniu pasły się woły—małe ognisko gorzało przed taborem, a solarze warzyli wieczerzę i śpiewali jakąś pieśń czumacką...

Podeszliśmy do ogniska, bo uroczy był ten tabór i żalсна nuta pieśni pociągała nas ku sobie...

Tu skręcała się droga nasza w lewo od Głównego Szlaku i szła na las. Pogwarzywszy nieco z solarzami, którzy nie radzili, aby się puszczać pod noc w drogę „*bo w tym lesie straszy*“, nie zważaliśmy na to, bo ożywiający chłód powiał na nas dopiero tu od lasu i ruszyliśmy w dalszą drogę.

Ledwo żeśmy kawał lasem uszli, a na szerokiej linii leśnej drogi, ujrzyliśmy przed sobą dwa duże, jak mléko białe charty. Gdyśmy się ku nim zbliżali, rozłączyły się i lecąc w całym pędzie tuż obok nas, pominęły nas. Tytus który lubiał żarty rzekł: — „To

już się rozpoczyna taniec leśnych duchów!“—tak szliśmy dalej—ale kiedyśmy sądzili, że charty niewiedzieć już jak daleko za nami, ujrzeliśmy je znów przed sobą — i znowu tak samo rozłączyły się i pominęły nas w pędzie po obiedwóch stronach. — Gdy się to po kilka razy powtórzyło, niewiedzieliśmy w końcu gdzie szukać tych strachów? i jakim sposobem pomijając nas, — znajdowały się te same charty za każdą razą znowu na przodzie. — Dobre pół mili było tego lasu; na krańcu jego minęły nas po raz ostatni białe charty i znikły gdzieś w krzakach. Milcząc, szliśmy dalej, ale wyznam tu, iż po dziś dzień nie umiem sobie wytłumaczyć tego zjawiska, na które bylibyśmy może inaczej patrzeli, gdyby nas solarze nie byli ostrzegli, że w tym lesie straszy.

W jednej i drugiej wsi, któreśmy przechodzili, spali już ludzie. Wzruszenia całego dnia przeszłego i części nocy strudziły nas; stanąwszy pod jakąś karczmą, radziliśmy nad tem, czyby nie podnocować trochę, ale Tytus nalegał na to, żeby nocą odbyć drogę, bo dzień będzie skwarny, a lepiej już w czasie upału być pod dachem. Jakoż pokrzepiwszy się nieco w karczmie, ruszyliśmy w dalszą drogę. Miesiąc podniósł się z nad dąbrowy, a po dwóch godzinach słyszeliśmy już pianie kogutów i ujrzeliśmy jutrzenkę, a w jej ślady pierwszą zapalającą się zorzę od wschodu.

Wilcza Debra leżała w wąwozach „Gołogór“. Pasma górzyste „Gołogór“, ciągnie się od Lwowa ku Złoczowowi; na północy od nich leży w wielkiej dolinie kraina „Opola-Ruskiego“, którą na północy zamykają wyżyny Bełzkie, na wschodzie wysokie brze-

gowiska Wołynia, a na zachodzie tak zwane *Cztery Góry Winnickie*.

„*Golo-Góry*“ spadają w dzikich malowniczych debrach i wąwozach, tak na *Opole Buskie*, jak ku Dniestrowi. Wodny dział europejski przypada na pasmo Gołogór i cały świat górskich widoków powtarza się tu na małe wymiary; lasy są bardzo piękne, źródła bogate, dzielnica buczyn przechodzi tędy od Beskidów ku północy, a obok cienistych buczyn, znajduje się tu „*Krasna Puszcza*,“ gdzie *Czarnoleski* starodrzew pokrywa działły i zbocze wąwozów.

W jednym z takich wąwozów leżał kręty i zawity jar, należący jeszcze do *Krasnej Puszczy*, w której Król Jan lubiał polować, a do tego jaru przytykał mały przysiołek—„*Wilczą Debrą*“ zwany.

Słońce już wschodziło, gdyśmy w *Wilczej Debrze* stanęli, która nie była wcale tak dziką jak jej nazwisko, które nas pociągało ku sobie, bo byliśmy wówczas w dziwnie romantycznem usposobieniu. Była to mała malownicza dolina, pokryta sadami i kilką chatami; środkiem niej przewijał się żywy strumień, a piękne lasy okrywały wzgórza, które je otaczały.

Na wyniosłym pagórku nad przysiołkiem, stał murowaniec, to jest z kamienia postawiony dom, nie wielki, wznoszący się na pięterko; okna jego były małe i wąskie, raczej do otworów strzelnic niż do okien podobne; pod całym murowańcem była ogromna piwnica, do której się wchodziło wprost z dziedzińca, wschody były nad piwnicą prowadzone do pięterka po jednej stronie ściany, i zabudowane znowu na sposób strzelnicy. Widocznie był ten murowaniec kiedyś obronnem miejscem i znać do *Wilczej*

Debry uciekali ludzie, kryjąc się przed najazdami Tatarów.

Jakoż leżały Gołogóry obok głównego tatarskiego szlaku, który u ich stóp prowadził od Złoczowa do Lwowa na Gliniany i Kurowice.

Gospodarz Wilczój-Debry powitał nas całym sercem, a żeśmy noc bezsennie strawili, obmyślał dla nas nocleg po śniadaniu; oszyjek piwnicy, do którego się wprost z dziedzińca pod dom wchodziło, był bardzo czysty i obszerny, tu tedy ustawiono kilka sofek i kilka sienników, stół pośrodku, któryśmy do koła oblegli, a że chłód był bardzo miły, że nie było much w tój pieczarze, usnęliśmy po strudzeniu snem tak miłym, że słońce chyliło się już ku zachodowi, gdyśmy się ocknęli.

Akademicy nie robią bez książki podróży. Jeden z nas miał tomik poezyi Goethego, drugi don Carlosa Szyllera, ale księga, która wszystkim za wszystko stała, była to księga wówczas bezimienna wyszła w *Arau*—„*Godziny nabożeństwa*“. W tój księdze rozczytywaliśmy się z największem zamiłowaniem, a żeśmy niczego nie pragnęli więcej, jak aby się ta spieka walna zakończyła burzą, odczytaliśmy z księgi genialnie skreślony artykuł: „*Bóg w Burzy*.“

Prawdziwym bankietem duchowym był opis tój burzy—i rozkoszowaliśmy w potędze Jehowy niosącego gromy!...

Pod wpływem tego usposobienia, zaklinaliśmy niebo, ażeby ziemię nawiedziło burzą—i każdy przyrzekał, że ją pod gołém niebem przetrwa—byle nadciągnęła.

Nazajutrz był dzień jeszcze gorętszy od wszystkich poprzednich, wczesniej niż zwykle wracało bydło z pola, skwarem nieba szalone.

Już rankiem byliśmy dwa razy w kąpeli, ale kąpiel nie ochłodziła nas—członki ciężły nam i dziwna duszność uciskała trwogą piersi. Nawet w oszyjku piwnicy było parno, i dysząc rozpaczliwie, siedzieliśmy nieradni.... W tym przyszedł do nas gospodarz i rzekł: — „Chcieliście mieć burzę — no będzie, ale ta chmura, coś mi się bardzo niepodoba.“

Wyszliśmy na dziedzieniec. Pasma lesistego wzgórza, które zamykało widnokrag, przybliżyło się znacznie, a zdala na widnokregu widna była na jasnym niebie, mała, czarna chmura, po krańcach rozstrzępiona i obrzeżona biało—a mieniąca się co chwila szarząc lub czerwieniąc się.

Przespawszy się po wycieczce, niemogliśmy spać następnej nocy — i jakaś nieznana wrzawa ściągnęła nas w dziedzieniec:—niesłychany wrzask ptactwa, które się stadami biło w powietrzu tak, że całe chmury jego przeciągały nad nami, zakłócił nocną ciszę Wartnicy chodzący po dziedziencu mówili nam, że to wrzask owych kulonów, które się tak niepokoją nocą.—Znać będzie jakaś wielka powódź, kiedy się tak to ptactwo niepokoi nocą i po nad Krasną Puszczą gwarzy.

Gdyśmy uważnie przypatrywali się owej chmurze, na kresie widokregu, począł szybować rój jaskółek tak wielki w powietrzu dokoła nas, iż się zdało, że jakaś zamieć je niesie.

Cisza była w powietrzu zupełna—żaden listek się nie ruszył i tylko świegot niesłychany tych jaskółek zagłuszał tę ciszę...

Czarna chmurka posuwała się tymczasem bardzo nagle—i rozwinęła się dorazu w szarych, różowych i czarnych bałwanach, okrywając pół nieba w mgnieniu oka, jak gdyby kto dorazu zwinięty całun rozwinął.—Z tej chmury, która już Wilczą Debrę okryła, padały pojedyncze krople zrzadka na ziemię, ale te krople były tak wielkie, iż kiedy mi jedna na czoło upadła, zalała mi oczy i oblała twarz całą, a gdzie na ziemię padła, podnosiła się w tej chwili parą rozpalonej ziemi.

Weszliśmy do oszyjka piwnicy, aby co zarzucić na siebie, w tem usłyszeliśmy tak straszne uderzenie o mrowaniec, że kilku z nas bez chęci przypadło na łoże—straszny tuman kurzu i liści zerwał tu się nagle i zaćmił się świat....

Trzask i łomot posłyszeliśmy nad głową tak wielki, iż nam się wydało, że się mrowaniec wali. Tu wpadł gospodarz do oszyjka piwnicy i krzyknął: „Nie wychodźcie, bo zginiemy! — dach zerwało z mrowańca! — a i tu nie bardzo bezpiecznie, lepiej wejdźmy do piwnicy.“

Uderzenia te powtarzały się i straszliwe pioruny poczęły bić z nieba. Grzmot nie ustawał ani na chwilę, i naprzód poczęło bić gradem, a potem puściła się ulewa... Na chwilę ustawało wszystko—i cichło — a uderzenia nowe piorunów powtarzały się... a po grzmotach uderzały nowe fale gradu i ulewy... fale mówię, bo kilka takich fal gradu leżało wałem przed nami; a deszcz nie padał, ale woda urywała

się strugami z nieba, jak gdyby z łotoków na koła młyńskie.

Z oszyjka piwnicy było widać całe pasmo gór lasami okrytych. Straszna chmura wron i kawek skręciła się nad lasami i znikła tak nagle, jak gdyby się w chmury rozplynęła.

Jasne, rażące, seledynowe i różowe pasy i plamy wybijały nagle i naprzemian na ciemnym tle burzliwego nieba—chmura pękała widocznie i rozsuwała się coraz szerzej—czasami niosło całe tumany liścia i nasion, gałęzi i snopów powietrzem...

Po półgodzinnej może burzy, nastąpiła chwilowa cisza. Ziemia drżała i szum wód gwałtownych uderzył nas... Wychyliliśmy się z oszyjka piwnicy, by ujrzeć coś więcej.... O trzysta kroków od murowańca, około wjazdnej bramy—leżał w nieładzie strzaskany dach murowańca. Tak go zniosło, jak gdyby ktoś zdjął czapkę z głowy i nią rzucił,—a cała dolina zamieniła się w jedno wielkie jezioro, z którego tylko dachy i kilka chat leżących powyżej sterczały...

Zrazu zaćmiły były tumany świat—ale gdy prochy wzbite wielkimi bałwanami pod ulewą z powietrza opadły, widać znowu było pasmo górzyste, nad którym się burza srożyła... Zrazu zdawało się, że nas wzrok ludzi, bo drzewa starych lasów poginały się tak bardzo ku ziemi, że płynęły niby fale, tak jak kłosa łąny falami płyną za wiatrem....

Zrazu zdawało nam się tedy, że to złudzenie—ale tuż koło bramy stała piramidalna topola, a gdy ją burza tak przyginała, iż ziemi prawie dotykać się zdawała, wówczas dopiero pojęliśmy, że się coś podobnego i w lesie dzieje.

Jeziro powiększało się z każdą chwilą—i dach murowańca, który już na pagórku koło bramy leżał, spłynął...

Cała fizyognomia okolicy zmieniła się: bo środkiem wioski leżało błonie gęsto wierzbnikami zasadzone; dalej ponad tęp pastwiskiem ogrody i sady, chaty i budynki gospodarskie. W tej chwili było to wszystko już pod wodą—a od połowy dziedzińca, który cały na pochyłości wzgórza leżał, aż do lesistych wyżyn, które o ćwierć mili odległości od murowańca leżały, stało jedno wielkie jezioro...

Gospodarz nasz zbladł jak chusta, a jeden Tytus Lewitowski nie tracił fantazyi i cytował pojedyncze okresy z książki, którąśmy dniem przedtem czytali „*Bóg w Burzy*“.

Po krótkim przestanku ponowiła się burza z całą wściekłością! Szary słup albo raczej ostrokąg, który węże piorunów otaczały, ukazał się teraz na paśmie lesistem i wirował na własnej osi!... Wolno ni-by posuwał się ten słup, ale zważając na to, że odalenie było znaczne, że przestrzeń, którąśmy obejmowali okiem zajmowała do dwóch mil: można sobie pęd tej trąby wyobrazić, która tę całą przestrzeń w kilkunastu przewierciła minutach!...

Przed trąbą poginał się las, a gdzie trąba już przeszła, leżał cały las na pował.... i zmieniła się fizyognomia całej okolicy, bo nagie przejrzały wzgórza, a pojedyncze tylko drzewa, stały tu i owdzie na olbrzymim zrębie, podobnie, jak się nad zapustami nasienniki wznoszą.

W tej tedy chwili była burza w najwyższej potędze swojej, gdyśmy tę trąbę ujrzeli:—potęp osypał

się deszcz piorunów... ogniste węże były nie tylko pionowo, ale przerzynały czarną chmurę częstokroć w kierunkach poziomych, sycząc ku sobie od przeciwnych stron... poczem wylał się siarkowy deszcz, który nie kroplami, ale grubemi sznurami spadał na ziemię...

Pół trzeciej godziny trwała cała burza. Przeszła ona była od wschodu z krain stepowych na pasmo Goło-Gór, a miała charakter prawie przyzwrotnikowej burzy.

Cisza nastąpiła po niej—a dziwne jakieś osłupienie ogarnęło nas wszystkich.—„Bóg w Burzy!“ powtarzał Tytus, ale już tylko sam dla siebie.

Chłód dotkliwy był pierwszemu uczuciu, które nas z przerażenia ocuciło—a teraz dopiero rozpatrzyliśmy się w skutkach tej burzy.

Tak na piąterku w murowańcu, jak w oszyjku i w piwnicy, było pełno wody; zwolna wyłazili dworscy ludzie z różnych dziur, bo każdy stał lub padł tam, gdzie go zaskoczyła burza.

Wody tymczasem huczały zawsze jeszcze strasznie... a chwilami nawet zdawało się, że gdzieś z lasów i pól przybywa jeszcze tych wód i że się zwierciadło ich podnosi....

Co się stać mogło z ludźmi i z bydłem w przysiołku, który pokrywało jezioro? Z każdą chwilą było nasze przerażenie większe. Gospodarz zwoławszy ludzi, kazał z murowańca wszystko przenosić do drewnianego śpichrza, który stał znacznie niżej od murowańca i ocalał. Wszystko było przemokłe i zniszczone w murowańcu, i w pokoikach, i w spiżarni.

Na strychu były różne schowki, więc wszystko to zabrało razem z dachem i po dziedzińcu leżały różne rupiecie rozrzucone....

Stanęliśmy tedy główną kwaterą w śpichrzu, przed którym założono ognisko i kuchnię, a co chwila przychodziły jakieś smutne wieści.

Pastuch widząc, że się woda podnosi, popędził w górę bydło, na łąn pomiędzy półkopki; dwie sztuki bydła ubił piorun „*palikopa*“, on sam przeleżał pod snopem, ale o dwóch pastuszkach, co mu zawracali bydło, nie było wieści, i sam ledwo był żywy i ledwo że mógł mówić od przestרחu. Od tej samej strony przybył owczarz z psem, pędząc przed sobą, z trzystu owiec, zaledwie sto kilkanaście. — Gdzież reszta? — pytał gospodarz. — „Reszta leży na polu, grad pobił owce, bo spadał większy od gęsich jaj, ale nie tyle jeszcze grad, co same się podusiły, bo kiedy burza poczęła się srożyć, zbiły się tak w kupę, że co słabsze wysadzały w górę. Chciałem je rozbić, ale widząc że i mnie zaduszą, bo się w koło mnie kupić zaczęły, uciekłem do starej cegielni, a pies za mną i tam przesiedzieliśmy w piecu całą burzę.“

Woda opadała tymczasem w jeziorze. Czém niżej opadała, tem większy powstawał war, klekot i szum. Tak noc zapadła— a ludzie dworscy obsiedli przed śpichlerzem ognisko, a dokoła tego taboru stało bydło i leżały owce, bo tylko jednej końskiej stajni nie zabrała woda, i na szczęście koni nie było w tej chwili ani w polu ani na paszy, więc ocalały.

Gdy się dzień zrobił, wyszedł przysiołek z pod wód—ale okropnym był ten widok spławionego światła! Wcale chat i budynków nie można się było do-

liczyć; zniosło wierzbniki i sady, płoty i parkany! namuły okrywały całą dolinę, a w miejscu gdzie leżało wsiowe błonie równo, porośłe pięknymi wierzbnikami, wydarły wody przepaścisty jar—i opadały teraz jeszcze z jeziorka w jeziorcko; kołbanie tych jeziorok były tak głębokie, że żadną tyką nie można się było dna domacać.

To, co równem błoniem było, zamieniło się teraz w wysoki łąd, a o dziesięć lub piętnaście sążni poniżej, leżało dno nowego jaru.

Jeżeli już jedna burza może tak odmienić całą fizyognomię kraju i formację dolin, jakże to inaczej musiał ten kraj wyglądać przed wiekami!

Mnóstwo małych rybek rzucało się w rzadkim mule.—Skąd?—czy je burza z sobą przyniosła?—czy gdzieś powyżej wyrwało stawy? — Ale stawów nie było na tej wodzie..... Więc wszystko było zagadką, na co wzrok padał.

Po trzech dniach ledwo można się było dostać do przysiołka i to tylko na koniu, bo dawnych dróg, ścieżek nie stało śladu, wszystko się zmieniło, wszystko zmyła lub zamuliła woda!

Gdy się powódź podnosiła, uciekli ludzie z przysiołka na wzgórki, ale pięciorga ludzi i siedmiorga dzieci nie można się było doliczyć. Piątego dnia dopiero dostaliśmy się przez namuły, przez nowe wodomyje, wyrwy i debry, na drugą stronę doliny: ludzie chodzili po lesie i żywili się grzybami. Las leżał wyłomany napował, a na łomy i zwaliska trzeba się było wdzierać jak na okopy. Ludzie z trochę bydła trzymali się na krańcu tego zrębu, który był podobny do olbrzymiego pobojuwiska starodrzewnych la-

sów. Niewiedzieć z kąd zwlekły się wilki i lisy z całej okolicy i żerowały nawet we dnie na tem pobojowisku, nie lękając się nawet ludzi. Jakoż żeru było dosyć, bo co żywe, czy to ptactwo, czy zwierzyzna, poległo wśród burzy, i tylko kilka wiewiórek skakało po zwałonych kłodach lub wybiegało na pojedyncze drzewa, które na zrębie niezłamane pozostały.

Dziwna rzecz, że tylko młode drzewa przetrwały tę burzę, kiedy gałęzie i pnie starych drzew, albo zalegały zdruzgotane ziemię, albo cało z korzeniami wywalone sterczały na pował.

W miejscu, gdzie dawniej stare drzewa stały, były małe sadzawki napełnione wodą, a korzenie drzew razem z ziemią wydarte, tworzyły wyraźne ściany. Na przestrzeni dwóch mil, wyłamała trąba lasy—i malowniczym był ten nieład zniszczenia, ale umysł ratował się tem tylko z przerażenia, że burza już przeszła....

Wśród wyłamanych lasów natrafiliśmy na małą polankę: krańcem tej okrągłej polanki, czernił się jakiś wał, w kształcie półksiężyca. Jakież było zdziwienie nasze, gdyśmy ujrzeni ten wał, ubity z samego ptactwa, z samych wron i kawek, które burza znać jednem uderzeniem urwała z powietrza i wałem wyłożyła pod ścianą lasu! Co chwila leżał to puchacz zabity, to sowa, i drobne tylko ptactwo odzywało się po lesie....

Niektóre drzewa, stojące na pniu, miały, jak gdyby nożem ścięte całe korony—inne znowu, szczególniej brzozy, były ogołoczone ze wszystkich liści, a powiewne ich gałęzie były jak różgi zplecione w war-

kocz. Miejscami leżały pojedyncze kłody. Niemiły odór padła i namulów rozszerzył się w całej okolicy—i szczęście było, że pochłodziło na świecie; pomimo to, ludzie i bydło poczęli chorować.

To co nas wszystkich najbardziej dziwiło, było wielkie mnóstwo oderwanych nasion, które tak jak je fala niosła, były wałami złożone po polu i wylamany lesie. Pytaliśmy ludzi: — Coby to były za nasiona? — Niewiadomo — rzekł nam stary człowiek — skąd to tyle siemienia naniósł, bo to Bóg sieje lasy... Odpowiedź ta dała mi do myślenia—i może jeszcze kiedyś powrócimy do niej.

X.

Z BURZY GÓRSKIEJ.



atry leżą jeszcze w dzielnicy burz zimowych. Krzywica, która oddziela obszar burz zimowych od letnich na obszarze Północnego Wschodu Europy, przechodzi od Gór Jeziornych (Isergebirge) na Szląsku, przez dolinę Odry, przypada na wyżyny Krakowskie i przewija się doliną Raby na południe ku Tatom, przechodząc następnie na Węgry. Na zachodzie od tej Krzywicy położone kraje należą jeszcze do obszaru burz zimowych, na wschodzie położone, do obszaru burz letnich. Krzywica ta, przesuwa się wszakże w pewnych latach aż do doliny Wiaru, Sanu dolnego i wyłomu Wisły poniżej Sandomierza, a to w miarę tego, jak nastaje panowanie lat suchych lub mokrych, a razem z nimi przeważne panowanie wschodnich suchych i zachodnich dżdżystych wiatrów. W takich latach posuwa się nawet linia graniczna flory podolskiej na zachód i północ, aż w Lubelskie, wy-

rażając wpływ stepowego klimatu, a w przeciwnym razie flora góraska aż na obszar Wiaru, Sanu i po wylom Wisły, wyrażając wpływ klimatu oceanowego i górskiego.

Granice tedy tej Krzywicy klimatycznej są ruchome, a stale zakreślić ją przychodzi w uprzednim kierunku od Gór Jeziornych na Tatry ku Węgrom, bo już ze zwykłych spostrzeżeń wiadomą jest rzeczą, że w okolicach Krakowa i w okolicach Babiej-Góry i samych Tatrów, iż się zimą łyśka, że biją pioruny i ulévają się letnie deszcze.

Jak niedosyć jest widzieć piękną pannę na balu, chcąc ją poznać bliżej, tak niedosyć jest widzieć Tatry w godowej szacie cienistych buczyn, strojnych smukłych świerków, w uroczeń oświeceniu letniego słońca, owiane welonem i grą letniej mgły, oszumione grą wód górskich, potoków i wodospadów, ożywione echem skał, pieśnią pasterzy, odgłosem ligawek i hukaniem rzeszy, która się roi po Reglach, po Halach i Turniach!...

W Tatrach trzeba i pożyć i ożyć się z niemi w różnych porach roku, chcąc w istocie ocenić ich właściwość i zrozumieć jak odrębnem życiem żyją i ile się tu potęg natury składa na wydanie tych uroczych piękności, które nas całym swoim uderzają czarem, gdy je w godowej widzimy szacie.

Powiem tedy tu, czego podobno nikt nie powiedział: że w Tatrach znane są tylko dwie pory roku: długa, zawalna i burzliwa zima—i krótka, zielona i chłodna wiosna. Jeżeliby się jeszcze krótkie przejście od zimy do wiosny oznaczyć dało, to za to żadnego przejścia z wiosny do zimy już niema. Na

kwitnące i zielone Hale spada śnieg od razu, a kiedy zniknie wiosną, wychodzą też same wiosenne kwiaty z pod pleśni, które śnieg okrył swym całunem na schyłku lata zeszłego.

Mówię tu o samych Tatrach, bo otaczające je walne doliny mają już zimę srokatą.

.....Było to w czasie takiej srokatej zimy, kiedy raz pierwszy zbliżał się ku Tatrom w roku 1834. Krwawa była droga—co chwila załamywały się konie wraz z powozem na górskich potokach w dolinie Raby, a lubośmy w kilka powozów jechali, potrzeba było nieraz przyłożyć ręki do dzwigania powozu i wyrywania koni z połamanej kry na potokach.

Na Święty Sebastyan i Święty Krzyż szła nasza droga—i już późno w nocy stanęliśmy w karczmie na Święto-Krzyżkim dziale.

Strudzeni tak mozolną podróżą dnia całego, przespaliśmy noc twardo, i słońce było już zeszło, gdyśmy się ze snu ocknęli.

Był to prześliczny, zimowy, słoneczny ranek po burzliwym dniu poprzednim. Jednostajnym całunem śniegu okryta, leżała Nowotarska Dolina u stóp naszych—a za nią wznosiły się Tatry, całe na jeden rzut oka widoczne, owiane puchami śniegu i paliły się całe w różowem świetle zimowego wschodu!

Nigdy już później nie widziałem ich w tak ciepłym kolorycie. Złudnemi barwami tęczy grały uroczko, chociaż mróz dochodził do piętnastu stopni i ostry wiatr pociągał ze wschodu.

Od Święto-Krzyżkich działów poczyniała się stała zima, jakoż wysłano naprzeciwko nas sanie, kiedyśmy dotąd na kołach jechali.

Sanna była wyborna—i w czterech godzinach, zpuszczając się z Gorca, przelecieliśmy tę przestrzeń całej Nowotarskiej Doliny w poprzek i stanęliśmy w Zakopańskiej Debrze, która już w samych Tatrach leży.

W zimowej szacie śniegów i lodów nie było wszystko zrozumiałem, i raczej się tylko domyślać wypadało, że to skały, a tamto las, bo tylko pionowe skały występowały czarnemi i szaremi płatami, a drzewa były tak okandyzowane lodem i sędzizną, zem po raz pierwszy w życiu lasy białych świerków widział. Toż samo i wody, toż samo i górskie potoki, były prawie wszystkie lodem pokryte, i tylko na wodospadach wyrwały się z pomiędzy lodów szumy górskich wód, jak chmurki, przemykały po tych wodospadach, puchy świeżego śniegu uroczo niesione...

Mieszkania w Zakopańskiej Debrze były, stosownie do tatrzańskiej zimy, i postawione i zaopatrzone na zimę, wygodnie można się było tu pomieścić i przebyć zimę. Wszakże lubośmy w dosyć dużem towarzystwie żyli, dało się czuć po kilkunastu dniach rozstrojenie umysłów. Lubo dobrowolne było to zawsze wygnanie, po kilkunastu dniach pobytu, w tem osamotnieniu od świata, czuliśmy się wszyscy moralnie rozstrojeni i na zdrowiu cierpiący. Codzień prawie trochę przypadało śniegu, co kilka dni srożyła się wielka burza, i tak miotło śniegiem, że coraz nowe powstawały zasy i z budynku do budynku

potrzeba było przerabiać drogi, boby się inaczej nie dostali ludzie do ogniska i stołu, a półmisek nie dostałby się z kuchni do pokoju. Trzeba tu jeszcze zrobić uwagę, że żaden Góral nie wyruszy się z domu za żadną cenę zimą, jak tylko burza, albo śniegi miecie, zamyka się w chacie z rodziną i czeka, aż się na świecie uciszy, a ludzie przetorują drogę.

Była to górnicza osada, połączona z żelaznemi hutami: kilkuset tedy robotników i mieszkańców snuło się na małej przestrzeni, pomiędzy dworem i kuźnicami, pomiędzy głównym składem żelaza, a hutami, które były miejscami oparte o olbrzymie bloki luźnego granitu, jakeimi cała ta Debra jest zasiana.

Podwody, które przystawiały węgiel i rudę do wielkiego pieca, i bryki, które przez całą zimę przyjeżdżały po żelazo i inne fabryczne wyroby, wiązały nas tylko ze światem—i była to prawdziwa rozkosz, kiedy podwody i bryki utarły nieco drogę i gdy się można było z tej pustyni Zakopanego przemknąć saneczkami do Nowego-Targu, gdzie się zawsze można było spotkać z towarzystwem nowem, ze świeżemi gazetami i listami.

Po dwu czy trzech tygodniach przebolełem już nieco i poczynałem przywykać do tych burzliwych nocy i do tych nudnych dni. Podzieliłem sobie czas, zacząłem prowadzić dziennik motereologicznych obserwacyj, studyowałem język góralski geograficzny i począłem spisywać słownik tych wyrazów; studyowałem ducha tej Góralszczyny i jej mowę—i uczułem tu po pierwszy raz, że to jest odrębny dyalekt mowy, który później *dyalektem chrobackim* nazwałem.

Kiedy było jakie kilka godzin pogodnych, robiłem na okolice wycieczki do chat, zbierałem podania i legendy miejscowe, a niejedno ztreściło się nawet w poezji, w *Obrazach Góralskich z Życia i Podróży*, do których się wprowadzić usiłowałem wyrazy, myśli i zwroty chrobackiego dyalektu.

Pół biedy z dniem, ale co robić z długimi wieczorami i nocą? Wszystkie hydry legły się w mózgu, kiedy wycie nocnej burzy spać niedawało.... Gdzieś aż od szczytu najwyższych Turni urywały się te burze i spadały z taką gwałtownością w dolinę, łamiąc się po pionowych skałach Debry, iż za każdym uderzeniem nowem zdawało się, że dom od węgła zabierze, bo dach trzeszczał, okna, choć nieladajako opatrzone okiennicami, drżały, a drzwi odskakiwały co chwila, choć były dobrze zamknięte na zasuwki i klamki. Od czasu do czasu cesała burza przez leśniste zbocze tak silnie, iż się zdało, że całe wyłamała lasy—a kiedy na chwilę burza cichła, dolatywał tylko gwałtowny szum Dunajca i głuche, ponure bicie olbrzymich młotów po kuźniach, poruszanych pędem Białego Dunajca...

Ziemia drżała, a drżało i serce—i straszno wspomnieć te noce niespane wśród zimowej burzy, zwłaszcza w usposobieniu umysłu, kiedy się człowiek z uczuciami swemi i ze światem łamać musi...

Wówczas tedy ubierałem się ciepło i wychodziłem nieraz na godzin kilka do kuźnic, i przypatrywałem się tu olbrzymiemu ognisku i twardej robocie od młota.

Noc jak wróg, ciemna... Tu takie mgły duże —
 A w turniach wyje wiatr z dzika...
 I górskie duchy błędzą po Magórze
 I trwożą snami górnika!

Koło doliny podnoszą się skały
 Strome i czarne, milczące —
 A nad skałami tumany się zwały,
 Niby sklepienia wiszące....

Nie widać nigdzie ni gwiazdy, ni zorzy, —
 Dołem Dunajec szaleje...
 A po pieczarach coś z cicha się sroży,
 I dreszczem śmierci coś wieje!....

Dolina w nocy jak wewnątrz pieczary:
 W niej kuźnie ogniem ziejące
 Jak paszcze smoków zaklętych przez czary,
 Wieczystych skarbów strzegące.

A w tych to kuźniach dopiero roboty!
 Tam się kowale rozjedli:
 Ogniem i wodą, miechami i młoty
 Na to żelazo nasiedli.

Niby kowadło twarde ich igrzysko,
 A żywot niby żelazo —
 Ztąd to ponuro patrzą się w ognisko,
 A na świat patrzą z urazą.

We dnie i w nocy nie staje robota,
 Nie znają zimy, ni wiosny,
 Tylko ten ogień, szum wody, huk młota,
 I jęk kowadła żaloszny....

Uśmiech się nie zna z tą zieloną twarzą—
 Tylko gdy głównia zbieleje
 W ogniu, a oni zórawiem ją zważą,
 Radość szatańska jaśnieje!....

Lecz, skoro stanie żelazu się zadość,
 Chłodnie ich dusza zarazem —
 I gasną oczy i stygnie ta radość,
 Tępiją równo z żelazem....

Miłą była mi ta przyjaźń prostych ludzi przy ognisku! Nieraz kilka godzin nocy spędziłem na rozmowach z nimi. Gdy przyszło wracać do domu, rozpalali do białości dwa grube drągi żelaza i przyświecając niemi przodem, odprowadzali mnie przez drogę do domu. Coś bardzo niezwykłego było w tem wszystkim. Bałamucąc myśli i uczucia, żyłem w otumanieniu tych wiatrów i zamieci przez miesiące kilka i tak doczekałem się Wielkiego Tygodnia, który w kwietniu przypadał, a chociaż niktby się tego nie domyślił, patrząc na to wszystko co nas otaczało, bo głucha była zima jeszcze dokoła, a co więcej, na schyłku jej powiększyły się burze w czasie wiosennego porównania. Najbardziej dokuczyła nam burza, która na samą Wielkanoc przypadła. Była to tak zwana *zimowa kurniawa*, która pyłkowe lawiny niosła i nowemi zaspami całą Debrę zasłała na nowo. Sute i okazałe święcone było przygotowane we dworze—ale przez dwa dni nie można się było dostać do niego z dworków i budynków fabrycznych. Przeszło stu ludzi przerabiało ścieżkę w śniegach przez dwa dni,—a ile razy zamieć podęła, od granicznego

grzbietu wzdłuż Debry Zakopanego, była praca zniweczona jednym bałwanem pyłkowej lawiny i przerobiona ścieżka na nowo zasutą.

Trzeciego dnia w nocy dopiero poczęło się łyaskać i grzmieć krótko, kilka silnych uderzyło piorunów, poczem deszcz się silny wylał, a wszystkie drogi i zasy okryły się skorupą lodu, po której nie tylko pieszo, ale już i sankami przesunąć się można było z łatwością: po tej skorupie lodu przesunąłem się górami do Myślenic, gdzie już późno w nocy stanąłem, a kiedy ujrzałem już rowy świeżę, młodą trawę pokryte, agresty rozwinięte, pęknięte wierzby i niektóre już drzewa w kwiecie po sadach: wyżałiłem się tej pierwszej wiosnie łąkami po zimowej burzy, tak silnie byłem wzruszony, tak zgębniony i uciśnięty burzami zimy tatrzańskiej. Odskok był zanadto wielki od owych dni Wielkiejnocy do owego ranku w Myślenicach: chociaż mil tylko kilka i zaledwo dzień jeden podróży oddzielał mnie od Tatrów, zdało mi się, że całe kraje i miesiące pomiędzy nimi i mną leżą.

Zapomniała wiosna, czem to zima miecie,
 Gdy rzuciła krosna na zielonym świecie —
 Zapomniał przednowek o biedzie we żniwa,
 To prawie tak samo i z człowiekiem bywa. ...

.....Twardy był nowicyat naukowych studyów w Debrze Zakopańskiej. Wśród zimowych burz, potrzeba

było przestudyować Stasica i Walelnberga, Pusza i Sydow'a, a prócz nich nauczyć się czytać w niespisanej księdze natury, w sercu i obyczajach ludu, w tajemnicach mowy.

Poznałem tedy Tatry, zanim je jeszcze zwiedziłem i z książek i z opisów Górali. W jednym zapewne punkcie, to jest w samej Debrze Zakopańskiej, miałem się czas rozpatrzeć, ale ta alpejska Debra dała mi tylko obraz Tatrzańskiej zimy, ale nie dawała ani pojęcia żywego oddechu Tatrów po zielonym świecie, ani widoku tych piękności, jakimi całość Tatrów uderza i każdy ich szczegół. Z niecierpliwością tedy czekałem na letnią porę, poznavszy Tatry po „białym świecie“ (jak Górale mówić zwykli), pragnąłem je poznać po „świecie zielonym“.

W tych już dwóch wyrażeniach Podhalan, leży najściślejsze określenie naukowe, że w Tatrach znane są tylko dwie pory roku: zawałna, biała zima i zielona, grzmotna wiosna. Jakoż, ktoby się chciał przypatrywać burzom Tatrzańskim po zielonym świecie, znajdzie wszystkie rodzaje burz letnich, począwszy od burzy na najmniejsze wymiary, podobnie aż do największych, gdzie się całe Tatry okrywają jednym całunem chmur gromowych, naszytym wężami piorunów. Każdy grzmot pojedynczy odbija tu się potężnie o skały—i czy odchodzi czy wraca odbity, dzieli, dwoi i powtarza się, a to tak, iż się zdaje, że to kilka burz piorunnych ciągnie ku sobie, i że równocześnie i tam i tu burza, bo nawet najwprawniejszy zmysł nie zdoła sobie zdać sprawy z pierwotnych i odbitych gromów.

Żyjąc od młodości z myśliwymi, rozumiałem to dobrze, iż chcąc się znać z wagą zwierza i knieją, potrzeba knieję objechać do koła. Tym samym tedy zmysłem kierowałem się w poznaniu Tatrów, i puściłem się na objazd całych Tatrów drogą prowadzącą poziomem walnych dolin. Nie docierając do wnętrza gór, nie zwiedzając pojedynczych dolin, nie wstępując ani na pasma lesistych Regli ani na piasznicze Hale, ani na skaliste Turnie, objechałem naprzód bitym gościńcem w znacznym oddaleniu całe Tatry dokoła, co mnie z dłuższymi i krótszymi przestankami zajęło prawie do dwóch tygodni czasu.

Tego rodzaju podróży, aby objechać całe Tatry dokoła i poznać wspólne ich wyniesienie nad poziom morza, tudzież w jaki sposób wyrastają z poziomu walnych dolin—tego rodzaju podróży nikt nie robi. Jak mówię, kierowałem się tu zmysłem myśliwego, który w szeregu naturalistów należy do najstarszych badaczy natury miejscowej—i wdzięczny za to sobie całe życie byłem, że obrałem tę drogę studyów, bo mnie już nigdy później nie zawojował żaden szczegół, chociażby najbardziej zajmujący i owszem: poznawszy Tatry w olbrzymich rozmiarach ich całości, umiałem sobie dopiero później zdać sprawę z pojedynczych szczegółów, z pojedynczych widoków, głosów i wzruszeń natury.

Zazwyczaj dzieje się inaczej ujrawszy Tatry: spieszymy się, aby jak najprędzej wdrzyć się w ich wnętrza, obejrzyć ich doliny, wstąpić na ich szczyty, a pośpiech i brak wprawy w zwiedzaniu gór, pozabawia nas tysiąca piękności, a zwiedzenie jednej lub dwóch dolin i kilku szczytów, nie daje właściwego

wyobrażenia o Tatrach, bo różnaitość kształtów i widoków jest tutaj tak wielką, iż z tego co się po-bieżnie zwiedziło, nie można powziąć właściwego wyobrażenia o rzeczy.

Wielkim widokom natury potrzeba się naprzód przypatrywać z daleka—bo wszelka piękność niedo-zwała nagłego zbliżenia do siebie: potrzeba się z nie-mi oswoić, potrzeba je zrozumieć, a szczególnie to, w jakim stosunku stoją całe Tatry do otaczających je sąsiednich krain i jaki jest wzajemny stosunek po-jedynczych części w tej całości.

Te dwa pytania robiłem sobie ciągle—i zakreś-lam teraz drogę w owej podróży odbytą, życząc te-go każdemu, aby się tąż samą drogą puścił, na po-czątku czy na końcu podróży swojej — bo w takim tylko razie wyniesie obraz całości Tatrów, zwłaszcza, że wszystkie dotychczasowe karty Tatrów są fałszywe, i raczej obrazem opisów niż wiernym topograficznym obrazem poziomów.

Cztery walne podłużne Alpejskie doliny otaczają skalisty zrąb Tatrów dokoła. Równy tedy poziom prowadzi w objazd Tatrów i niewielkie tylko wzgó-rza są tu lub ówdzie do przebycia, a w całej tej podróży nie traci się nigdy Tatrów z oka, i owszem znaczne oddalenie pozwala objąć je okiem zawsze z nowego punktu.

Dziwnie to jest łudzące: w miarę zbliżenia się do Tatrów, ścieśnia się widnokrąg i *maleją*, uderza-jąc tylko pięknnością szczegółów—w miarę zaś odda-lenia *rosną*, bo uderzają ogromem całości.

Puszczając się na objazd Tatrów, wyruszyłem z Nowego-Targu na wschód drogą ku Czorsztynowi

Nowo-Tarską doliną, czyli tak zwaną doliną *obydwu Dunajców*.

Pomiędzy Czorsztynem a Niedzicą, tu gdzie się wyłom Pienin poczyna, prowadzi starożytny szlak tak zwany „*Grecką drogą*“, „*Drogą po pod Zamki*“, na Spiż. Tu wypada się poniżej zamku Niedzicy przepawić do Węgier—i dalsza droga po przebyciu nie wielkich wzgórz, prowadzi już w górę Spizką Doliną na piękne budowne Grody Spizkie, na starożytne kościoły i zamki, któremi ta cała dolina jest zasiana.

W całym ciągu tej podróży, nie straci się Tatrów z oka: w każdej chwili, coraz z nowego punktu widziane, występują tu one w całej okazałości, i owszem w tak wielkich zarysach jak nigdzie, bo tu dźwignęły się one nagle i do razu: z poziomu do 6000 stóp wznoszą się nagie, pojedyncze skały pionową ścianą—z poziomu doliny, wyrastają do razu olbrzymie alpejskie Turnie—a u stóp ich orzą pługi ziemię na równym łanie.

Nic bardziej uderzającego nad ten kontrast poziomych i pionowych wymiarów—nad ten kontrast natury i dziejów—pierwotnej dziczy przyrodzonej i cywilizacji odwiecznej, na której ślady napotyka się tutaj z każdym krokiem.

Tatry w obliczu Spizkiej Doliny—to natura w obliczu średnich wieków,—a kto i jedno i drugie ocenić zdoła, wynosi z tej podróży to, co i jedno i drugie dać może.

Czas był prześliczny—powietrze tak przeźrocyste, że nietylko lasy poniższe, kosmy, kosodrzewiny były widzialne, ale nawet drogi i ścieżki w górach,

a miejscami szalasze i pojedyncze dymy wznoszące się słupem z nad ognisk juhasów!...

Taka droga prowadziła aż do wierzchowiny Doliny Spiżskiej, równiną, podnosząc się bardzo nieznacznie. Tu opuściły nas wody, które Poprad zabiera i przyszło się przepawić przez europejski dział wodny, który w tym punkcie rozgranicza wodny obszar Dunaju od obszaru Wisły.

Wodny dział przybiera tu kształt płaskiego połogiego wału. Przebyłem go w okolicy Czorby i tu zwały się wody oddziału wodnego Doliną Liptowską, ku rzece Wadze. Dolina Liptowska przeciągnęła się tu wprost od wschodu ku zachodowi—i ze wszystkich czterech podłużnych Tatrzańskich dolin, jest ona najwięcej ścięśnioną i najwęższą stosunkowo, leży ona najwyżej i ma największy spadek, bo z jednej strony wzniosły się *Wyżne*, z drugiej *Niżne* Tatry, które dolina *Wagi* rozdziela.

Najwięcej tedy dziki i alpejski pozór ma dolina Liptowska. Amfiteatralnie wznoszą się po zabrzeżach tej doliny, tak po jednej jak po drugiej stronie, strome skały, które raz nagie, to znowu płaszczem jednostajnych lasów okryte, w ostrych konturach odrzynają się na niebie i w sposobie kulis olbrzymich wysuwają się w dolinę, tak od strony *Wyżnich* jak od strony *Niżnich* Tatrów. Droga przewija się wzdłuż *Wagi*, i do walnej doliny podłużnej przytykają co chwila doliny poprzeczne od *Wyżnich* i od *Niżnich* Tatrów i nieunoszone potoki, które przydolinkami z szumem ulévają wody niosąc z sobą rumowiska skał...

Wszystko jest tu dziko poszarpane i w pierwotnym chaosie zniszczenia nieujęte—a szczególnie uderza kontrast położej, żyznej, i uprawnej Doliny Spiżu, opiętej sadami, do dzikiej Doliny Wagi, którą całą prawie na wzdłuż przejrzeć można, zpuszczając się w nią od wierzchołki.

Nad pasmem Niżnich Tatrów, po lewej stronie, uderza najwyższy szczyt *Turni Dziumbiru*, po prawej stronie wysuwa się najdalej na pozór szczyt *Wielkiego Krywania*. Spadek doliny jest bardzo znaczny, a to dodaje jeszcze malowniczości tym widokom, że się ciekliny tak Niżnich jak Wyżnich Tatrów co chwila wysuwają w dolinę, oddzielając ostremi zabrzeżami jedną poprzeczną dolinę od drugiej.

W połowie prawie tej drogi, kiedy się miał już zrównać ze szczytem Dziumbiru, paliło słońce niezwykłym skwarem i gromowe chmury poczęły się zbierać około Turni Wielkiego Krywania po jednej stronie, a po drugiej około Dziumbiru.

Podhalanin, który mnie wiózł, zatrzymał konie, a rozglądając się po Turniach powiada do mnie:—

— „Czyby nie lepiej stanąć tu na południe w tej gospodzie?“

— „A dla czego? — zapytałem.

— „Bo jużćić może niekoniecznie potrzeba tego, abyśmy zmokli.

— Co ci Bóg dał?— rzekłem. — Najpiękniejsza pogoda, chmurki nie ma na niebie.

Góral rzekł: — Tak to się panu widzi, ale ja radzę zostać w gospodzie, bo Wielki Krywań z Dziumbirem mają sobie coś pogadać—i pono pogadają sobie—a źle będzie na potokach, jak przybiorą wody....

Teraz dopiero począłem się przypatrywać gromowym chmurom, które wielkim pierścieniem szczyt jednej i drugiej otaczały Turni: kilka mil oddzielało jeden szczyt od drugiego—a chmury gromowe rozrastały się z każdą chwilą szerszym pierścieniem... Po pół godzinie czasu zrosły się z sobą w wysokości Turni, i wysklepiły niby bramę od Wyżnich Tatrów do Niżnich. Najpiękniejsza pogoda była nad nami—dalej padał może w szerokości pół mili ponury cień na dolinę od zasklepionej bramy, a po za nią stało znowuż wszystko w oświeceniu słonecznym...

Była to prawdziwa panorama letniej burzy, słonecznego świata, przedzielonego zasklepioną bramą chmur, przez którą widać było pogodę...

Nagły bardzo wiatr się zerwał—węże piorunów przesywały gromową chmurę na całej przestrzeni od Wielkiego Krywania do Dziumbiru—potem wylała się ulęwa i przez ulęwę patrzyliśmy w świat słoneczny, stojąc sami w słońcu... Przepyszne tęcze zapalały się na niebie—a gdyśmy z południowego popasu ruszyli, natrafiliśmy w dolinie na smugę, po której ulęwa przeszła na wezbrane potoki i ochłodzone powietrze. Smuga ta nie zajmowała nad pół mili w poprzek doliny, dalej niepadła ani kropla deszczu i kurzyła się droga, chociaż obok nas szumiała Waga, która dopiero teraz od przybytku wód pobocznych przybrała... Zabrawszy mimojazdem wrażenie pierwszej burzy letniej Tatrzańskiej, która tem była osobliwszą, że się wysrożyła w niesłychanej wysokości nad ziemią, bo w wysokości samych już Turni, ruszyliśmy dalej.

Liptowska Dolina rozszerzała się tem więcej za brzegiem Wagi, czem bliżej było do ujścia *Orawy*

rzeki, którą *Waga* z sobą uprowadza i do Dunaju odlęwa.

Z podłużnych dolin Tatrzańskich, była dolina Wagi trzecią z kolei, którą przejechać przyszło, chcąc objechać Tatry dokoła po poziomie równym.

Podobnie, jak lesiste przedgórze Spizkiej *Magury*, przylegają na Spizu do skalistej ściany Tatrów: tak też przylega Magura Orawska w północno zachodniem zakończeniu Tatrów, przedgórzem lesistém do głównej osi tej alpejskiej krainy. Podnóżem tedy Magury Orawskiej, obchodzi Dolina Orawska łukiem, a przebywszy zrazu ścieśniony wyłom, który się od Zamku Orawskiego rozszerzać poczyna, jechaliśmy doliną ku jej wierzchowinie—i kraj wydał się dokoła zupełnie równy: ani na chwilę nie traciliśmy widoku Tatrów z oka, i gościeniec podnosił się tak nieznacznie i wolno, iż za ledwo wierzyć można było temu, gdyśmy w końcu na wodnym dziale stanęli, (który od Babiej-Góry przechodzi ku Tatrom pomiędzy wierzchowiną Orawskiej a Nowotarskiej Doliny), że stoimy na wodnym dziale Europejskim, który rozgranicza obszar Dunaju od obszaru Wisły; na samym bowiem wodnym dziale leży tu tak zwane „*Czarne Bagno*“ są to wielkie odkryte torfowiska „*pustaciami*“ zwane, które zalegając wierzchowinę obu tych dolin, zplywają od wodnego działu ku Orawskiej i Nowotarskiej Dolinie.

Tu od Jabłonek, które na samej granicy tych dwóch dolin leżą, występują Tatry na poleć znowu w całej okazałości—a że się droga od nich oddala, zdają się rosnać na oko w całej tej drodze aż do Nowego-Targu. Z tych czterech dolin jest najob-

szerniejszą i najchłodniejszą Nowotarska, najżyźniejszą Spizka, najbardziej ścieśnioną Liptowska, a najdalszą Orawska Dolina—i w objeździe tym dokoła Tatrów, natrafia oko co chwila na widoki inne. W takiej podróży przesuwają się prawdziwa galerya alpejskich widoków przed duszą...

Później, zwiedzając przez kilkanaście lat góry z kolei, miałem sposobność przypatrzenia się większym i mniejszym burzom letnim, a że mnie od młodości nic bardziej nie zajmowało nad to wielkie igrzysko natury, wyczekiwałem burzy zawsze z upragnieniem, bo już w usposobieniu nerwowem leżało coś, co mi przed burzą spocząć nie dało: pewien niepokój, chwilami nawet pewna trwoga, która w razie zbliżającej się burzy rosła, a z każdym nowym uderzeniem piorunu, zamieniała się w jakieś rozkoszne uczucie ulżenia na ciele i duszy...

„*Bóg w Burzy!*“ powtarzałem sobie nieraz słowami Tytusa, wspominając pierwszą burzę, co mi w młodości na zjawiska natury otworzyła oko i duszę, bo była to płodna burza, jak wszystkie letnie piorunne.

Nieraz widziałem w Tatrach, stojąc na słonecznej Turni, jak się srożyła burza pod nogami, i jak poniżej wzbierały potoki, kiedy na Turnię ani jedna kropla deszczu nie padła: ale najpamiętniejszą stała się dla mnie miniaturowa, że się tak wyrażę, burza, na którą patrzyłem stojąc nad Krakowem.

Z Kościeliskiej Doliny, przeprawiwszy się przez przełęcz *Saturna*, staliśmy nad wielkim kotłem, którego ściany, wielkimi kwadratowymi skałami osadzone, wznoszą się pionowo, dzieląc się niby na ulice i

rynki. Górale nazywają ten kocioł, który ma podobieństwo do skamieniałego grodu, *Krakowem*. W tym tedy kotle widziałem osobliwszą burzę, która się wy-srożyła niepełna w piętnastu minutach na małym rynku pod stopami naszymi. Stojąc na szczycie pionowych *Stermin*, ujrzałem jak jedną z ulic tego tatrzańskiego Krakowa, posuwała się mała chmurka; po drugiej stronie ulicy na skałach, ujrzałem kępę alpejskich dzwonek, które tak rozkosznie zakwitły, iż były widocznymi z daleka; prosiłem tedy przewodnika mego, aby mi z korzeniami i ziemią przyniósł garść tych roślin. Zpuścił się w dół po skale i może w pół godziny czasu ujrzałem go przy kępie dzwonek alpejskich, na przeciwległej skale: oddalenie było na oko tak nieznaczne, iż zahukałem ku niemu i że mi odhukał, ale zastanowiło mnie to, iż miasto tego, żeby miał do mnie powracać z roślinami, usiadł sobie na skale spokojnie, dobył lulkę, nałożył, i wykrzesawszy ognia położył się na skale. Hukałem ku niemu i dawałem znaki żeby powracał, lecz on ani poruszył się z miejsca—usiadłem tedy także na skale i patrzyłem w ulicę, po której się podemną mała, czarna przesuwała chmurka. Druga do niej zupełnie podobna, ale kolorytem odmienna, bo więcej szarawa i różowa, zalegała środek rynku i wisiała znacznie niżej od czarnej chmurki w ulicy. Nagle podniosła się w górę, i stanęła w jednej wysokości z czarną chmurką w ulicy, ale to tak nagle, że ledwo mogłem dostrzedz co się stało. Przez chwilę było jeszcze dno jaru ulicy widoczne—lecz tu nastąpiło uderzenie drugie... Obie chmurki rzuciły się w błyskawicach ku sobie—mniejsza z rynku wpadła w ulicę—

zagrzmiało krótko kilka razy—kilka silnych uderzyło piorunów—i jedną wąską smugą opadła ulewa na ulicę, a obie chmurki znikły bez śladu.... Była to prawdziwie teatralna burza! Góral dźwignął się ze skały—z rozpalonych kamieni podnosiły się białe pary... a kiedy mój przewodnik do mnie powrócił, śmiał się z tej durnej burzy, która się między nami wyroszyła i przeszła bez śladu, zanim jeszcze lulkę mógł dopalić.....

Do tych wspomnień wyniesionych z burzy, dodam tu jeszcze obraz zimowej zamieci z pod Beskidu, gdzie już nie ja szukałem burzy, ale gdzie mnie burza znalazła.

— Póty dobrze, mówią myśliwi, póki człowiek za zwierzem idzie: ale źle, kiedy zwierz już człowieka szuka.

Mamy nawet bardzo piękne opisy zimowej zamieci na stepie, ale nikt nie dał jeszcze wyobrażenia o zimowej zamieci w głębokich górach pod Beskidem. Od końca sierpnia poczyna już polatywać śnieg, ale ginie znowu wkrótce. Rzadki rok, żeby owies w pokosach na górskich polanach nie przeleżał się jaki tydzień pod śniegiem, poczem znowu najpiękniejsza pogoda jesienna nastaje. Nieraz już w listopadzie na głuchej jesieni zwożą Górale owsy z pola, ale wielkie zamiecie i śniegi zpadają dopiero pierwszych dni grudnia, lecz nietylko już na Beskid graniczny, ale także na wszystkie ościenne pasma góryste.

Było to tedy w takim czasie, kiedy śnieżne obłoki zpuszczają się nisko, a góry i lasy dalsze nikną na całe tygodnie dla oka... Dobrze z południa przybył myśliwy gajowy do *Szumnego Dworu*—zawiesił strzelbę w sieniach na kołku, przywitał się z domowemi psami i trzymając kilka par jarząbków i parę cietrzewi, wstąpił do pokoju.

— „Co ci to Seńku?“ — zpytałem go widząc, że bardzo zbiedniał.

— „Ledwo żyję Panie, tak mnie wystraszyły dziki. Na brzegu błotnistej Sołotwiny wybierałem czyr ze starego buka — i szczęście moje, że byłem na buku. Stado dzików zwało się na Sołotwinę i poczęło ryć za słodyczką bardzo łakomo. Otóż przesiadziałem dobę prawie na buku, zanim dziki z legowiska ustąpiły: — lecz ledwo żyję od głodu i strachu. Dzikie zbili się już w stado, nie żarty Panie! będzie kurniawa *) — trzeba uciekać do hyży (chaty).“

— „A czego chcesz odemnie?“

— „Przychodzę po dyspozycyę,“ — rzekł mi — i powiedzieć Panu, że ja tu może kilka tygodni nie

*) *Fujawicą*, a miejscami *kurniawą*, nazywają w głębokich górach naszych wielką zamieć zimową. Naukowo wypadłoby nazwać to zjawisko „pyłkową lawinę“ (eine Staub-Lavine). Za uderzeniem orkanu, który w kierunku pionowym uderza na ziemię, powtarzając się co chwil kilka, spada do razu gruby całun śniegu na ziemię. Potem następuje niby chwila zupełnej ciszy, bo krzyżujące się wiatry w różnych kierunkach bywają pionowym uderzeniem na chwilę przerwane i złamane. Nazwałbym *urwaniem śniegów* taki całun spadający do razu na ziemię, jak się mówić zwykło o *urwaniu chmury*. Po chwili ciszy, powraca moc krzyżujących się wiatrów, które nie są niczém in-

będę jak kurniawa zpadnie, — lecz proszę przynajmniej o pół funta prochu, coś kul i śrutu, a jak co ubiję a będzie można przyjść do dworu, to przyniosę: — ostrzegam także Pana, że stado dzików przewaliło się już na naszą połąć, to może się i do wsi zpuszczą.

Chciałem się z nim szerzej rozgadać, ale się spieszył do domu i lękał się, aby go śnieg nie zapadł w drodze. Podawszy tedy zwierzyinę, a wzięwszy naboje, ruszył śpieszno do domu.

Przed północą zerwała się straszna burza, która śniegiem miotła.... Był to pierwszy rok zamieszkania mego w górach. Nieoswojony z tego rodzaju burzami rozumiałem, że drewniany dom od węgła zabierze, tak straszliwie trzeszczał dach i strzelało po węglach... Już z wieczora słyszałem, że wartnik od strony wiatru pozamykał okiennice, ale nie domyślałem się wówczas, że na bardzo długo zostaną zamknięte.

ném, jak od gór i lasów odbitym, i wracającym się prądem powietrznym, który teraz po nad ziemią strychuje. Całun świeżo spadły porywa ten prąd odrazu i zwija go jak runo w olbrzymie bałwany, które, pędzone po pochyłości gór, zasypują odrazu debry i potoki lub osiadają w ogromnych zaspach, gdy im co odpór stawić zdoła w drodze. Są także chwile, gdzie taka *lawina pyłkowa* w puch rozbita nie zaraz opaść zdoła na ziemię, ale wirem kręcona staje się niby śnieżnym obłokiem. W potocznej mowie jestem za zachowaniem *kurniawy*, na oznaczenie tego meteorologicznego zjawiska, w naukowym języku za „*pyłkową lawinę*,” bo śnieg zpadający w tej lawinie jest suchy i tak drobny, iż kryształki jego są do pyłu podobne.“

Psy zaczęły wyć straszliwie, tuląc się do domu... W stajni wołowej, która była za rzeką, poczęło ryczyć bydło, choć woły stały w murowanej, cieplej i dobrze zamkniętej stajni. Straszliwa była ta noc! Ubrałem się napowrót—zaświeciłem światło i zalałem kłodę na kominie,—bo kiedy wiatr nagle w komin uderzył, miotło jarzącymi węglami i iskrami po całym pokoju... Nie pewny, coby począć, posłyszałem jakiś ruch we dworze, więc poszedłem do piekarni—i tu wygaszono ognie i świecono tylko łuczywem—całą drużynę dworską, wszystkich parobków i dziewczki zakupiła tu trwoga... Na środku kuchni stała kadź pełna wody, a całe pół kuchni założono drzewem i suchym łomem tak, że ledwo małe przejście do drzwi śpiżarni pozostało, chociaż do wody i do drwalni nie było jak kilkanaście kroków od dworu. Stara młyniczka przybywszy z pobliskiego młyna, wydała taką dyspozycję i powitała mnie wesoło, gdym wstąpił do kuchni.

— „Co to znaczy?“ — zapytałem.

— „Na świecie fujawica!“ — rzekła mi młynarka—„to może jaki tydzień wypadnie posiedzieć w domu, to kazałam czeladzi nanieść wody i drzewa i zabrać drób' do piekarni.“—Zrozumiałem, i po tej mowie i po osepieniu ludzi, że coś niedobrego idzie. Młynarka prosiła, aby ludziom dać poczesne, bo już ciż noc wypadnie przeczuwać i przesiedzieć razem. Gdy częstowała ludzi, otworzyły się drzwi do kuchni i naprzód wszedł kowal, a za nim dwóch Górali—i każdy z nich zadyszany niósł wór węgla na plecach, i rzucił go teraz na ziemię.

— Mądryś jest kowalu i dostaniesz za to wódki, — rzekła mu stara młynarka.

— A do czego te węgle? — zapytałem.

— Babą — odpowie mi — trzeba pozatykać kominy, więc tylko przy węglu będzie można gotować.

Burza wzmagała się tymczasem coraz więcej.... Uderzenia orkanu były tak gwałtowne, powtarzające się co kilka minut, że się ludzie z miejsc podrywali.... — Przymknięto wszystkie okiennice z niemalą trudnością, czego nie robiono nigdy. — Zrozumiałem, że trzeba z ludźmi razem noc przeczekać: jakoż dodawała stara młynarka ducha — kazała jasno zaświecić łuczycywem — rozdała kądział między dziewczki — napędziła chłopców do robienia siatki, zasadziła parobków około wielkiego kloca, aby z suchej buczyny szczyпки robili: kazała mi z pokoju przynieść krzesło i usadowiwszy wszystkich, rozpowiadała, jakie to kurniawy nieraz za jej życia były i jak cudownie nie raz Pan Bóg wybawiał ludzi z tej przygody.

Tak przesiedzieliśmy długą noc zimową.... Gdy się dzień zrobił, począł *mądry brys* dobijać się do drzwi od kuchni: odchyłono drzwi, a za nim razem wpadła część zasy, co na drzwiach leżała, do izby, i wleciało kilka wróbli zziębłych, które się z trwogi i zimna tuliły pod strzechę.... *Brys* był cały śniegiem i lodem omarznęty i oczy mu się tylko świeciły — skomlał i jęczał z cicha, choć był bardzo silny i wytrwały.

Młynarka litując się nad nim, zagrzała mu słodkiego mleka na węglach, które się w wielkim saganie żelaznym jarzyły przed piekarskim piecem, pa-

robcy wytarli go słomą, obrywając sople lodu z ogromnych kudłów — a dziewczęta rozgrzewały w rękach biedne wróble, które się nie bały i nie broniły, widząc że im nikt krzywdy robić nie chce, ale jadły z ręki i szczególnie piły chciwie wodę, a ogrzawszy się, furkotały wesoło po izbie...

Gdy się dzień zrobił, nie ustawała burza. Drzew, które na kilka kroków przed domem rosły, widać nie było, tak kręciło śniegiem i niesło zamiecią — a cała połowa domu stała już pod zaspą, która powyżej dachu sięgała. Przed oknami siadały wrony i trznadle przypadały na przyspę... Przeszedłem do moich pokoi, ale tu była noc zupełna... Zasy okryły całe ściany domu — i ani promyk światła nie wchodził przez okiennice: — zamieć zabiła cały komin śniegiem tak twardo, że później go wyrąbać trzeba było, a strugi wody ze śniegu, który topniał, płynęły wzdłuż całych pokoi....

Trzy noce i dwa dni trwała ta burza — a kiedy nadstała, nie można się było rozpoznać z obejściem ani z okolicą, tak bardzo pozmiały ją zasy olbrzymie! Tu i ówdzie sterczało jakieś drzewo, lub czernił się szczyt chaty. Wszystkie wąwozy, drogi i potoki były zawiane, a nawet na rzęce nie dobywała się nigdzie woda. Wodospad na jazie tylko szumiał z pod zasy i ginął pod zaspą...

Jak burza ustała, prosiła stara młynarka, aby zapalić przed Matką Boską lampę i zmówić razem z ludźmi litanie na podziękowanie Panu Bogu, żeśmy cało z burzy wyszli, a po litanii rzekła do parobków:

nad sto kroków tylko było. Sołtys nie radził wprawdzie siadać mi na konia, ale na wołu, lecz mi się to jakoś śmiesznie i nie po rycersku wydało: to też jadąc za mną, wyciągnął mnie po dwa razy z zasy, gdy się klacz w śniegu związała. Pierwsza rzecz była pomyśleć o pożywieniu ludzi i bydła—druga pomyśleć o zacierze, aby nie stanęła gorzelnia. Więc już późno w nocy powróciłem z gorzelni i wybornie przespaliśmy noc całą pod zaspą, nie spawszy trzy prawie całe noce.

Rozumiałem, że co najgorsze, było już przebyte—ale gdy się dzień zrobił, ozwało się wołanie na górnym końcu wsi... Przerażliwe głosy, błagające ratunku, przybliżały się coraz więcej—i poczęto dzwonić na trwogę. Jeden z parobków dostał się z trudnością po drabinie na wierzch dachu—i przerażony wołał, że się czerniawa dzików z działu wali na górny koniec wsi!... Na ten odgłos poczęły się zamykać wszystkie drzwi po stajniach i budynkach dworskich—a ludzie poczęli uciekać na strychy... Parobek, który siedział na dachu, donosił co chwila, co się na górnym końcu wsi dzieje—i że stado dzików spuściło się już na obejścia i buszuje między chatami...

Śnieg był tak wielki spadł, że dziki nie mogły się dostać w lesie do żeru, więc zgłodniałe zpuściły się wielkim stadem do wsi... Słysząc było zrazu straszliwe ujadanie psów, które w miarę tego cichło, jak się dziki zbliżały—bo dziki wycięły wszystkie psy po drodze: nie tylko psy ale i trzodę chlewną, bo gdzie ją tylko poczuły w obejściu, rozburzyły chlewy w oka mgnieniu i pożarły trzodę. O obronie nie można tu było myśleć.—Jeden odgłos dzwonów zda-

wał się na chwilę zatrzymywać stado. Dzwonnica stała naprzeciwko dworu.—Rzeczywiście zwróciły się dziki przed obejściem dworskiem w bok—przeszły rzekę— a gdy z plebanii był już do rzeki ślad przetorowany, wpadły na dziedzieniec plebanii całym stadem tym szlakiem i obiegły w dziedzińcu, znalazłszy tu w kopcach przeszło dwieście korcy ziemniaków..... Kopce te znikły w jednym mgnieniu oka.... Ludzie w plebanii uciekli na strychy i dachy.... Przez cały dzień rozlegały się głosy wołające ratunku—a dziki, rozłożywszy się po nawozach i gumnie—leżały sobie spokojnie w barłogu... We dworze miałem tylko dwie dubeltówki—ale co tu dwie strzelby pomogą na taki najazd całego stada dzików? Było wprawdzie kilkunastu gajowych i leśnych, ale tych oddzieliły śniegi ode wsi i zresztą nie miałem żadnego wyobrażenia o tem, jakby w myśliwski sposób można radzić w takim razie.

Sołtys powiedział mi, że jeżeli kilka kóp okłótów dam na to, to może się uda odpędzić nocą dziki ode wsi.—Ale mądrze trzeba się Panie wziąć do tego, bo u księdza było tylko dwieście korcy ziemniaków w kopcach, a u nas jest przeszło trzy tysiące korcy w gumnie—a jak nie mądrze ruszymy dziki, to się do nas zpuszczą i zjedzą ziemniaki, i gorzelnia stanie i niedołężone woły pognamy na targ. Teraz dopiero ujrzałem całe niebezpieczeństwo położenia mego, bo nie byłbym nawet pomyślał o tem, że to był właściwie najazd dzików na ziemniaki, w których już na późnej jesieni wielkie zrobiły szkody.

— Z plebanii nie trudno będzie ruszyć dziki, bo już tam oporządziły wszystko—więc i same tej nocy

ruszą, ale cała sztuka, żeby dziki odwrócić na działy, a niepuścić tej najedzi napowrót do wsi. Wypada tedy tak zrobić że ja z gromadą zastąpię im od dworu i rzeki, i oprzem się aż o dzwonnice — a Pan z innemi ludźmi ruszysz dzików z miejsca. Przed wieczorem zbiorą się ludzie we dworze — a oto toporniki już idą, to złagodzim tyki.

Tuż na ogrodzie dworskim stały tyki chmielne w piramidy ułożone: rozebraliśmy jedną, a wybierając co najteższe i najgładsze tyki, przyrządzali na prędcę topornicy.

W kierunku przez sołtysa oznaczonym, od dworskich ogrodów w poprzek rzeki ku dzwonnicy, wyrobiono szlak wołmi, wszakże w sposób takowy, że się z żadnym innym szlakiem nie łączył. Na tym szlaku co kroków ośm albo dziesięć kazał sołtys przygotować po dwa okłoty, a prócz tego kilka kóp mierzwiastej słomy przed szlakiem. Na tej robocie upłynął prawie dzień cały. Kilka kagańców podróźnych było we dworze, więc robiono przez dzień cały gałki żywiczne, ale nie tylko gałki, bo krajano nawet stare wory, moczono je w żywicy i przywiązywano jak chorągiewki na końcu tyk.

Pod wieczór zeszła się prawie cała gromada do dworu.—Z najteższymi chłopami stanął sołtys na szlaku od granicy obejścia dworskiego ku dzwonnicy—chłopcy obsiedli dachy, a gdy się już dobrze ściemniło, wzięliśmy już wszystkie dworskie konie pod ludzi, tyki ze smolnemi wiciami i ruszyliśmy ku rzece. Plebania leżała nad rzeką na wysokiem zabrzeżu—i droga do niej wiodła krótkim wąwozem pod górę, pomiędzy dwoma budynkami.—Podjechawszy tedy nie

byliśmy widziani od dzików.—Jeden z Górali, który miał w szmacie ogień ukryty, podniósł go teraz nieco w górę: trzymaliśmy wszystkie nasze smolne tyki w kupie—i płomień buchnął do razu okazale w górę... Wąwóz był przez dziki dobrze utarty—ruszyliśmy tedy cwałem—i z wielkim hałasem w górę z płonącymi chorągiewkami—i zajęliśmy ów ciasny oszyjek pomiędzy dwoma budynkami w samej bramie. Zrazu porwały się dziki bardzo strwożone z barłogu... Tu padło tedy cztery strzały silne—lecz te strzały nie odstraszyły tyle dzików, ile dzwonięcie w żelaza od pługów.... Dziki zbiły się w jedną wielką kupę na środku obejścia—i była groźna chwila, bo duże samury wybijały się na czoło — i zdało się, że pójdą na ogień przebojem:—lecz tu padło nowych cztery strzały—i dwa rozpalone kagańce rzucono na stado... Wówczas poczęły się fukać i pryskać—samury rzuciły się w bok, wywalily kilka płotów i ryły się w śniegach wyszedłszy na pole.... Wyłom ten nie był szeroki: — przelecieliśmy przez dziedziniec i stanęliśmy na tym wyłomie, zakładając teraz palące się okłoty na tyki, których każdy miał dwa na koniu przy sobie. Stado dzików przesuwało się powoli, stawało co chwila i obracało się napowrót do ognia—rzucaliśmy tedy zapalone okłoty przed siebie na szlak... Dziki nałożywszy nieco drogi, polem zwróciły się ku dzwonnicy, chcąc się zpuścić napowrót do wsi, ale w mgnieniu oka—na znak dany przez sołtysa—rozgorzały na tykach okłoty, a na kupach słoma mierzwiasta — i uderzono we wszystkie dzwony!... Był to prześliczny widok zimowej sobótki, który mi niepokój i mozołę pięciu dni osłodził! Dziki widząc, że się do wsi do-

stać nie mogą, zwróciły się w górę i poszły na graniczny dział w sąsiednie lasy.... Dosyć wielki chlew leżał obok nas rozwalony... Założyliśmy tedy ogromne ognisko na wyłomie, którym dziki przeszły, a choć blisko była plebania, nie było obawy, aby się jaki budynek zapalił, gdyż dachy były zawalnemi śniegami pokryte. W dziedzińcu tedy plebanii i na szlaku przy dzwonnicy czuwali ludzie i palili ognie przez noc całą... Nie żałowano także prochu, i ile go wystrzelać można było z dwóch dubeltówek, tyle go wystrzelano na ślepe strzały. Ja udałem się jeszcze z dwoma Góralami, aby odszukać proboszcza, bo lubo już od pół godziny gospodarzyliśmy w dziedzińcu, nikt z domowych ludzi nie dał znaku życia. — Drzwi były widać kłodami podparte. Wyważyliśmy tedy jedną okiennicę i jedno okno—i tak dostaliśmy się do dworku. W pokoikach było pusto.—Gdym wszedł do sieni, posłyszałem cichy jęk na strychu... Drabina prowadziła na strych—i w opłakanym stanie znalazłem tu zacnego naszego księdza proboszcza. Kiedy go najechały dziki, leżał w łóżku nieco słaby, bo był to już człowiek wiekowy: z trudnością tedy wydobył się na strych, wzięwszy na siebie tylko jakiś kozuch, który w sieniach wisiał, zakopał się tu w kupę szezki i leżał tak bez posiłku, prócz słoniny i suchego sera, który był na strychu, i bez ratunku od chwili najazdu dzików. Znieśliśmy go z nie-małą trudnością do piekarni, bo tu jeszcze cieplej nieco było, a były także drwa i szczyпки, więc jeden z Górali założył zaraz ogień, a drugi przyniósł pościel z sypialnej izby. Drzwi do piwnicy prowadziły z sieni: na prędce tedy zrobiliśmy winną polewkę

dla księdza proboszcza—pokrzepiła go bardzo, a gdy się w łożu nieco ogrzał, kazał sobie podać świecę, okulary i brewiarz, bo nie tyle strapił się całym najeżdem dzików i szkodą w ziemniakach, ile raczej tem, że pierwszy raz w swem życiu nie mógł odmówić kapłańskich pacierzy. Następnie zajęliśmy się przyprowadzeniem całego domu do ładu, bo po najeździe dzików nie zostawała plebania i wieś cała w lepszym stanie, jak po najeździe Tatarów...

KONEC PIERWSZEJ SERJI

„OBRAZÓW Z ŻYCIA I NATURY“

OMYŁKI W DRUKU.

Strona	wiersz	zamiast	czytaj
9	4 od dołu	mowy,	mewy
19	10 od góry	Klejpedy,	Kłajpedy
			(tak samo na innych stron.)
83	15 „	prznościwszy	przyniówszy
97	3 od dołu	kołoryt	koloryt
125	8—9 „	niepetyczne	niepoetyczne
169	2 „	rykaków	rybaków
189	10 od góry	przwiózł	przywiózł
191	13 „	siankoso	sianokoso
192	2 od dołu	no	na
252	12 od góry	go	po
256	12 „	wicią	wicią
271	11 od dołu	gwiady	gwiazdy
282	12 „	Zielonńj	Zielonej
306	1 od góry	Walelnberga	Walenberga
307	6 „	docierajac	docierając



OMYKLI W DZIELE

tytuł	autor	rok wyd.	stron
...	...	1886	...
...	...	1887	...
...	...	1888	...
...	...	1889	...
...	...	1890	...
...	...	1891	...
...	...	1892	...
...	...	1893	...
...	...	1894	...
...	...	1895	...
...	...	1896	...
...	...	1897	...
...	...	1898	...
...	...	1899	...
...	...	1900	...

B. 1686/II



60/90

OD WYDAWNICTWA

DZIEŁ TANICH I POŻYTECZNYCH.

Mam zaszczyt zawiadomić Szanownych Prenumeratorów wydawnictwa, że ostatnie dzieło, uzupełniające drugą serję wydawnictwa: „Zarys dziejów sztuk pięknych z wykładem stylów budownictwa, rzeźby i malarstwa“ napisane przez Dra Józefa Łepkowskiego już się drukuje.

Zamykając tę książkę to ważne przedsiębiorstwo jako moją osobistą czynność, pragnęłam zadowolnić Szanownych Prenumeratorów i nie żałowałam znacznych wydatków, które ponieść należało na zakupienie licznych drzeworytów, do tego dzieła, wykonanych w słynnych zakładach w Wiedniu i Lipsku

Franciszek Trzeciecki.

Księgarnia wydawnictwa dzieł tanich i pożytecznych otrzymała na Skład główny następujące nowości literackie:

Nakłady Towarzystwa P. O.

- | | |
|---|----|
| a) O zasadach w układaniu dzieł elementarnych . zhr. cent. | 30 |
| b) Wykład Elementarza ułożonego śladem dziejowego rozwoju nauki pisania i czytania w zastosowaniu do umysłowych potrzeb dzieci polskich — „ | 80 |
| c) Elementarz pierwszy ułożony śladem dziejowego rozwoju nauki pisania i czytania i t. d. . . . — „ | 20 |
| d) Obrazy z życia i natury przez Wincentego Pola 2 „ | — |

Inne nakłady:

- | | |
|---|----|
| a) O potrzebie idei przez Juliusza Słowackiego . — „ | 40 |
| b) Zabiegi Moskwy nad Dunajem i Bosforem (od 1711 do 1866 r.) część I. przez Wł. S. . . . — „ | 80 |
| c) Historyczny obszar Polski. Rzecz o dyalektach mowy polskiej 1 „ | 25 |

